

11 LIPCA
DZIEŃ PAMIĘCI
O POLAKACH
– OFIARACH
LUDOBÓJSTWA
NA WOŁYNIU



Tadeusz Samborski
Jesteśmy im winni prawdę, pamięć, modlitwę i godny pochówek

**"CAVERNA
MAGICA"**
– revisited 2025

**ANDREAS
VOLLENWEIDER**
& FRIENDS

19.10.2025 **22.10.2025**
NFM, Wrocław NOSPR, Katowice

poluzjanci

BADACH • GÓRNY • JABŁOŃSKI • LUTY • ŻACZEK • BELCYR

trasa koncertowa

16.10	ŁÓDŹ WYTWÓRNIĄ	24.10	KRAKÓW KWADRAT
17.10	WARSZAWA STODOŁA	25.10	KATOWICE P23
18.10	POZNAŃ TAMA	26.10	WROCŁAW A2
19.10	GDĄŃSK STARY MANEŻ		

**JOHN
PORTER** **HELICOPTERS
'45**

11.11.2025 **26.11.2025**
STARY MANEŻ STODOŁA
GDĄŃSK WARSZAWA



KULT

24.10
Warszawa

15.11
Katowice

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**



Jerzy Domański MÓJ PRZEGLĄD

Wyborcy okradzeni z głosów

„Panie prezesie, meldujemy wykonanie zadania” – tylko tych słów zabrakło w wystąpieniu końcowym Krzysztofa Wiaka, przewodniczącego składu orzekającego Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Poza tym cała rozprawa została przeprowadzona zgodnie z oczekiwaniami tych polityków, którzy izbę powołali. I obsadzili według własnych kryteriów. Pełna dyspozycyjność była wśród nich najważniejszym. Nominaci prezydenta Dudy nie zawiedli mocodawców. Sąd nieuznawany przez instytucje unijne i większość polskich autorytetów prawniczych potwierdził najdalej idące obawy.

Obserwowałem to posiedzenie z rosnącym przekonaniem, że takich widowisk nie powinni oglądać małoletni. Ani ludzie, którzy wierzą w etos sędziowski. Psychika może nie wytrzymać żalostnego widoku systemu sprawiedliwości tak bardzo zrujnowanego przez Ziobrę, Kaczyńskiego i Dudę. Przy okazji tych obrad zobaczyliśmy, jak ogromna jest różnica między prawdziwymi sędziami a neosędziami, nominatami prezydenta Dudy. Jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwości, mógł tę różnicę ujrzeć na własne oczy. Wystarczyło posłuchać tych w większości niezbornych wystąpień.

Nie tak dawno częsty był widok Adama Glapińskiego, prezesa NBP, poruszającego się w eskorcie dwóch

postawnych blondynek. Szybko dostały miano dwórek. Przypomniałem sobie o nich, gdy zobaczyłem za stołem sędziowskim przewodniczącego Wiaka, który po bokach miał dwie panie. Tym razem były to Maria Szczepaniec i Joanna Lemańska. Tak stronnicze, że aż wstyd było oglądać je w togach sędziowskich. Warto by poznać, kto je rekomendował do izby. A może, tak jak prezydent, cały czas się uczą. Niestety, z podobnym skutkiem jak Duda.

Choć były trzy głosy odrębne, to w finale uzasadnienia wyroku okradziono wyborców z głosów, naruszając ich prawa obywatelskie. I tak do słów, które jak prawo i sprawiedliwość za przyczyną PiS zmieniły swoje znaczenie, doszło kolejne. Obywatelski. Obywatelski prezydent, obywatelskie bojówki Bąkiewicza. Co nas jeszcze czeka?

Wyrok IKNiSP o „stwierdzeniu ważności wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta RP” nie ma żadnego znaczenia. I nie zmieni tego nadymanie się grona, które nie jest sądem.

Popieram propozycję prof. Ewy Łętowskiej, by zacząć przygotowywać białą księgę wypaczeń ujawnionych w czasie posiedzenia IKNiSP. Przyjdzie czas, że się przyda.

Mamy kryzys konstytucyjny i zapaść sądownictwa, a ci, którzy do tego doprowadzili, szykują się do powrotu.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Czy głos każdego wyborcy został dobrze policzony?
- 11 Brunatna Polska wstaje z kolan
Samozwańczy obrońcy granicy
- 14 Nierozliczona zbrodnia jest jak klątwa
– rozmowa z Tadeuszem Samborskim
- 20 Wakacyjny wyjazd? Zbankrutujesz!
13% rodzin zostanie w domu
- 23 Jak żyć z wiatrakami?
Nie unikniemy transformacji energetycznej

KULTURA

- 26 Życie to nie Hollywood
– rozmowa z Arkadiuszem Jakubikiem
- 42 Culturalia
- 44 Michał Anioł niedoskonały
Jak pokazać wszystkie jego rzeźby
- 66 Marian Thiede. Domostwo

ZAGRANICA

- 30 Antyunijna rewolucja w Bułgarii
Euro narzędziem oligarchów
- 34 Bunt na Półwyspie Iberyjskim
Hiszpanie skąpią na NATO
- 36 Stambuł czeka na trzęsienie ziemi
Korespondencja z Turcji

KSIAŻKI

- 38 Jak córka z matką
– rozmowa
z dr Brygidą Helbig i Justyną Helbig

HISTORIA

- 46 Łaszowski – agent Gestapo
Komunista, narodowiec, potem konfident

OBSERWACJE

- 48 Co motyłom pisane
Badanie modraszków znad Narwi
- 52 Zagadki gleby
Las rośnie na bujnym życiu

EKOLOGIA

- 56 Recykling z klasą
Młodzież testuje butelkomaty

ZDROWIE

- 58 Kortyzol nie taki straszny
To hormon mobilizacji

ZWIERZĘTA

- 60 Psy na ratunek naszym emocjom
Mogą łagodzić ból i stres

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański
Wyborcy okradzeni z głosów
- 19 Jan Widacki
Chyba przeliczytuję kolegę
- 33 Andrzej Romanowski
Mopem w Ewangelie
- 43 Tomasz Jastrun
Jak grać na durniu
- 51 Roman Kurkiewicz
A dinozaury siedziały na przystankach i patrzyły
- 55 Wojciech Kuczok
Milicjanci obywatelscy

26

KULTURA



ŻYCIE TO NIE HOLLYWOOD

– rozmowa z Arkadiuszem Jakubikiem



48

OBSERWACJE

CO MOTYŁOM PISANE

Badanie modraszków znad Narwi



60

ZWIERZĘTA

PSY NA RATUNEK NASZYM EMOCJOM

Mogą łagodzić ból i stres

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAP/VLADYSLAV MUSIIENKO



✉ Choć sprawa słuszna, czas najbardziej nieodpowiedni

Halo, to ja! Człowiek – według prof. Jana Widackiego – nie tylko „nieprzyzwoity”, ale i „politycznie głupi” i „dalece niemoralny”. Wiem, że jako „słudzy Ukrainy” nie powinniśmy nawet prosić ani tym bardziej żądać ekshumacji pomordowanych Polaków, bo byłby to zdradziecki cios w Ukrainę i sprawiłoby to wielką radość Putinowi, a my do tego nigdy nie możemy dopuścić. Pewnie nawet współfinansujemy (od)budowę na Ukrainie pomników Bandery, Szuchewycza i innych „przyjaciół Polski”. Nie jestem nastawiony antyukraińsko, jak sugeruje pan Widacki, tylko nie zgadzam się na służalstwo polskich władz wobec Ukrainy. *Jerzy Cichot*



✉ Półtora roku ministrowi Nowackiej

Ja, wasz wierny czytelnik, muszę tym razem krytycznie zareagować na artykuł, który jest następnym i niesprawiedliwym. Choćby fragment traktujący o religii w szkole. Pisze, że to nie był dobry czas, bo wybory. A kiedy był dobry czas? Żaden z rządów, czy to lewicy, czy PO-PSL, nie zajął się tym tematem. Pani Nowacka pierwsza pochyliła się nad tym problemem, mimo że Kosiniak-Kamysz i Sawicki sypali piach w tryby. Według mnie Barbara Nowacka całkiem dobrze sobie radzi. Inną kwestią jest dobór współpracowników. Pytanie: czy gdyby tych reform zaniechała, to uzyskałaby poparcie biskupów? Odpowiedź: zdecydowanie nie. Już to przerabiał w wyborach Bronisław Komorowski. *Jan Jakubowski*



f Cuda nad urnami

Cuda cudami, a kwik niektórych rozczarowanych wynikiem wyborów polityków Koalicji 15 Października, skutkujący składaniem giertychowych protestów, ośmieszył obecną większość parlamentarną. Można odnieść wrażenie, że wicepremier Kosiniak-Kamysz i marszałek Hołownia mają tego pełną świadomość. Jedno jest pewne – rumacze wysoki mecenasa z niedysyjszej LPR mają szansę podtopić rządzących. Warto monitorować sondaże. *Damian Paweł Strączyński*



f Towarzystwo wzajemnej adoracji

Smutne to, ale w pełni się zgadzam. U Rafała Trzaskowskiego zabrakło profesjonalnych doradców, speców od wizerunku itp. Co gorsza, sztab konkurenta (plus zawodowi doradcy z najwyższej półki) potrafił wyciągnąć Karola Nawrockiego z najgorszych tarapatów i skutecznie neutralizować kolejne poważne zarzuty. ONI wygrywają kolejne już wybory, bo (po pierwsze, drugie i trzecie) nie żałują grosza na wybitnych – sprawdzonych również za granicą – fachowców. Powiem więcej: gdyby ludzie (sztabowcy, doradcy) stojący za Trzaskowskim robili kampanię nie jemu, ale właśnie konkurentowi, ten miałby zapewne olbrzymi problem z wejściem do drugiej tury, założywszy oczywiście, że ludzie ci działaliby w jak najlepszej wierze, bez chęci zaszkodzenia kandydatowi. Czy więc można się dziwić, że tacy zadufani w sobie amatorzy (do spółki z półamatorami) utopili najpierw w 2015 r. Bronisława Komorowskiego, a potem dwukrotnie (znacznie lepszego od Komorowskiego, Dudy i Nawrockiego razem wziętych) Rafała Trzaskowskiego? *Tadeusz T. Nowacki*



ZDJĘCIE TYGODNIA



W pierwszym dniu Pucharu Świata CMAS na Filipinach Agata Zalecka, aktorka i entuzjastka sportów wodnych, w konkurencji nurkowanie w dwóch płetwach osiągnęła głębokość 83 m na jednym wstrzymanym oddechu i zajęła pierwsze miejsce.



Większość ankietowanych w sondażu IBRIŚ dla „Rzeczpospolitej” chce skontrolowania pracy komisji wyborczych. **31,2% jest za ponownym przeliczeniem głosów we wszystkich komisjach, 29,8% w tych, co do których zostały zgłoszone protesty wyborcze.** 37,1% uważa, że nie ma potrzeby ponownego przeliczania głosów.

Rząd podjął decyzję o wprowadzeniu kontroli na granicach z Niemcami i Litwą. Zaostrzenie kursu wiąże się z rosnącą agresją bojówek wysyłanych na granicę przez środowiska ultrapravicowe. **Spośród 29 państw strefy Schengen tylko 13 nie przywróciło jeszcze kontroli na swoich granicach.**

I to wszystko, gdy liczba nielegalnych migrantów w ubiegłym roku spadła w Unii o 38%.

USA wstrzymały pomoc wojskową dla Ukrainy. Nie dostarczą m.in. rakiet Patriot, pocisków przechwytyjących, amunicji precyzyjnej.

Domniemany prezydent elekt Nawrocki powołał na szefa swojego Biura Bezpieczeństwa Narodowego **Sławomira Cenkiewicza**, który ma prokuratorские zarzuty za ujawnienie tajnych materiałów wojskowych.

Michał Listkiewicz i Grzegorz Łato zostali wybrani na prezesów honorowych PZPN. Prezesem został ponownie Cezary Kulesza, ale proponowanych przez niego trzech wiceprezesów zjazd odrzucił.

Marcin Przeciszewski, który przez 32 lata był prezesem Katolickiej Agencji Informacyjnej, podał się do dymisji z powodu planów pozbawienia tej agencji

niezależności i połączenia jej z biurem rzecznika prasowego episkopatu.

W wieku 94 lat **zmarła Danuta Kobylińska-Walas**, pierwsza w historii Polski kobieta, która osiągnęła stopień kapitana żegluga wielkiej.

W grudniu 2024 r. pracowało w Polsce 872,6 tys. emerytów (ZUS).

Przemysław Rosati został ponownie wybrany na prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej.

Gen. bryg. Michał Strzelecki został decyzją ministra Kosiniaka-Kamysza nowym dowódcą Wojsk Strategicznych.

Antonina Tosiek została laureatką **Nagrody im. Wisławy Szymborskiej** za tom poetycki „Żertwy” (wyd. Biuro Literackie).

Tomasz Chróstny, prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, nie widzi konfliktu interesu w skorzystaniu z darmowego zaproszenia na imprezę organizowaną przez Omenę Mensah, żonę Rafała Brzozki, właściciela InPostu. Mimo że UOKiK prowadzi liczne postępowania, które dotyczą tej firmy. Za udział w balu trzeba było zapłacić 20-35 tys. zł za osobę („Rzeczpospolita”).

Na 5,5 tys. stacji paliw sprzedawany jest alkohol.

Ponad 41% Polaków jest niezadowolonych z jakości swojego snu (raport ePsycholodzy.pl).

Z abonamentów i prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych korzystało w Polsce w 2024 r. ok. 5,39 mln osób (**Polska Izba Ubezpieczeń**).

PRZEBŁYSKI

Wielepy – wysiadka

Minał miesiąc od wyborów prezydenckich. Wiele po nich się zmieniło, choć nie wszystko. Nie zmienił się sztab Trzaskowskiego. Barbara Nowacka, Sławomir Nitras i Cezary Tomczyk spali przez całą długą kampanię. I dalej śpią. Może im się jeszcze śnią posady w Kancelarii Prezydenta, mieli je przecież poobsadzać. Potencjalną konkurencję skutecznie zablokowali. Nikt, choćby miał najsensowniejsze pomysły, nie mógł do Trzaskowskiego się przebić. Bo i po co? Basia, Sławek i Czarek to wielepy. Wszystko wiedzieli najlepiej. Nie uczyli się na błędach. Żaloszne pomysły zadufków bez śladu kompetencji przejdą do historii najgorszych kampanii. Oni zaś są jeszcze ministrami. Równie marnymi jak sztabowcami.



Senegalczycy ośmieszili PiS

Pisowska szczytnia znowu pokazała, że podłość to jej drugie imię. Migrantów widzi wszędzie. Także na festiwalu tańca w Gorzowie Wielkopolskim. Elżbieta Rafalska, była minister pracy, rodziny i polityki społecznej oraz była europoseł, i były poseł Jarosław Porwich ogłosili, że „imigranci są już u nas w Gorzowie”. Nie wiadomo, co wcześniej brali, że zespół folklorystyczny Ballet Saly Velingara z Senegalu objawił im się jako horda imigrancka. Gdy muzycy stanęli na chodniku przed salą koncertową, przerażony radny PiS Porwich wszczął alarm. Niestety, takich Rafalskich i Porwichów, którzy kłamią i oszukują, jest u Kaczyńskiego cała armia. Znowu na kłamstwach chcą wrócić do władzy.

Natanek milioner

Pogoniony ze stanu duchownego były ksiądz Piotr Natanek przeprowadził się do Pustelni Niepokalanów w Grzechyni. Korzystając z dobrej pogody, zaprosił do siebie wyznawców osobistej sekty. Na imprezę zapisało się ponad 1,2 tys. osób. Z czego 700 kupiło specjalnie przygotowane krzyże. Natanek ma do interesów głowę jeszcze większą niż jego byli przełożeni. Za mały krzyż przymierza (30 cm) kasował po 1,4 tys. zł, za średni (45 cm) po 2 tys. zł, a za duży (55 cm) po 2,4 tys. zł. Do tego trzeba było dołożyć 80 zł za wygrawerowaną tabliczkę „Nowe Przymierze”. Sami policzcie, ile na tym jednym złocie Natanek zarobił.



Dowiozą czy nie dowiozą?

Nie dowieźliśmy tego, ja to dowiozę, mamy problem z dowożeniem, skuteczne dowożenie jest podstawą. Jeśli słyszycie w mediach takie wypowiedzi polityków płci obojga, to nie myślcie, że zmienili branżę i zajęli się dostawami towarów, transportem czy podwózką. Niestety nie, choć może byłoby to z większym pożytkiem dla rodaków niż bicie piany i ta nowomowa.

Ministrowie będą dowozić, czyli realizować przypisane im zadania. Dowożenie ma być sprawniejsze. I skuteczniejsze. W gadaniu już jest. Ale czynów brak. Premierowi Tuszkowi proponujemy, by wszystkich obiecujących dowożenie od razu skierował do Poczty Polskiej. Na ekspedycję.



PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy znają prawa pracownicze?

PIOTR CISZEWSKI, *stowarzyszenie Historia Czerwona*

Znajomość praw pracowniczych nie jest w Polsce powszechna. Odpowiada za to m.in. system edukacji. Na lekcjach z tzw. podstaw przedsiębiorczości więcej jest o zakładaniu firmy niż o byciu pracownikiem i o jego prawach. Obecny rząd z udziałem tzw. lewicy nie wprowadził żadnej zmiany w kierunku bardziej propracowniczego programu. W wielu małych i średnich firmach prawa pracownicze są fikcją. W gastronomii czy w małych firmach jest wręcz przyzwolenie na ich łamanie. Coraz większa grupa osób zaczyna jednak walczyć o prawa pracownicze. To m.in. studenci biorący udział w okupacji Uniwersytetu Warszawskiego czy pracownicy gnieźnieńskiego Jeremiasa. Jest nadzieja, że sytuacja będzie się zmieniała.

DR EWA PIETRZAK,

specjalistka w dziedzinie prawa pracy, USWPS

Znajomość praw pracowniczych nadal jest na stosunkowo niskim poziomie. Dotyczy to zarówno osób świadczących pracę, jak i pracodawców. Zagadnieniem, które często się pojawia w praktyce, jest kwestia odróżnienia umowy o pracę od umów cywilnoprawnych (m.in. umowy o dzieło, umowy-zlecenia). Zarówno pracownicy, jak i pracodawcy mają tendencję do mylenia tych dwóch podstaw świadczenia pracy. Różnice są zasadnicze. W przypadku umowy o pracę osobie świadczącej pracę przysługują uprawnienia wynikające z prawa pracy, w tym z Kodeksu

pracy. Regulacje te nie obowiązują w sytuacji zatrudnienia na podstawie umów cywilnoprawnych. Gdy osoba świadczy pracę na podstawie umowy cywilnoprawnej w sytuacji, w której powinna być zawarta umowa o pracę, przysługuje jej prawo wystąpienia do sądu z powództwem o ustalenie istnienia stosunku pracy. Pracownicy często nie mają świadomości tego.

PIOTR SZUMLEWICZ,

lider związku zawodowego Związkowa Alternatywa

Niestety, wiedza o prawach pracowniczych w polskim społeczeństwie jest niska. W konsekwencji prawo pracy jest łamane bardzo często, co dotyczy m.in. nadgodzin, niewypłacania pensji na czas czy zatrudniania w ramach umów cywilnoprawnych, gdy spełnione są wszystkie wymogi umowy o pracę. Pracodawcy łamią też często ustawę o związkach zawodowych. Skąd taka skala bezprawia? Wydaje się, że czołowi politycy i komentatorzy życia publicznego nie traktują prawa pracy poważnie. Od lat wiele przepisów Kodeksu pracy jest martwych, a władza przyzwala na ich omijanie. Dotyczy to chociażby gigantycznej skali umów śmieciowych i niewypłacania pensji na czas. Kary dla nieuczciwych pracodawców są niskie, a kontrole firm bardzo rzadkie. Ponadto władze publiczne nie prowadzą żadnych akcji edukujących społeczeństwo. Młodzi ludzie dowiadują się, jak założyć firmę, ale nie wiedzą, czym są nadgodziny albo jakie są różnice między umową-zleceniem a umową o pracę.



Sąd Najwyższy podejmuje uchwałę o ważności wyborów. Nz. prokurator Jacek Bilewicz, minister sprawiedliwości Adam Bodnar, sędziowie Paweł Czubik, Leszek Bosek, Tomasz Demeński, Marek Dobrowolski, Elżbieta Karska, Paweł Księżak. 1 lipca 2025 r.

Czy głos każdego wyborcy został dobrze policzony?

Nie. I zawsze będą wątpliwości, czy Nawrocki został wybrany legalnie

Robert Walenciak

Wszyscy wiemy, że wynik wyborów prezydenckich w rzeczywistości jest inny niż ten, który ogłosiła PKW.

We wtorek 1 lipca o godz. 18.45 nastąpiło to, czego wszyscy się spodziewaliśmy – Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego ogłosiła ważność wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta RP. Izba podjęła tę uchwałę w 18-osobowym składzie, zgłoszono trzy zdania odrębne.

Czy w związku z tym sprawa wyborów została zamknięta? No nie. I można z całym przekonaniem orzec, że sposób, w jaki potraktowali ją sędziowie z IKNiSP i partie polityczne, wystawia im jak najgorsze świadectwo.

I.

Zacznijmy od kwestii formalnej, która mocno porusza środowiska prawnicze. Otóż Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych

Sądu Najwyższego nie jest sądem. Jest ciałem wybranym nielegalnie, zlepieniem z pisowskich prawników, i nie powinna orzekać w tej sprawie. Można było z tego kłopotu wybrnąć, przekazując ocenę ważności wyborów Izbie Pracy, która jest umocowana prawnie, tworzą ją sędziowie legalnie wybrani. Można też było przyjąć tzw. ustawę kompetencyjną, która uznanie wyniku wyborów składała w ręce najstarszych stażem sędziów. Ale tę ustawę zawetował Andrzej Duda, by jego było na wierzchu.

Mamy więc sytuację taką, że ważności wyboru Karola Nawrockiego nikt nie stwierdził. A powinien Sąd Najwyższy.

II.

W wyniku informacji, które dostały się do opinii publicznej, znacząca liczba Polaków uważa, że wybory mogły zostać sfałszowane. I że głosy powinny być przeliczone jeszcze raz. Aż 40% Polaków myśli, że wybory

mogły być sfałszowane. Ponad 60% chciałoby ponownego przeliczenia głosów. Ta grupa jest rozbita – 30% chciałoby ponownego przeliczenia we wszystkich komisjach wyborczych, 31% tylko w tych, co do których zgłoszono protesty. Warto zwrócić uwagę na postawę wyborców koalicji rządzącej. Aż 57% chce ponownego liczenia we wszystkich komisjach. 36% – tylko w komisjach, których dotyczyły protesty wyborcze. I ledwie 5% mówi, że nie trzeba liczyć w ogóle. Ta postawa ma swoje źródła, nie wzięła się znikąd.

III.

Wynik wyborów prezydenckich w rzeczywistości jest inny niż ten, który ogłosiła PKW – to bezdyskusyjne i udowodnione. Okazało się przecież, że podział głosów w komisjach, które sprawdzono jeszcze raz, nie zgadzał się z tym, co zostało zapisane w protokołach. A jeżeli sprawdza się 19 komisji i w 12 wynik wpisany do protokołu jest inny niż

w rzeczywistości, podpowiada to, że w innych komisjach mogło być podobnie. Kłopot w tym, że tę podpowiedź sędziowie IKNiSP zignorowali.

Mówił o tym w Sądzie Najwyższym zastępca prokuratora generalnego Jacek Bilewicz: „Tak naprawdę do tej pory nie wiemy, jaki jest wynik wyborczy, bo nie można w sposób jawny i pewny określić przewagi jednego z kandydatów. Ponieważ SN nie zdecydował się na przeliczenie kart

te różnice (pomyłki, fałszerstwa – jak było naprawdę, powinna wyjaśnić prokuratura) wpłynęły na wynik – bo oznaczają, że i Trzaskowski, i Nawrocki otrzymali inną liczbę głosów, niż oficjalnie podano. A jaką? Tego, jak widać, sędziowie izby nie chcą wiedzieć.

Pytania są więc oczywiste: dlaczego nie chcą wiedzieć? Dlaczego nie chcieli przeliczyć głosów w innych komisjach? Skoro w zdecydowanej

prof. Hamana i prof. Flisa, dowodzą, że nawet jeśli gdzieś w liczeniu głosów nastąpiły pomyłki, i tak nie mają wpływu na to, kto wybory wygrał. Po prostu, jeżeli różnica między Nawrockim a Trzaskowskim wynosiła prawie 370 tys. głosów, to pomyłki rzędu kilkunastu tysięcy zwycięzcy nie zmienią.

Trudno z fachowcami tej klasy polemizować, ale nie sposób nie zauważyć, że nie o to – nie o statystykę, rachunek prawdopodobieństwa czy analizy socjologiczne – w tej sprawie chodzi. Chodzi bowiem o rzecz najprostsza z możliwych – czy protokoły z komisji zgadzają się ze stanem faktycznym. Czy głos każdego wyborcy został dobrze policzony. Tu nie trzeba analiz statystycznych, wystarczy usiąść i policzyć. Zwróćmy uwagę – to pragnienie zdecydowanej większości Polaków, przeszło 60% chce, by głosy zostały jeszcze raz policzone. Oznacza to, że chciałaby tego również znaczna grupa wyborców prawicy. Nie można zatem ich traktować lekceważąco, zbywać protekcjonalnie. Ani tym bardziej zakrzyczeć.

IV.

Charakterystyczny jest stosunek do dr. Krzysztofa Kontka, autora głosnej analizy dotyczącej wyborów. Kontek przekonuje, że oszacował skalę rzekomo nieprawidłowo policzonych głosów w tegorocznych wyborach prezydenckich i że nieprawidłowości mogły dotyczyć 1482 obwodowych komisji, a to mogło się

40% Polaków myśli, że wybory mogły zostać sfałszowane. Ponad 60% chciałoby ponownego przeliczenia głosów.

we wszystkich komisjach, w których zachodziły anomalie, nie sposób określić, jaka była dokładna różnica między kandydatami. Prokuratura nie chce zmieniać wyniku wyborów, jednak wskazuje, że powinny być ustalone dokładne ich wyniki”.

Dla „Rzeczpospolitej” wypowiedział się też sędzia Wojciech Hermeliński, były przewodniczący PKW i były sędzia Trybunału Konstytucyjnego: „Jeżeli już jest tyle podejrzeń, tyle ustalono w wyniku badania tych kilkunastu komisji, że w nich dochodziło do pomyłek co najmniej, to myślę, że w wielu innych komisjach pewnie też. Zasada prawdopodobieństwa wskazuje na to, żeby liczyć się z tym, że w innych komisjach też mogło dojść do tego rodzaju historii”.

„Nie mamy pewności co do wyników wyborów prezydenckich” – to z kolei słowa Ryszarda Kalisza, członka PKW. „Nie ma tej pewności prokuratura, bo postanowiła przeliczyć głosy w 296 komisjach. A jeżeli toczy się postępowanie przygotowawcze, to znaczy, że jest uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa”.

Ale te słowa i te działania nie przekonały sędziów Izby Kontroli Nadzwyczajnej. Sędzia Krzysztof Wiak, przedstawiając jej stanowisko, stwierdził, że do sądu wpłynęło ponad 54 tys. protestów wyborczych, lecz za zasadne uznano 21. I dodał, że nie miały one wpływu na ostateczny wynik wyborów. Sędzia Wiak jest mało precyzyjny. Oczywiście, że

większości tych, które sprawdzali, nic się nie zgadzało, dlaczego założyli, że w pozostałych wszystko jest w porządku? Skąd to wiedzieli?

Sędzia Krzysztof Wiak tłumaczył, że niemożliwe było ponowne przeliczenie głosów w wyborach. Że można jedynie dokonać ponownych oględzin kart do głosowania we wskazanych komisjach, jeśli istnieje podejrzenie nieprawidłowości.

Cóż, trudno takie tłumaczenie potraktować poważnie. Po pierwsze, prawnie przeliczenie głosów było możliwe, o czym piszemy poniżej. Po drugie, sędziowie mogli zlecić policzenie głosów przynajmniej w tych komisjach, w których chce je liczyć prokuratura. To dałoby szerszy obraz zjawiska. Poza tym co znaczy „podejrzenie nieprawidłowości”? To mało precyzyjny termin. Dla wielu Polaków

Nie chodzi o statystykę, rachunek prawdopodobieństwa czy analizy socjologiczne. Chodzi o to, czy głos każdego wyborcy został dobrze policzony.

owo podejrzenie pojawiło się już wtedy, gdy okazało się, że w sprawdzanych przez sąd komisjach głosowano inaczej, niż zostało to zapisane w protokołach. A dla sędziego Wiaka? Co musiałoby się stać, żeby zaczął podejrzewać? Chciałby, aby położono mu dowody na stół? Ale jak to zrobić, skoro nie wolno ich zdobyć? Sędziowie swoją niechęć do sprawdzania tłumaczyli tym, że ekspertyzy wybitnych fachowców, m.in.

przełożyć na 315-487 tys. dodatkowych głosów dla Karola Nawrockiego. Czyli prawdziwy wynik wyborczy jest inny. Ta analiza została niemal natychmiast poddana potężnej krytyce. I to przez kompetentnych badaczy. Rzecz jednak w tym, że niczego to nie zmienia, póki nie sprawdzi się, jak było naprawdę. Póki nie policzy się głosów, przynajmniej w tych komisjach, o których mówi dr Kontek. Bo inaczej mamy słowo przeciwko słowu. ▶

► Zwolennicy nieliczenia głosów wytaczają także inne argumenty. Pierwszy – że nie ma w Kodeksie wyborczym zapisanej możliwości ponownego przeliczenia głosów. Owszem, nie ma. Ale czy jest zakaz? Odpowiada na tę wątpliwość sędzia Hermeliński. „Prawnik powinien patrzeć horyzontalnie, nie tylko na jeden konkretny przepis – mówił „Rzeczpospolitej”. – Oczywiście, że Kodeks wyborczy nie jest tak kazuistyczny, żeby tam umieścić przepis, że w razie wątpliwości można przeliczyć czy trzeba przeliczyć wszystkie głosy jeszcze raz. Jest art. 2 konstytucji. Nie może być państwem demokratycznym państwo, które uważa: »policzyliśmy tylko w tych 15 komisjach, tam rzeczywiście są jakieś wady, a w innych nie wiemy, no trudno, trzeba to zaakceptować«. To jest przecież niemożliwe, tak robić nie wolno”. Sędzia wspominał też art. 62 konstytucji:

Przez półtora miesiąca nie można przeliczyć czegoś, co zostało przeliczone w jedną noc?

„Obywatel polski ma prawo wybierania prezydenta RP”. Innymi słowy, sędziowie, gdyby chcieli, zauważyliby podstawę prawną do ponownego przeliczenia głosów – mieli ją na stole.

Drugi podawany argument – nie ma już czasu na liczenie. Czyżby? Czas składania protestów zakończył się 16 czerwca. Zaprzysiężenie Karola Nawrockiego wyznaczone jest na 6 sierpnia. Jak więc przez półtora miesiąca nie można przeliczyć czegoś, co zostało przeliczone w jedną zaledwie noc?

Poza tym sprawie mogliby pomóc politycy. I mogliby uchwalić stosowną nowelizację Kodeksu wyborczego. Że trzeba by to robić w trybie ekspresowym? To nie problem, w polskiej polityce widzieliśmy uchwalanie ustaw w dwa dni. Ale takiej nowelizacji pewnie sprzeciwiłby się Andrzej Duda, strażnik pisowskich interesów.

V.

W ten sposób i sędziowie Izby Kontroli Nadzwyczajnej, i politycy

prawicy dali prztyczka w nos wyborcom. A przynajmniej tym ponad 60%, którzy chcieliby ponownego przeliczenia głosów. Pytanie nasuwa się samo: czego się bali?

Małgorzata Manowska, I prezes Sądu Najwyższego, szczerze przyznała, że wynik wyborów jej odpowiada, bo gdyby prezydentem został Trzaskowski, to straciłaby stanowisko. Brawa za szczerość, ale z etosem sędziego nie ma to nic wspólnego. Tak jak nie ma nic wspólnego z etosem sędziego pogarda, z jaką mówiła o części protestów, że to „giertychówki”. Oto głos kasty neosędziów.

VI.

A politycy PiS? Dziennikarze różnych mediów, którzy z nimi rozmawiali, informowali, że w obozie PiS było sporo niepewności. Że ponowne przeliczenie głosów mogłoby przynieść nieoczekiwane

rozwiązania. Można było odnieść wrażenie, że w obozie PiS bardziej niż w obozie KO wierzono, że ponowne przeliczenie głosów wywróci wyborczy wynik!

Czy byłoby to możliwe? Wyobraźmy sobie, że w każdej komisji, a było ich ponad 32 tys., zmieniono na korzyść Nawrockiego tylko sześć głosów. To jest statystycznie nie do wychwycenia. I to dało Nawrockiemu zwycięstwo. Czy można coś takiego zrobić? Raczej jest to trudne. Tylko że nikt na 100% nie powie, że to niemożliwe. Ale już tego nie sprawdzimy, bo sędziowie sprawdzą nie chcą.

Trudno też nie zauważyć, jak zachowywało się PiS. Krzychało: nie damy sobie ukraść wyborów! A przecież, jeżeli byłoby pewne zwycięstwa Nawrockiego, powinno wołać: chcecie liczyć, to liczcie! Oto więc PiS w całej swojej krasie – nie interesuje ich, jak wybory przebiegały, jaki był prawdziwy wynik, interesuje ich tylko, czy ich jest na wierzchu.

Na marginesie tych działań nasuwa się refleksja: ośrodki badania opinii publicznej przewidywały inny wynik, niż ogłosiła PKW, więc potem, po wyborach, szydzono z nich, że zawsze się mylą. A jeżeli się nie myliły?

VII.

A politycy PO? Ich zachowanie może budzić mieszane uczucia. Najpierw chcieli być w porządku, opowiadali, że nie wolno wyborów kwestionować. Potem, gdy liczba wątpliwych w uczciwe wybory zaczęła rosnąć, zaczęli im kibicować. I coraz wyraźniej mówić, że warto by zbadać, czy protokoły pokrywają się z wynikami wyborów. Później, po krzykach PiS i po fali różnych profesorskich wypowiedzi, że zwycięzca wyborów będzie wciąż ten sam, ewidentnie spaszowali.

To nie buduje ich pozycji. Część wyborców może bowiem poczuć się rozczarowana i porzucona. Mogą już nie mieć ochoty w przyszłości głosować – skoro nie jest ważne, kto na kogo głosuje, tylko to, kto pisze protokół. Ich więc z partiami koalicji też się rozluźnia – skoro nie dzielają ich wątpliwości, nie chcą wyjaśniać, mówią: siedzcie cicho, pogódźcie się z porażką!

Ta postawa zniechęcenia jest już widoczna w sondażach, w których Koalicja Obywatelska straciła rekordowy odsetek poparcia. Pytanie, czy to odpływ stały, czy chwilowy. Bo sprawa wyborów prezydenckich, ich wyniku, nie zakończy się tak łatwo. Tu nie chodzi o opowieść o oszukanych wyborach ani o micie smoleńskim PO, jak szyderczo suflują niektórzy publicyści. Chodzi o coś bardzo poważnego: o poczucie milionów Polaków, czym są wybory. Czy każdy głos się liczy? Czy możemy naszej demokracji ufać?

Sondaże pokazują, że to zaufanie zostało naruszone. I te wszystkie analizy, że zwycięzca się nie zmieni, że ci, co wątpią, to szuria – są jak grochem o ścianę. Bo każdy wie, że głosy są w workach. Że można je policzyć. A nie można. O co więc chodzi?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Narodowcy tworzący patrole obywatelskie spotkali się 29 czerwca 2025 r. w Zgorzelcu na moście Jana Pawła II na protestie „Stop nielegalnej imigracji”.



Brunatna Polska wstaje z kolan

Politycy PiS i środowiska nacjonalistyczne przypuścili historyczną nagonkę na Niemców, uchodźców, policjantów i funkcjonariuszy Straży Granicznej

Andrzej Sikorski

Narracja szowinistów i ksenofobów jest następująca: bezczelnie Niemcy, zamiast przeprosić za zbrodnie sprzed 80 lat i wypłacić Polakom 6,22 bln zł reparacji, stanęli po stronie Putina i Łukaszenki w wojnie hybrydowej przeciwko Najjaśniejszej. Każdego dnia potomkowie Adolfa Hitlera przerzucają za Odrę tysiące nielegalnych imigrantów z Afryki, którzy mają za zadanie siać zniszczenie na świętej słowiańskiej ziemi. Zamachy terrorystyczne, gwałty, mordy, śmiertelne choroby, islamskie enklawy – już wkrótce będzie to codzienność polskich miast, miasteczek i wsi. Donald Tusk, który jest marionetką w rękach niemieckich elit (lub wręcz niemieckim agentem), zamiast stanąć w obronie rodaków i ojczyzny, bezczynnie wszystkiemu się przygląda.

Samozwańczy obrońcy granicy

Ponieważ rząd i podległe premierowi służby abdykowały, arcypancioci

wzięli sprawy w swoje ręce. Związany ze środowiskiem ziobrystów Robert Bąkiewicz, niedoszły poseł PiS, uliczny chuligan i były działacz faszystującego ONR, stworzył Ruch Obrony Granic. Gdy go organizował, mówił m.in.: „Zdajemy sobie sprawę, że zezwolenie na masową migrację nieodwracalnie zniszczy bezpieczeństwo w naszym kraju, nieodwracalnie pociągnie olbrzymie koszty finansowe. Zdrowe byczki, które już są wypychane przez Niemcy na teren Polski, którzy mieli być rzekomo inżynierami czy lekarzami, najczęściej nie chcą pracować, utrzymują się z socjału”.

Jednak wódz polskich nacjonalistów też jest na swoistym socjału. Bąkiewicz nie ma żadnego fachu w ręku, ukończył jedynie liceum i od wielu lat nie pracuje zawodowo. Niedługo razem z żoną założyli firmę budowlaną i – jak napisała „Gazeta Wyborcza” – zatrudniali grupkę Polaków i Ukraińców, „którzy za pięć złotych na godzinę robili wylewki betonowe, tzw. szlichty, i kładli tynki gipsowe, a potem je malowali”. Oprócz tego „Bąkiewicz brał kredyty i otwierał

składy budowlane, (...) sprzedawał styropian, piasek, kostkę betonową, węglę mineralną, ziemię ogrodową”. Interes jednak splajtował. Aby uciec przed wierzycielami (było ich ponad 150, długów zaś kilka milionów), Bąkiewicz z żoną wzięli fikcyjny rozwód, podzielili firmę, a potem złożyli w sądzie wnioski o upadłość. Sąd umorzył wszystkie zobowiązania. Od wielu lat Bąkiewicz utrzymuje się ze zbiorów w internecie i dotacji państwowych. Rząd PiS przyznał powiązanym z Bąkiewiczem organizacjom gigantyczną kwotę – ponad 14 mln zł.

Szeryfowie przejmują władzę

Wróćmy jednak do sytuacji na granicy. Bojówki ROG (odziane w charakterystyczne żółte kamizelki odblaskowe i z białą-czerwoną opaską na ramieniu) złożone z kiboli, chuliganów i nacjonalistów patrolują granicę polsko-niemiecką, wytapując osoby o ciemnym kolorze skóry, które są bezprawnie legitymowane, zatrzymywane, pozbawiane wolności. Często też znieważane i zastraszane. ►

► Arcypatrioci zatrzymują samochody przekraczające granicę, dokonują rewizji pojazdów. Kierowcy, którzy nie chcą się zgodzić na przeszukanie, spotykają się z agresją.

Jak to wygląda w praktyce, pokazał Przemysław Słowik, szczeciński radny KO, który na Facebooku zamieścił relację z Dobieszyna zilustrowaną krótkim filmem. „Co tam się dzieje?! Samozwańcza milicja blokuje pasy ruchu. Auta z zakrytymi tablicami rejestracyjnymi, stoją na awaryjkach z trójkątem na łuku jezdnym, na linii ciągłej, w środku lasu. Grupy ludzi z latarkami świecą kierowcom po oczach, próbują zatrzymać przejeżdżające samochody. To jest skandal! Polska policja powinna w pierwszej kolejności zająć się tą partyzantką stwarzającą zagrożenie na drodze. W drugiej postawić stały patrol pilnujący przejścia. Nie może być zgody na taką anarchię, do tego bazującą na szerzeniu dezinformacji o szturmie nielegalnych imigrantów na granicę”, napisał.

Bąkiewicz nie ma żadnego fachu w ręku, ukończył jedynie liceum i od wielu lat nie pracuje zawodowo.

Dumni „obrońcy granicy” też dokumentują swoje bezprawne działania, zamieszczając w sieci liczne relacje z, jak to nazywają, „zatrzymań obywatelskich”. Nie ma to jednak nic wspólnego z prawną definicją zatrzymania obywatelskiego – można bowiem go dokonać, tylko ujawniając sprawcę przestępstwa na gorącym uczynku.

Tak zwane patrole obywatelskie operują zarówno na przejściach, jak i w przygranicznych miastach, m.in. w Szczecinie, Świnoujściu, Zielonej Górze, Słubicach, Zgorzelcu, Gorzowie. W Zielonej Górze kilkudziesięciu kiboli miejscowego Falubazu ubranych w czarne koszulki wyruszyło patrolować ulice, skandując: „Cała Polska śpiewa z nami: Wypierdalać z uchodźcami!”. Stało się tak po opublikowaniu na związanym z PiS portalu Gazeta Zielonogórska tekstu zatytułowanego „Nielegalni imigranci przesiadują przed szkołami. Obserwują młodzież. Strach wśród

rodziców i uczniów”. Jak wszystko wskazuje, tekst jest zmyślony, został opatrzony fikcyjnym zdjęciem, podpisał się pod nim nieistniejący dziennikarz i chodziło tylko o wywołanie niepokoju wśród mieszkańców miasta. Histerię potęgował były premier Mateusz Morawiecki, zamieszczając w sieci wpis: „Zielona Góra. Nielegalni imigranci przesiadują pod szkołami, obserwują młodzież, chodzą półnaczy. Rodzice alarmują, rząd milczy!”.

Już nie murem za polskim mundurem

Na celowniku Bąkiewicza i jego kamratów z ROG znaleźli się funkcjonariusze Straży Granicznej. Pogranicznicy oskarżani są o „uległość” wobec Niemców. Bąkiewicz pokazał w internecie filmik, na którym zarejestrowano niemieckiego policjanta w towarzystwie polskich policjantów i strażników. Na tej podstawie stwierdził, że niemiecki policjant „pilnuje”

polskich pograniczników. „Przecież to absurd! Niemcy przemycają migrantów do Polski, a jednocześnie nadzorują, by polskim funkcjonariuszom nawet nie przyszło do głowy im w tym przeszkadzać. To niebywały skandal! Na nagraniu widać, jak niemiecki funkcjonariusz – przyłapano na gorącym uczynku – chowa się... do samochodu polskiej Straży Granicznej. Czy ktoś jeszcze ma wątpliwości, kto dziś naprawdę kontroluje sytuację na granicy? Państwo Tuska, ministerstwo Siemoniaka, cała ta władza – to jawna kpina z Polski, z Polaków i z naszych służb. Nie możemy dłużej pozwalać na taką hańbę!”, pękł się wódz polskich nacjonalistów.

Innym razem Bąkiewicz zrobił zdjęcie umundurowanej funkcjonariuszki Straży Granicznej i w mediach społecznościowych zwrócił się z apelem do swoich sympatyków o ustalenie jej tożsamości. „Poszukujemy danych tej funkcjonariuszki

Straży Granicznej. W naszej ocenie popełniła przestępstwo – na polecenie strony niemieckiej wpuściła do Polski migrantów, sprowadzając zagrożenie na zdrowie i życie obywateli polskich. Realizuje wrogą wobec Polski politykę migracyjną – być może na rozkaz przełożonych, którzy świadomie łamią prawo. Proszę o rozpowszechnianie jej wizerunku. Musi zostać pociągnięta do odpowiedzialności”, napisał, a zahacza to o nawoływanie do samosądu.

Shokujący film zamieścili na oficjalnym profilu na Facebooku związkowcy z Zarządu Głównego NSZZ Policjantów. Na udostępnionym nagraniu widać, jak grupa rozwścieczonych kiboli wyzywa policjantów: „Na granicę, kurwy, wypierdalać!”, „Kraju bronić, pedały jebane!”, „Wstyd, hańba!”, „Matkę przeprosi!”.

„To niedopuszczalne, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, które nadzoruje zarówno Policję, jak i Straż Graniczną, do tej pory nie podjęło żadnych realnych działań w tej sprawie. Nie ma i nie może być zgody na to, żeby na granicy polsko-niemieckiej porządek próbowała zaprowadzać zbieranina zamaskowanych ludzi i kiboli. Od przywracania ładu są odpowiednie służby państwowe, a nie samozwańcze bojówki. Oczekujemy natychmiastowej reakcji ze strony MSWiA i realnej ochrony dla policjantów kierowanych na tę granicę”, stwierdził szef związkowców Rafał Jankowski.

Głos zabrał też Karol Nawrocki. Ten stadionowy chuligan, szczygający się tym, że brał udział w nielegalnych ustawkach, nie stanął w obronie mundurowych, ale zaczął kadzić Bąkiewiczowi. „Chcę wszystkim podziękować, na czele z panem Bąkiewiczem, że wypełniają te funkcje państwa, z którymi nie radzi sobie obecny rząd”, powiedział prezydent elekt.

Narrację Bąkiewicza powielają postowie PiS. Wybrańcy narodu utworzyli kabaretowy Parlamentarny Zespół Ruch Obrony Granic w składzie: Janusz Kowalski, Przemysław Czarnek, Michał Wójcik i Dariusz Matecki. Prym w szczuciu wiedzie ten ostatni – internetowy troll i hejter oskarżony o okradanie Funduszu

Sprawiedliwości i Lasów Państwowych, gdzie był fikcyjnie zatrudniony. Matecki nie tylko szczuje, ale również patroluje granice w poszukiwaniu „czarnych”. Dołączył do niego Daniel Nawrocki. Syn Karola Nawrockiego powiedział, że popiera postulat ojca, by zamiast centrów integracji cudzoziemców tworzyć centra deportacji.

Niewygodna prawda

Kłamliwy przekaz o sytuacji na granicy niesie się w sieci, napędzając hejt przeciwko migrantom, Niemcom, a także „sprzedajnym” policjantom i funkcjonariuszom Straży Granicznej. Tymczasem rzeczywistość jest inna. Trzeba zacząć od tego, że wbrew zapewnieniom premiera Donalda Tuska i ministra Tomasza Siemoniaka polskie granice wschodnia i południowa wcale nie są tak bardzo szczelne. Na terytorium Polski przez tzw. zaporę na granicy z Białorusią, przez granicę z Ukrainą, Litwą, Słowacją, a nawet drogą morską przybywają ludzie, którzy kierują się na Zachód, czyli do Niemiec. I tu dochodzimy do sedna sprawy, czyli rzekomego przerzucania do Polski przez niemieckie służby tysięcy migrantów.

Na granicy funkcjonują dwie procedury (obowiązują one we wszystkich państwach Unii Europejskiej): przekazanie i zawrócenie migranta. Zgodnie z obowiązującym prawem, jeśli na terytorium Niemiec zostanie zatrzymany obcokrajowiec, który nie ma uprawnień do legalnego przebywania w tym kraju, a przyjechał z Polski, to zostaje przekazany polskim służbom. Druga sytuacja to zawrócenie. Imigrant, który przybył do Polski, chce się dostać na terytorium Niemiec, ale tamtejsze służby nie pozwalają mu na przekroczenie granicy. Bąkiewicz i jego ludzie robią filmy i zdjęcia przekazania i zawróceń, a potem wrzucają je do internetu, krzycząc o Niemcach przerzucających migrantów do Polski.

Jaka jest skala przekazania i zawróceń migrantów na granicy niemiecko-polskiej? Wbrew kłamliwym twierdzeniom nie są to tysiące każdego dnia. W 2022 r. było 630 przekazania, w 2023 r. – 968,

a w 2024 r. – 688. Z kolei zawróceń było w 2022 r. 54, w 2023 r. – 1705 i w 2024 r. – 9369. Większość przekazanych i zawróconych migrantów nie pochodzi z krajów afrykańskich ani z Bliskiego Wschodu – są to obywatele Ukrainy, co obala histerię o islamskich najeźdźcach. Taka jest prawda, ale nie wiedzieć czemu Donald Tusk i minister Siemoniak nie przedstawiają rzeczywistej sytuacji na granicy, tylko dają się wciągnąć w absurdalną narrację skrajnych prawicowców. Premier ogłosił, że

Rząd PiS przyznał powiązanym z Bąkiewiczem organizacjom gigantyczną kwotę – ponad 14 mln zł.

wprowadza kontrole na granicach z Niemcami i Litwą, co Bąkiewicz ograł jako swój wielki sukces. „Od samego początku mówiliśmy, że to konieczne. I choć Tusk miesiącami lekcewał ostrzeżenia, to lepiej późno niż wcale. To jasny dowód, że zjednoczony naród potrafi odwrócić bieg historii i ocalić się przed, wydawałoby się, nieuniknioną migracyjną zagładą. Ale nie odpuszczamy! Mamy uzasadnione podejrzenia, że działania rządu to jedynie polityczna pokazówka. Dlatego obywatelskie patrole Ruchu Obrony Granic zostają na swoich posterunkach!”, ogłosił z dumą.

Spirala nienawiści

W tym szaleństwie jest metoda. PiS podniosło poprzeczkę i zapowiedziało złożenie projektu ustawy o zakazie wjazdu do Polski osób z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej (sic!), co zapewne doprowadzi do międzynarodowej awantury. Ale dla PiS nie ma rzeczy niemożliwych. Szczucie na migrantów zaczęło się już w 2015 r., gdy Jarosław Kaczyński, aby odczłowieczyć uchodźców z ogarniętej wojną Syrii, zaczął używać retoryki zbrodniarzy hitlerowskich. „Są już przecież objawy pojawienia się chorób bardzo niebezpiecznych i dawno niewidzianych w Europie: cholera na wyspach greckich, dyzenteria w Wiedniu, niektórzy mówią o jeszcze innych, jeszcze cięższych chorobach. No

i są pewne przecież różnice związane z geografą – różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne”, mówił prezes PiS, co wywołało oburzenie historyków i żyjących ofiar nazistowskiego terrozu. Kaczyński straszył islamskimi atakami wymierzonymi w katolików, wydzielonymi strefami w miastach, gdzie obowiązuje szariat, kościołami zamienionymi w przytuliska i toalety. „Czy chcecie państwo, (...) żebyśmy przestali być gospodarzami we

własnym kraju? Czy tego chcecie?”, gardłował nadprezes Polski. Potem był obrzydliwy spot wzorowany na nazistowskich filmach propagandowych. W pisowskiej wersji zamiast na Żydów szczerzo na islamskich uchodźców, którzy po zwycięstwie Platformy Obywatelskiej mieli masowo osiedlać się nad Wisłą, by mordować, gwałcić i rabować Polaków.

Donald Tusk i liderzy partii koalicyjnych w kwestii migracji poddali się presji PiS i skrajnych, faszystowskich środowisk. Odmówienie pomocy migrantom z białoruskiej granicy (w tym chorym, kobietom i dzieciom), kontynuacja represji wobec wolontariuszy niosących im pomoc, niezgodne z polską konstytucją i prawem międzynarodowym zaostreżenie prawa azylowego... Można by tak długo wymieniać. Szokujący jest brak stanowczej reakcji państwa na rosnącą nienawiść i przemoc.

We wrześniu 2024 r. kilkudziesięcioosobowa bojówka „patrolowała” ulice Żyrardowa w poszukiwaniu „obcych”. Chuligani najpierw pobili trzech napotkanych Gruzinów, a potem wdarli się do hostelu, gdzie zakwaterowani byli cudzoziemcy – ludzie ci w popłochu uciekli z Żyrardowa. Nie spotkało się to ze stanowczą reakcją policji, premiera, ministra sprawiedliwości i szefa resortu spraw wewnętrznych, co tylko ośmielałoby bojówkarzy i zachęca do podobnych działań.

Andrzej Sikorski

Nierozliczona zbrodnia jest jak klątwa

Kiedy będą ekshumacje w 1630 miejscowościach, których mieszkańców wymordowano?

Sejm przyjął ustawę, na mocy której 11 lipca, Dzień Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa na Wołyniu, jest świętem państwowym. Od lat 90. „chodził” pan wokół tej sprawy, a teraz był pan posłem sprawodawcą. Wołyn jest panu rodzinnie bliski?

– Wokół tej sprawy „chodziło”, jak pan to określił, kilkanaście osób, reprezentujących środowiska kresowe: np. płk Jan Niewiński, Witold Listowski, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, a także politycy PSL: Franciszek Jerzy Stefaniuk, Jarosław Kalinowski, później Władysław Kosiniak-Kamysz i Piotr Zgorzelski. Moja rodzina nie jest z Wołynia, mieszkaliśmy w Gańczarach, 9 km od Lwowa. W listopadzie 1946 r. rodzice musieli opuścić ojcowiznę, przesiedlono ich do Rogowa, na ziemi legnickiej. Na stacji witała ich jeszcze niemiecka tablica z nazwą Rogau.

Tą problematyką zacząłem się interesować przez kontakty z Kresowianami, którzy mieszkali obok nas. Już nie żyją, ale to, co opowiadali... To było niewiarygodne, wydawało mi się, że to jakieś konfabulacje. Zwłaszcza opisy tortur i okrucieństwa. Trudno było mi w to uwierzyć. Potem pisałem doktorat o mniejszości ukraińskiej w II RP i kwestii tej mniejszości w działalności polskiej dyplomacji. By pozyskać materiały, jeździłem do Lwowa. Prowadziłem kwerendę w tamtejszych archiwach, ponad pół roku tam mieszkalem. We Lwowie zetknąłem się z prof. Mieczysławem Gębarowiczem, wielką postacią, uczonym, historykiem sztuki. W dzień pracowałem w archiwach, a wieczorami profesor zapraszał mnie do siebie

TADEUSZ SAMBORSKI

– poseł PSL w Sejmie II, IV i X kadencji. W latach 1996-1998 i 2002-2004 był prezesem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie.

5 czerwca Sejm uchwalił, że 11 lipca będzie Narodowym Dniem Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na ziemiach wschodnich II RP. „Głównym celem przyjęcia ustawy jest trwałe uczczenie pamięci męczeńskiej śmierci ponad 100 tys. Polaków, głównie mieszkańców wsi, którzy zginęli z rąk nacjonalistów z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz innych ukraińskich formacji nacjonalistycznych w latach 1939-1946”, czytamy w uzasadnieniu.

Ataki na polskie wsie rozpoczęły się wiosną 1943 r., a ich apogeum miało miejsce w lipcu 1943 r. Symboliczną datą jest 11 lipca 1943 r., „krwawa niedziela”, kiedy Polacy byli mordowani w 99 miejscowościach. Wiosną 1944 r. oddziały UPA przeniosły ciężar działań na ziemię lwowską i Podole. Historycy liczbę polskich ofiar czystek etnicznych szacują na 100-130 tys. osób.

na kolację. I przez trzy-cztery miesiące, dzień w dzień, opowiadał o Kresach, o tamtej Polsce. Wtedy dopiero zacząłem rozumieć, na czym to wszystko polega.

Tymczasem w Polsce pamięć o Kresach gasła. Książka Józefa Turowskiego i Władysława Siemaszki dokumentująca zbrodnie na Wołyniu, wydana w roku 1990, była jak biały kruke.

– To był proces, działo się to krok po kroku. Był płk Jan Niewiński, który Kresowian organizował. Zaczęli także pojawiać się ludzie, którzy do Wołynia zaczęli się przyznawać: Mirosław Hermaszewski, Czesław Piotrowski, Krzesimir Dębski – coraz więcej ludzi zaczęło głośno mówić: moja rodzina też stamtąd pochodzi, też mamy tragiczne wspomnienia! I powoli Wołyn zaczął wychodzić

z kręgu niepamięci – ludzie przestali się bać i zaczęli mówić. Choć w zasadzie ci starsi do końca z obawami, nigdy nie było w tym otwartości, tylko w cztery oczy...

Jakby przekazywali największą tajemnicę, którą trzeba ukrywać...

– Jakby się bali otwarcie przyznać, że im pół rodziny wyrznęli. Jakby mieli poczucie winy, że widzieli... Może też był strach, że to się powtórzy. W każdym razie ludzie zaczęli się otwierać. I zaczęło się upominanie o prawdę. Początkowo było to nieśmiałe, ale każdy kolejny rok posuwał nas do przodu.

Jan Niewiński organizował spotkania Kresowian. Byłem na jednym z nich, w siedzibie NOT na Czackiego w Warszawie. Pełna sala, starsi, spracowani ludzie, znoszone garnitury, garsonki... Słowa o Wołyniu. I zero zainteresowania dziennikarzy. Pamiętam też, jak ze zdumieniem słuchano Marii Berny, senator z listy Lewicy.

– Jan Niewiński to ostatni komendant samoobrony polskiej w miejscowości Rybca koło Krzemienia. On nas wszystkich zaczął gromadzić. Miejsmem naszych spotkań było Muzeum Niepodległości, tam się tworzył ruch, w zorganizowanej postaci, jako komitet społeczny obchodów kolejnej rocznicy. I 60. rocznicę masakry, w 2003 r., organizował już komitet społeczny. Choć to wciąż było jakby poza głównym nurtem. Nie tylko politycy nie chcieli tym się zajmować. Pamiętam, jak podczas jakiejś uroczystości w Galerii Porczyńskich powiedziałem jednemu z dostojników Kościoła, że wracam do propozycji, by zamontować w warszawskim kościele tablicę poświęconą zamordowanemu na Wołyniu kapłanowi. A kardynał mi odpowiedział: panie dyrektorze, Polacy najpierw niech się sami ze sobą rozliczą ze swoich win i grzechów...

Pan zaczął organizować uroczystości w Legnicy.

– Tu zadziałał prosty mechanizm poczucia niesprawiedliwości. Dlatego te ofiary mają być ukryte, dlatego mamy o nich nie mówić? A jeśli już, to w ciszy, półgębkiem? Zaczniemy mówić, przez nabożeństwo, bo

modlitwy nikt nie zakwestionuje. Czyli zaczęło się nie od sesji naukowych, wystąpień polityków, ale od nabożeństw. I w tych nabożeństwach zawsze układałem teksty do modlitwy wiernych. Wkładałem tam swoje myśli, modliłem się za ofiary, ale zawsze też wspominałem o Ukraińcach, których historiografia nazywa sprawiedliwymi, a ja – szlachetnymi. Czyli o tych, którzy ratowali Polaków sąsiadów i nie chcieli uczestniczyć w zbrodniach. Ich liczbę szacuje się na 60 tys. To była mniejszość, ich szlachetne postawy nie były powszechne, dlatego tym bardziej je doceniam. Wszyscy powinniśmy docenić tych Ukraińców, którzy w tamtych tragicznych dniach zachowali człowieczeństwo.

Wokół tej sprawy chodzili m.in. płk Jan Niewiński, Witold Listowski, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Franciszek Jerzy Stefaniuk, Jarosław Kalinowski, Władysław Kosiniak-Kamysz i Piotr Zgorzelski.

Obchody się rozrosły.

– Wzbogaciliśmy je o seminaria naukowe, o część artystyczną. Ludzie przychodzili. Na Dolnym Śląsku co drugi mieszkaniec ma korzenie kresowe.

Historycy szacują, że ze Wschodu przesiedlono 1,8 mln Polaków.

– To masa ludzi. Oni mają swoją pamięć – organizując uroczystości upamiętniające tamten czas, mogliśmy liczyć na Kresowian, ich potomków, na samorządowców, lokalnych działaczy. To ich działalność sprawiła, że pamięć o Kresach, o Wołyniu przetrwała. Naszym działaniom zawsze towarzyszyła maksyma: „Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary”. Skuteczną pomoc otrzymałem też ze strony PSL. Waldemar Pawlak podpisał umowę o współpracy z Kresowym Ruchem Patriotycznym kierowanym przez Jana Niewińskiego. Mogłem też liczyć na Jarosława Kalinowskiego, Władysława Kosiniaka-Kamysza, Franciszka Stefaniuka, Adama Struzika, Piotra Zgorzelskiego, Stanisława Wójcika, Bożenę Żelazowską, Janusza Gmitruka, Tadeusza Skoczka, Annę Panas, Tadeusza Sławeckiego.

Skąd poparcie PSL?

– Mamy swoją wrażliwość. Poza tym niemal wszystkie ofiary to

chłopi, mieszkańcy wsi i miasteczek Wołynia, Podola, Pokucia, Polesia, ziemi lwowskiej... Pamięć o nich to nasz moralny i patriotyczny obowiązek.

I to posłowie PSL podpisali się pod wnioskiem o ustanowienie 11 lipca świętem państwowym.

– A gdy Sejm to przegłosował, niemal jednogłośnie, Konfederacja napisała, że to jej sukces. Potem musieli przyznać, że to był wniosek PSL. Dziś może to więc wyglądać tak, że sprawa upamiętnienia Polaków zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów nas jednoczy, ale przecież było różnie. Gdy w drugiej kadencji Sejmu zacząłem składać interpelacje, często odpowiadała mi cisza. Pamiętam porażkę z roku

2013, gdy nie udało się na określenie zbrodni wołyńskich wprowadzić słowa ludobójstwo. Stało się to dopiero w 2016 r., w uchwale Sejmu o obchodach Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa. Nasza ustawa jest zwieńczeniem tych wszystkich starań. Przekonałbym PO, a PiS jakby poszło z rozpędu – myślę, że przy głosowaniu parę osób zaciskało zęby, bo oni normalnie byliby przeciw, ale teraz jest taki moment, takie okienko historii, że się nie odważyli. Wszyscy pamiętamy, co prezydent Duda powiedział ks. Isakowiczowi-Zaleskiemu – że lepiej, by ksiądz zajmował się tym, czym kapłan powinien się zajmować. I że o Wołyniu to możemy porozmawiać, ale po wojnie.

Słowa Andrzeja Dudy są charakterystyczne dla postawy wielu ważnych polityków i wielu Polaków: nie rozdrapywać ran, nie drażnić.

– Widzę w tym też element antyrosyjskości – wszystko, co przeciwko Rosji, trzeba podsycać. Więc – podpowiadano nam – w sprawie Wołynia musimy milczeć. Musimy zapomnieć o śmierci rodaków. To nie jest ani godne, ani mądre.

Wydaje mi się, że przełomową rolę odegrał film „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego.

► – Film przełamał barierę niewiedzy, złamał kanon poprawności politycznej. Jestem w nim wymieniony w napisach końcowych dwa razy. Raz jako ten, który wsparł finansowo, wtedy jako członek władz województwa dolnośląskiego, drugi raz – w gronie konsultantów. To trochę za dużo... Chodziłem z Janem Niewińskim do Wojciecha Smarzowskiego, rozmawialiśmy o tamtych czasach i bardzo go namawialiśmy, żeby pokazać sylwetkę i śmierć Zygmunta Rumla. Początkowo naszym opowieściom nie za bardzo wierzył, ale potem znalazł dodatkowe materiały i ta opowieść w filmie jest.

W filmie Rumel występuje pod nazwiskiem Krzemieniecki.

– Był komendantem Okręgu VIII Batalionów Chłopskich (okręg Wołyń), absolwentem polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, poetą. Leopold Staff mówił o nim: to będzie wielki poeta. Napisał wiersz „Dwie Matki”, o dwóch ojczyznach, Polsce i Ukrainie. Gdy wywiad AK zaczął donosić, że szykują się rzezie, Kazimierz

Banach, ludowiec, pełnomocnik rządu Rzeczypospolitej, wysłał go do kwatery dowództwa UPA, by spróbował zawrzeć umowę o zaprzestaniu ataków i wspólnej walce z Niemcami. Rumel poszedł na rozmowy w geście dobrej woli, bez broni, pistolet położył na stole. „Ładne wiersze piszesz”, powiedział ironicznie dowódca UPA, po czym kazał go wziąć pod pachy. I rozerwali go końmi. Proszę zwrócić uwagę – on był rzecznikiem pojednania polsko-ukraińskiego. Tak działał, tak pisał. Ale to była metoda Ukraińców z OUN – zwalczać tych Polaków, którzy chcieli zgody. Tego dowodzą przedwojenne zamachy na Hołówkę, Pierackiego. Im nie byli potrzebni politycy polscy, którzy budowali zgodę. Im potrzebny był konflikt.

Gdy Smarzowski zaczął kręcić „Wołyń”, padały okrzyki, że to błąd, że Polacy pokłócą się z Ukraińcami, że to będzie straszna rzecz. Tymczasem nic takiego się nie stało.

– Pamięć nie niszczy. Od zawsze głoszę tezę, że jesteśmy winni ofiarom Wołynia prawdę, pamięć,

modlitwę i godny pochówek. Te cztery elementy składowe. Pierwsze trzy udało się zrealizować: są publikacje, udało się zebrać pokaźną część wspomnień, są tablice pamiątkowe, pomniki – choć łatwo nie było. Ale czwartego postulatu zrealizować nie możemy. Stąd ten ból, że nie pozwalają nam wykonać obowiązku Antygony, pochować pomordowanych. Takie sytuacje nie powinny mieć miejsca w rodzinie cywilizowanych narodów.

Ekshumacje zostały przez stronę ukraińską wstrzymane, bo w Polsce w 2017 r. rozebrano nielegalny pomnik UPA w Hruszowicach.

– Mamy honorować morderców Polaków na naszym terenie? Mamy wznosić im pomniki, podczas gdy kości niewinnych polskich ofiar gniją w dołach na śmieci? Tu nie ma równości.

Były ambasador Ukrainy w Polsce Andrij Deszczycia tak właśnie mówi: „Trzeba to zrobić, zróbmy te ekshumacje, upamiętnijmy te ofiary. Nie uwierzę, że problemy

PAMIĘĆ O KRESACH NA DOLNYM ŚLĄSKU

U mnie, na Dolnym Śląsku, zawsze w sprawach Kresów, Wołynia mogłem liczyć na samorządowców, na lokalnych działaczy – mówi Tadeusz Samborski. – Konsekwentnym i twórczym strażnikiem pamięci o Kresach i ofiarach ludobójstwa jest **wicestarosta powiatu legnickiego JANINA MAZUR**. Wspiera ją **starosta ADAM BABUŚKA**, również mający kresowe korzenie. Wiele dobrego w dziele utrwalania pamięci czynią też **MARIA DYCHOWICZ** (sekretarz Stowarzyszenia Kulturalnego Krajobrazy), **KAZIMIERZ BURTONY** – prezes legnickiego PSL, **WANDA GOŁĘBIEWSKA**, **WOJCIECH SZYDŁOWSKI** z Krajobrazów. Imponują energią samorządowcy: **ZENON ZATCHIEJ**, członek zarządu powiatu lwóweckiego, postawił w swojej wsi Grudza obelisk upamiętniający ofiary ludobójstwa. **WŁADYSŁAW ANDRUCHÓW**, pochodzący z wioski na Wołyniu Słobódka Dżuryńska, w swojej wsi, Grzybianach, postawił tablicę upamiętniającą ofiary UPA. **ALICJA SIELICKA**, **burmistrz Prochowic**, zamontowała tablicę upamiętniającą Zygmunta Rumla. Nadała też jego imię miejskiej bibliotece.

Teraz odsłaniliśmy nową tablicę w miejscowości Nowa Wieś Legnicka, z inicjatywy władz powiatu i sołtysa **ALBERTA KOROTKIEWICZA**, utalentowanego samorządowca młodego pokolenia. Tablica upamiętnia „Ofiary okrutnego ludobójstwa dokonanego na ludności

polskich Kresów Wschodnich przez nacjonalistów ukraińskich w latach 1939-1947”.

Kolejnymi inicjatorami odsłaniania tablic upamiętniających ofiary ludobójstwa to **LESZEK BUZDYGAN** ze wsi Pątnów Legnicki i **DARIUSZ GIERUS**, sołtys wsi Niezgoda w powiecie trzebnickim. W szlachetnym dziele utrwalania pamięci o kresowym ludobójstwie aktywny udział bierze **marszałek PAWEŁ GANCARZ**, który czynił to już jako wójt gminy Stoszowice, a teraz kontynuuje w roli samorządowego gospodarza Dolnego Śląska. Na ziemi dolnośląskiej jest wiele przykładów lokalnych inicjatyw upamiętnienia ofiar banderowskiego ludobójstwa (np. wieś Wykroty w powiecie bolesławieckim czy środowisko peeselowsko-kresowe w Kłodzku oraz Oddziały Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Dzierżoniowie i Świdnicy), wszystkich nie sposób wymienić w tym krótkim szkicu tematycznym.

Nieocenione zasługi w organizacji corocznych obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa banderowskiego mają **zakonnicy ze zgromadzenia oo. Franciszkanów** w kościele św. Jana Chrzciciela w Legnicy, z **przeorem ZDZISŁAWEM TAMIOŁĄ**. To u nich od ponad 20 lat odprawiana jest każdego roku okolicznościowa msza, a po niej następuje złożenie kwiatów pod tablicą upamiętniającą ofiary.

administracyjne czy prawne są jedyną przeszkodą. Moim zdaniem jest jakaś blokada po stronie ukraińskiej”.

– Właśnie, dlaczego odmawiają pochówków? Czego się boją? Może tego, że ekshumacja szczątków pomordowanych mieszkańców polskich wsi byłaby szokiem? Pokazałaby światu prawdziwy rozmiar ludobójstwa. I jego bestialstwo – mordowano kobiety, dzieci, nawet kilkuletnie i kilkumiesięczne.

zbrodnia jest także zagrożeniem, że może się powtórzyć! Znaczący zagadnienia ustalili ponad 200 tortur i sposobów zabijania Polaków. Bronią się przed ekshumacjami, Ukraińcy sami sobie szkodzą. Bo jakie są tego konsekwencje? W Polsce to wzrost nastrojów antyukraińskich, wzrost nieufności i rozgoryczenie w wymiarze ludzkim i indywidualnym. Upamiętnienie ofiar, krzyż na ich grobie to byłaby droga do uspokojenia nastrojów.

ludobójczy program, przyjęli w roku 1929 i według niego indoktrynowali swoją młodzież.

Każdy chyba naród ma w swojej historii rzeczy podłe. My mamy wstydlive karty z czasów II wojny, np. stosunek do Żydów, szmalcownictwo. Żyją przecież dzieci i wnuki szmalcowników.

– Tak, ale u nas zachowania haniebne i wstydlive miały inną skalę, były dziełem elementów marginalnych społeczeństwa.

Na Ukrainie pewnie po wioskach stoją zrabowane z polskich domów szafy i stoły...

– Ale jeżeli o tym się nie wie? Parę tygodni temu wioził mnie taksówkarz Ukrainiec. W pewnym momencie zagadnął: dlaczego wy, Polacy, tak nie lubicie Bandery? Więc go zapytałem: a ty wiesz, kto to był Bandera? No tak – odpowiedział – walczył o niepodległą Ukrainę. Powiedziałem mu na to: Bandera nie przyczynił się w żadnym stopniu do niepodległości Ukrainy, Ukraina uzyskała ją w innym mechanizmie. To był natomiast konstruktor idei nienawiści, ludobójstwa. Ten chłopak nic o tym nie wiedział.

Ukraińscy politycy, publicyści nie chcą o tym mówić.

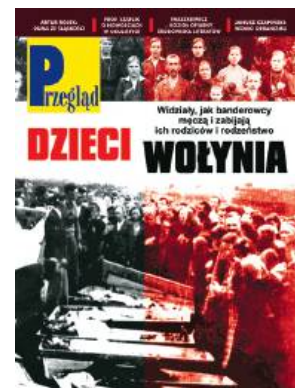
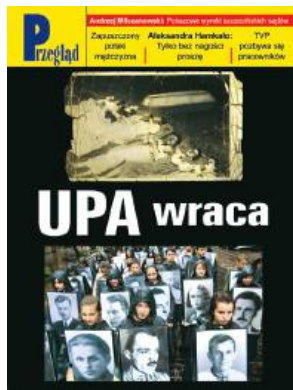
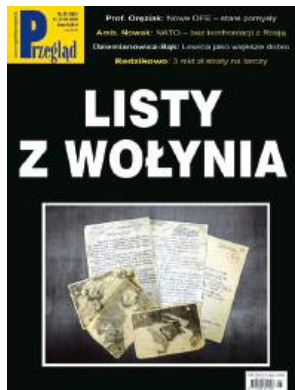
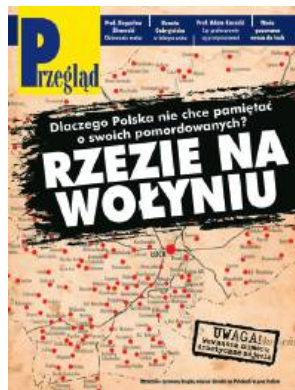
– Jeśli chodzi o stronę ukraińską, to tym, który powiedział za dużo, w ich rozumieniu, był Łeonid Krawczuk, ich pierwszy prezydent.

Urodził się w 1934 r. na Wołyniu.

– To on powiedział: moi rodacy zamordowali pół miliona Polaków. My podajemy, że z rąk ukraińskich nacjonalistów zginęło 200-220 tys. Polaków. Łeonid Krawczuk był tym pierwszym, który się otworzył.

Jeszcze był Kuczma. A potem mur.

– Dwa lata temu ks. Isakowicz-Zaleski napisał: „To jest naprawdę największy paradoks, ale za prezydentury postkomunistów, czyli ze strony Ukrainy – Łeonida Krawczuka i później Łeonida Kuczmy, a także Aleksandra Kwaśniewskiego w Polsce, dokonało się największej pozytywnej wspólnej polsko-ukraińskich działań w odniesieniu do problemu ukraińskiego ludobójstwa na Polakach. (...) Natomiast po 2005 r., czy to za rządów Prawa i Sprawiedliwości, czy też Platformy Obywatelskiej, obserwujemy już



Pokazałaby też metody zabijania. Skala okrucieństwa, jakie zgotowano kresowym Polakom, wzbudzała kontrowersje nawet wśród nacjonalistów ukraińskich. Taras Borowec, ps. Taras Bulba, pisał do Bandery: „Przez ciebie naród ukraiński będzie przeklęty i nienawidzony na wieki”. Być może prorocze są słowa jednego z publicystów komentujących opinię Tarasa Bulby: „Na ziemi, na której depcze się szczątki nieludźko mordowanych ludzi, a morderców uważa za bohaterów – nigdy nie będzie dobrze się żyło. Nierozliczona zbrodnia jest jak klątwa”. Trudno nie zgodzić się z tą tezą – nierozliczona

Istnieje też teza, że zapiekłość OUN i UPA była odpowiedzią na polskie panowanie, na jakąś formę polskiego kolonializmu.

– To nie jest dobre wytłumaczenie. Był dwór i była wieś, ale wsie były też polskie. Chłop polski i chłop ukraiński byli w podobnej sytuacji. A przede wszystkim z polskiej strony, ani za I Rzeczypospolitą, ani za II Rzeczypospolitą, żadne środowisko nie wytworzyło programu ludobójstwa. Owszem, nie brakowało z naszej strony pańskiego zadęcia, ale to nie powód do mordów! A oni stworzyli ten

► tylko systematyczne rozmiękczenie problemu ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej oraz kolejne, piętrzące się ustępstwa ze strony polskich władz wobec strony ukraińskiej”.

Na Ukrainie przyszła nowa fala polityków.

– Jeśli chodzi o świadomość Ukraińców, to jest w ogóle temat oddzielny. Dam przykład. W Warszawie mieszkam naprzeciwko Muzeum Niepodległości, przy moim bloku jest osiedlowy skwerek, na którym stoi kapliczka z płaskorzeźbą Matki Boskiej Redutowej, bo tam była powstańcza barykada. Kiedyś wracałem z jakiejś uroczystości w niedzielę i patrzę, dwie dziewczyny przy tej

Czyli był wyrok historii albo wyrok Boga, a oni go wykonali?

– W rozmowach z Ukraińcami teza, że to był „czas umierania”, powtarza się często. Jest książka „Mój wołyński epos”, napisał ją Leon Żur, naoczny świadek mordów; był wtedy chłopcem, miał kilkanaście lat. Opisuje, jak mordowano ks. Ludwika Wrodarczyka, proboszcza we wsi Okopy. Gdy Ukraińcy napadli na tę wioskę, wikary odnalazł go w kościele, jak leżał krzyżem. „Jest jeszcze jedna ścieżka, można uciec do lasu”, mówił. Na co Wrodarczyk odpowiedział: „Ja przecież im niczego złego nie zrobiłem, ja się za nich modłę”. Oczywiście pojмали go i przeprowadzili egzekucję. W tym oddziale,

jedne na drugich, na stosy. Był to widok zdecydowanie nie dla dziecka, którym wtedy byłem. Podśuchałem, że mamę i resztę rodziny spalono, a dziadek Józek został rozerwany granatem. To było straszne, musiałem przepętląć między zwłokami. Ale byłem twardy” – to jedna z opowieści, i to nie najbardziej straszna...

Mamy więc święto państwowe i mamy zadanie na lata. Wydobycie kości Polaków spoczywające w dołach śmierci, na wysypiskach, w miejscach zapomnianych... I pochować je godnie, na nowo.

– A oprócz tego mamy zadanie edukacyjne. W Polsce – bo wiedza o Kresach jest nieduża, i w społeczeństwie ukraińskim. To rola dla dyplomacji, dla instytucji kultury, samorządów, które mają umowy partnerskie. W Polsce jest 1 mln Ukraińców, więc można przygotować dla nich specjalne wydawnictwa – jak ktoś bierze 800+, to dajmy mu też broszurę z informacjami. A polskim politykom potrzebna jest odwaga, żeby mówili prawdę.

Zadania są więc wyznaczone.

– Jeśli chodzi o ekshumacje, to jestem umiarkowanym optymistą. Mam wrażenie, że ze strony Ukrainy są to ruchy pozorne. Dają pozwolenie na ekshumację w jednej czy dwóch wsiach, a przecież na samym Wołyniu było 1630 miejscowości, których mieszkańców wymordowano, które spalono. A Podole, Pukucie, a ziemia lwowska? Wobec tych wszystkich ofiar mamy obowiązek – pamięci, godnego pochówku.

Proszę zwrócić uwagę – pomordowanych Polaków nie można ekshumować, nie można ich godnie pochować, tymczasem mamy informacje o ekshumacjach Niemców – ponad 100 tys. żołnierzy niemieckich. Mówiłem o tym z trybuny sejmowej – to paradoks i chichot historii, że ci, którzy przyszli tam jako najeźdźcy, mogą swoich żołnierzy ekshumować, pochować, a my naszych rodaków, którzy mieszkali tam od wieków, wrosli w tę ziemię korzeniami – nie możemy.

Naszym działaniom zawsze towarzyszyła maksyma: „Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary”.

kapliczce się fotografują. Rozmawiają po rosyjsku: co to za kapliczka, skąd się wzięła? Wyjaśniłem i zapytałem, skąd są. Z Odessy! Są studentkami czwartego roku teologii na KUL. „Odessa, piękne miasto, znam ulice – pochwaliłem się i dodałem – no, na ten jasny wizerunek waszego miasta cień położyła sprawa spalenia ludzi w Domu Związków Zawodowych”. Zaperzyły się: „Proszę pana, oni musieli ich spalić, bo wpływy rosyjskie by się w Odessie umocniły!”. Pomyślałem, że jeśli studentka teologii, przyszła katechetka mówi, że musieli ich spalić, to jaka jest tam świadomość...

Opowiadał mi były konsul we Lwowie, że przyszedł kiedyś do niego wiekowy Ukrainiec, który napisał książkę o relacjach polsko-ukraińskich w czasie wojny, i zapytał, czy konsulat mógłby mu pomóc w jej wydaniu. „Proszę przynieść maszynopis, zobaczymy”, otrzymał odpowiedź. Przyniósł. Po paru dniach się spotkali. I konsul mu mówi: „Proszę pana, pan opisuje, jak pacyfikowaliście polską wieś, mordowaliście”. A on na to: „Panie konsulu, tylko trzy wioski. Inni wymordowali po kilkanaście!”. Nie miał poczucia winy, poczucia wstydu. Tłumaczył to tym, że dla Polaków to był „czas umierania”.

który napadł na wioskę, był student czwartego roku medycyny we Lwowie. Miał dewiację – lubił wyjmować ludziom serca, jeszcze drgające. Rozłożyli tego księdza i on go toporkiem nacinał... A Żur był gdzieś tam na sianie w stodole ukryty, widział to.

Po latach pojechał w tamte rejony. Z kamerzystą. Chodził po tej wiosce cały dzień, od domu do domu, pytał, czy pamiętają jego rodziców, dziadka, jak zginęli... Ukraińcy w geście przyjaźni zorganizowali wieczorem ognisko i doszło do wspomnień o tym tragicznym wydarzeniu. Opowiadali, że kiedy księdza rozłożyli, siadły mu na rękach dwie siostry, sanitariuszki w tym oddziale UPA. One były na tym ognisku i to opowiadały – że siedziały. Kamerzysta wtedy nie wytrzymał i rzucił: „To przecież uczestniczyliście w zbrodni!”. A jedna z nich na to: „To był czas waszego umierania”.

O tym mówią też wspomnienia, których zbieranie zainspirowała Janina Mazur, ówczesna (w 2015 r.) starosta powiatu legnickiego.

– W ramach konkursu „Pamiętnik pokoleń” opowiadali ludzie starsi. „Szedłem w kierunku zmasakrowanej rodzinnej wsi. Wszędzie leżały spalone, porozcinane ciała dzieci i osób dorosłych, były poukładane,

Z Galicji



Jan Widacki

Chyba przeliczytuję kolegę

Wśród felietonistów „Przeglądu” etatowym nie-jako pesymistą jest prof. Andrzej Romanowski, który kilka razy w miesiącu dzieli się z czytelnikami swoimi „refleksjami pesymisty”. Mam nadzieję, że nie obrazi się na mnie za to, że dziś przeliczytuję go na tych łamach w pesymizmie.

Patrzę na scenę polityczną, na krajobraz po (wyborczej) bitwie, i mój pesymizm jest równie głęboki jak Rów Filipiński. Wybory, jakkolwiek już po wynikach pierwszej tury nie powinny nikogo dziwić, wciąż były przedmiotem złudzeń. Zderzenie z rzeczywistością okazało się bolesne. Nie dość, że Karol Nawrocki wygrał z Rafałem Trzaskowskim, to jeszcze Braun zebrał ponad 1 mln głosów! W pierwszej chwili Tusk zachował się rozsądnie. Wystąpił o wotum zaufania dla swojego rządu, zgodnie z oczekiwaniami dostał je, bo koalicja jeszcze się nie rozpadła. Zaraz po tym powinny nastąpić kolejne kroki pokazujące, że rząd rządzi, że ma wsparcie szerokiej koalicji, że pracuje, ma sukcesy. Nie nastąpiły.

Rząd przykładą rękę do upowszechniania w społeczeństwie postaw nacjonalistycznych, rasistowskich, które wysadzą go razem z koalicją w powietrze.

W sytuacji, gdy konieczna była ofensywa medialna, premier przez miesiąc szukał kandydata na rzecznika rządu. W kręgach koalicyjnych mówiono, że będzie to „polityk z górnej półki”. W końcu rzecznikiem został Adam Szłapka. Nie wiem, czy to rzeczywiście „górną półkę” Platformy (w takim razie jakie są te średnie półki, nie mówiąc o niższych?), ale rzecznik jest zupełnie niemrawy. A czas wymaga aktywności. Rzecznik powinien mówić nie tylko do dziennikarzy, zwłaszcza tych zaprzyjaźnionych, ale wprost do ludzi. Powinien informować, tłumaczyć, pokazywać kłamstwa, na których opiera się przekaz konkurencji politycznej. Konferencja prasowa powinna gonić kolejną, a współpracownicy rzecznika powinni być cały czas aktywni w internecie. Powinni, ale nie są, konferencji prasowych też nie ma za dużo.

Trzeba w końcu wziąć się do energicznego rządzenia, uchwalania ustaw – niech je sobie potem do woli wetuje ustępujący prezydent, a po nim jego następca. Pokaże się wtedy ludowi, kto przeszkadza w naprawianiu państwa. Na razie jednak nie ma czego wetować.

Weźmy pierwszą z brzegu sprawę: przez półtora roku nie udało się odkręcić barbarzyńskiej pisowskiej

nowelizacji Kodeksu karnego. Nadal wśród celów kary nie ma resocjalizacji, wciąż można skazywać na bezwzględne dożywocie albo na 30 lat pozbawienia wolności, można wsadzać do więzienia 14-letnie dzieci.

Poza zmianami kadrowymi na szczeblach kierowniczych w sądach i prokuraturze, wciąż nie ma projektu ustawy usprawniającej sądownictwo. Częste zmiany władzy, połączone z zasady ze ściganiem karnym poprzedników i czystkami w służbach, demoralizują i służby, i prokuraturę. Nie tylko policjanci w krakowskim sądzie, ale nawet Straż Marszałkowska w Sejmie boi się zatrzymać na gorącym uczynku – i z tej racji niechronionego żadnym immunitetem – szalejącego Brauna, demolującego wystawy, łamiącego choinki czy sprzęt nagłaśniający, wariującego z gaśnicą. Boją się, że po kolejnych wyborach mogą stracić pracę. Prokuratorzy, którzy mieli ścigać za pisowskie afery, też jakby zwolnili tempo pracy.

Żalotne próby unieważnienia wyborów, żądania ponownego przeliczenia głosów, tarcia w koalicji, wygórowane ambicje Hołowni, który wprowadzie ma niekwestionowane kwalifikacje konferansjera, ale dopiero co przegrał wybory nawet ze wspomnianym Braunem, a jego zaplecze polityczne już dawno przestało istnieć, choć on, zdaje się, tego nie zauważył i chce dyktować jakieś

warunki! Wszystko to ośmiesza rządzącą koalicję, osłabia państwo. Rząd, który miał zostać zrekonstruowany, ale nie może, bo koalicjanci nie potrafią się dogadać, podtrzymuje narrację Brauna, Kaczyńskiego czy Mentzena w sprawach cudzoziemców i granicy. A robi to jakby nieświadom, że przykładą rękę do upowszechniania i utrwalania w społeczeństwie postaw nacjonalistycznych, rasistowskich, ksenofobicznych, które – jeśli zakorzenia się na dobre – wysadzą go razem z koalicją w powietrze. Albo rząd nie dotrwa do wyborów, albo jakoś dopełni jeszcze do końca kadencji, tracąc resztki poparcia.

Tak czy inaczej, najbliższe wybory, jeśli nie zdarzy się jakiś cud, wygrają PiS i jego koalicjanci. Mając w dodatku swojego prezydenta, nie tylko przywrócą dawne porządki, ale także srogo się zemszczą za ostatnie lata, kiedy byli odsunięci od władzy. Nastanie dla Polski długa noc autorytarnych, nacjonalistycznych rządów. Takie rządy będą nie do zniesienia na dłuższą metę i kolejne pokolenie zrobi rewolucję. Ale będzie to już raczej pokolenie dzieci Zandberga. Polacy zaczną od początku swój marsz ku wolności. Chyba że zdarzy się jakiś cud. Po cichu trochę na niego liczę. ■

Wakacyjny wyjazd? Zbankrutujesz!

Polacy planują wydać na wakacje 2025 średnio 4401 zł.
Aż 13% rodzin zostanie w domu

Kornel Wawrzyniak

Z raportu „Wakacyjny Portfel Polaków 2025” opracowanego przez Związek Banków Polskich wynika, że 58% rodaków spędzi wakacje w kraju. To o 2 pkt proc. więcej niż rok temu. Za granicą wczasy planuje spędzić 23% osób, 13% zostanie w domu. Co ciekawe, większość, bo aż 60% respondentów, twierdzi, że sfinansuje swoje wakacje z własnych środków i na pewno nie weźmie w tym celu kredytu. Kolejne 22% takiej opcji raczej nie planuje. Łącznie jedno gospodarstwo domowe zamierza wydać na wakacje 4401 zł. Jak Polacy spędzą wakacje za tę kwotę?

Wszędzie droższa

Wedle danych Głównego Urzędu Statystycznego ceny w czerwcu 2025 r. wzrosły rok do roku o 4,1%. Nic też nie wskazuje, aby miały one w najbliższym czasie spaść. Cieszyć może fakt, że według Narodowego Banku Polskiego miesiąc wcześniej mieliśmy najniższą inflację bazową od przeszło pięciu lat. Niestety, nie zmienia to faktu, że wakacyjny wyjazd stał się dla większości Polaków sporym luksusem, a niekiedy wydatkiem niemożliwym.

Na potrzeby raportu „Wakacyjny Portfel Polaków 2025” przeprowadzono symulacje kosztów wakacji dla czteroosobowej rodziny w trzech opcjach finansowych: do 5 tys., do 10 tys. i do 15 tys. zł. W pierwszej opcji analizowano pobyt na Mazurach. Nocleg w zależności od standardu kosztuje między 990 a 3130 zł. Obiad dla czterech osób w lokalnej restauracji to koszt rzędu 275,54 zł. Poszczególne atrakcje są zaś wyceniane w granicach 150-223 zł. Za 10 tys. zł postanowiono w symulacji wysłać rodzinę na tygodniowy

pobyt nad Bałtykiem, dokąd miałyby dojechać pociągiem relacji Kraków-Gdańsk. Nocleg w apartamencie wyceniono średnio na 4681 zł. To o 1 tys. zł drożej niż w zeszłym roku. Wyżywienie kosztuje 2,1 tys. zł, a lokalne atrakcje – od 800 do 1 tys. zł. W ostatniej opcji, za 15 tys. zł, naszą czteroosobową rodzinę wysłano na wakacje all inclusive do Egiptu za 13 580 zł. W Grecji cena jest podobna – 13 923 zł, a w Hiszpanii – 13 958 zł. Specjaliści wskazują, że pobyt w Egipcie zdrożał rok do roku o 4080 zł, za to wyjazd do Hiszpanii jest tańszy nawet o 5828 zł.

„Jeśli mam jechać na wakacje gdzieś w Polsce, musi to być głusza, samotny domek z dala od

rezygnuje w tym celu z rozrywek, 61% twierdzi zaś, że na rzecz wakacji jest w stanie odłożyć w czasie zakup samochodu lub remont mieszkania.

Dzieci do babci

Badanie „Wakacyjne wydatki na dzieci” przeprowadzone przez BIG InfoMonitor w 2024 r. wykazało, że średni koszt letnich zajęć dla dzieci to 1421 zł. Z kolei za kolonie trzeba zapłacić nawet 5 tys. zł. W sondażu tym 43% rodziców zadeklarowało, że ich dzieci spędzą przynajmniej część lata u krewnych lub znajomych. Około 30% opiekunów twierdzi, że ich pociechy zostaną w domu. Rodzice biorący udział w ankiecie wskazali,

Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że ceny w czerwcu 2025 r. wzrosły rok do roku o 4,1%.

turystycznego piekielka, co bywa zadaniem z rodzaju niewykonalnych. W Polsce przemysł turystyczny jest wcieleniem najgorszego rodzaju masówki, gdzie wczasowiczów się nie szanuje, tylko wyciska jak cytrynę z każdej złotówki, niewiele oferując w zamian. Zastanówmy się, dlaczego ludzie nad polskim morzem ciągle na siebie włożą, dlaczego na plaży gra radio zagłuszające szum morza? Bo ktoś to tak zaprojektował. Ciasno upchani ludzie to więcej pieniędzy z tej samej powierzchni, ale też dużo więcej nerwów. Czy to jest wypoczynek?”, ocenia specjalista od komunikacji społecznej dr Miron Nalazek.

Według raportu przygotowanego przez Allianz Partners Polacy plusją się w czołówce najmniej wydających turystów w Unii Europejskiej. Podobnie jak inni mieszkańcy Europy są skłonni ograniczyć codzienne wydatki, aby móc wyjechać na wakacje. 65% ankietowanych rodaków

że dzieci nie znajdują interesujących zajęć czy wyjazdów (24%) lub nie chcą wyjeżdżać na wakacje bez rodziców (24%). Mieszkańcy wsi (25%) i małych miasteczek (18%) zauważyli również, że w ich okolicy brakuje atrakcyjnych ofert dla dzieci i młodzieży.

Fundacja Rodzic w mieście zajmująca się tzw. urban parentingiem obliczyła, że dziś dwa obozy i jeden turnus półkolonii kosztują 6358 zł. Problem w tym, że to tylko jakaś część dwumiesięcznych wakacji. Obozy tematyczne potrafią kosztować kilka tysięcy złotych za tygodniowy wyjazd. Internauci we wpisach pod postem fundacji dzielą się sposobami na załatwianie wakacyjnej opieki nad dziećmi. „U nas brak możliwości wakacji u dziadków, więc pozostaje »szycie«. Jeden turnus półkolonii, nasz rodzinny urlop, rodzice kolegów syna, oczywiście super sąsiedzi i wymienialność dzieci u siebie wzajemnie,



ale nade wszystko cieszy mnie to, że mogę pracować zdalnie, więc, nawet pracując, mogę mieć pieczę nad dzieckiem”, pisze jedna z internetek. Po prześledzeniu większości wpisów okazuje się, że pobyt u dziadków jest strategicznym elementem organizowania dzieciom wakacji.

Ale nawet jeśli ma się odpowiednie środki, aby wysłać dziecko na interesujący obóz, nie każdy wyjazd okazuje się sukcesem. „Zeszłoroczny obóz konny Marysi to kłapa. Niby uznany podwarszawski klub jazdy konnej – a tu pic na wodę. Kwestionariusz z dietami wegańskimi, a na miejscu podawali mrożonki z Biedronki. Był zakaz robienia zdjęć, bo organizatorzy chcieli ukryć fatalny stan ośrodka. Nasza początkująca córka dostała do jazdy kulawego konia. Po roku przyznała się, że koń na dodatek był na wpół ślepy, ale nic nie mówiła, żeby nas nie denerwować. Jazdy konnej było pół godziny dziennie. Druga godzinna jazda w tym dniu była dodatkowo płatna (160 zł), o czym organizatorzy poinformowali dzieci, a te zrozpaczone zaczęły dzwonić do rodziców po pieniądze. I o ile z opiekunami trudno było się skontaktować, o tyle w sprawie Blika dzwonili sami”, wspomina zgryźliwie Szymon, ojciec 12-latki.

Kwestia kosztów

Jak widać, podawana ogólnopolska średnia deklarowanych wakacyjnych wydatków na głowę – 1761 zł – pozostaje w sferze teorii. Nawet jeśli policzymy najtańsze obozy tematyczne, należy jeszcze wyposażyć dziecko w odpowiedni sprzęt i ubrania na wyjazd. Chyba jedyne wyjazdy, na które nie trzeba się przygotowywać, to modne w ostatnich latach obozy all inclusive, które często odbywają się za granicą. Mówimy tutaj jednak o 3-5 tys. zł za pobyt. A i tak trzeba dać dziecku na wyjazd jakieś kieszonkowe. Poza tym są to wyjazdy dla starszych dzieci, minimum 13-, 14-latnich.

„W zeszłym roku zaliczyliśmy dwa obozy. Najpierw wyjazd córki na konie, potem syn pojechał na żagle. Koszty? Można mówić o ok. 5 tys. zł za tydzień na głowę. Oprócz turnusu trzeba uwzględnić cały potrzebny sprzęt – latarki czołowe, odpowiednie obuwie, ubranie i inne cuda. W tym roku mamy taniej – jedziemy na wspólne wakacje, bo za dom na 11 dni zapłaciliśmy 6 tys. Zostaje jedzenie i dojazd. A i emocji będzie mniej, bo jedziemy na nicnierobienie”, opowiada Anna, matka dwójki nastolatków, właśnie w wieku 13 i 14 lat.

Obóz to tydzień, czasem dwa tygodnie. A co zrobić z resztą wakacji? Zostają oczywiście półkolonie, które można znaleźć w każdym mieście. Oferta jest całkiem bogata. Do wyboru są zajęcia z pływania, jazda konna, malarstwo, a nawet robotyka. Ceny różnią się w zależności od lokalizacji oraz programu, jednak należy założyć, że trzeba wydać kilkaset złotych. W przypadku zapisania dwójga dzieci jednocześnie możliwe są jakieś rabaty, w wysokości ok. 50-100 zł. Jeśli rodzice zdecydują się na dwa turnusy – cena również jest niższa. Choć o znaczących upustach raczej nie można mówić.

Są też rodziny, które próbują zaoszczędzić i np. na wyjazdy zagraniczne wybierają się podczas długich weekendów czy na Wielkanoc. „Staramy się jako rodzina wielodzietna wykorzystywać wszelkie dłuższe wolne poza sezonem wakacyjnym. Tym sposobem można pojechać na tydzień do Hiszpanii czy Grecji, płacąc tyle, ile za domek gdzieś w Polsce. W tej samej cenie można mieć lokum np. w centrum Aten, opłacić lot na cztery osoby i jedzenie na tydzień (o ile omijamy restauracje i jemy posiłki przeważnie w domu). Wtedy za taki pobyt wychodzi nawet taniej niż nad polskim morzem w sezonie”, tłumaczy Rafał, ▶

- który w tym roku zabrał rodzinę do Madrytu, ale w marcu.

Dzieci okradane z wakacji

Niestety, sporo dzieci nie pojeździe nigdzie. Jak wynika z danych, zapewnienie dzieciom wakacyjnego wyjazdu stanowi duże obciążenie dla domowych budżetów Polaków. Tym bardziej że niemal co czwarta rodzina to rodzic samotnie wychowujący dzieci. „W części przypadków to, czy uda się wystać pociechy na kolonie, zależy od rzetelnego płacenia alimentów przez rodzica, który został do tego zobowiązany. Niestety, jak pokazują dane Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor, długi alimentacyjne wciąż rosną”, wskazał cytowany w komentarzu do badania „Wakacyjne wydatki na dzieci” główny analityk BIG InfoMonitor Waldemar Rogowski.

Jak pisała na naszych łamach („Wakacje dla bogatych”, 2022) Anna Stachowiak, „kobiet, które samodzielnie wychowują dzieci, jest w Polsce prawie 2 mln. Teoretycznie przysługują im alimenty na dzieci, jednak aż 230 tys. zobowiązanych do ich płacenia nie łoży na potomstwo. Dług alimentacyjny wynosi, według różnych szacunków, od kilkunastu do kilkadziesiąt miliardów złotych. Wiele dzieci tych rodziców zostanie w domu. Pieniądzy po prostu nie ma”.

„Wyciągam niewiele ponad minimalną krajową, a mam dwójkę dzieci w klasie szóstej i siódmej. Obozy tematyczne to kilka tysięcy złotych na głowę. Muszę się ostro gymnastykować, żeby zapewnić dzieciom jakieś rozrywki w wakacje, bo najzwyczajniej nie stać mnie na jakiś większy wyjazd. Ojciec dzieci nie płaci alimentów od lat. Ostatnio sprawdzałam u komornika – mój były partner jest dłużny własnym dzieciom ponad 200 tys. zł. Pozostają nam półkolonie w mieście za kilkaset złotych. Ale to rozwiązanie na maksymalnie dwa tygodnie. Potem staję na głowie”, skarży się Anna z Poznania.

Przez te trzy lata od publikacji tekstu Anny Stachowiak skala patologii w niepłaceniu alimentów jeszcze się zwiększyła. W 2024 r. już ponad 292 tys. rodziców nie regulowało swoich zobowiązań wobec dzieci.

Statystyczny niepłacący rodzic jest winien średnio 54 192 zł. Najwięcej, bo przeciętnie 61 675 zł, zalegają alimentarze w województwie mazowieckim, najmniej, bo 46 363 zł – w lubuskim. Jak widać, przybyło w tym okresie niemal 30 tys. alimentarzy, a zarejestrowany dług wzrósł o 1,22 mld zł i na koniec czerwca 2024 r. osiągnął rekordowe ponad 15,8 mld zł.

„Za taką sumę można wystać prawie 4 mln dzieci na kolonie czy obozy z górnej półki cenowej. Zasądzonych alimentów nie otrzymuje znacznie więcej dzieci, niż jest opiekunów wpisanych do rejestru BIG za niepłacenie alimentów. Odzyskanie tych należności pozwoliłoby im bawić się przez całe wakacje. Brak alimentów to »okradanie« własnych dzieci, co z perspektywy nie tylko prawnej, ale i moralnej jest nie do zaakceptowania. Niestety, polskie społeczeństwo nie stygmatyzuje zbytnio takich zachowań, a to właśnie presja społeczna

dotowanych przez zakłady pracy koloniach, najczęściej w zakładowych ośrodkach wypoczynkowych nad morzem lub w górach. Nie były to luksusowe wakacje all inclusive, ale zapewniały dzieciom opiekę i jednocześnie rozrywkę, a rodzicom spokojną głowę na dwa, a czasem nawet trzy tygodnie. Obecnie, zarówno po zakładowych domach wczasowych, jak i koloniach dla dzieci pracowników zostały jedynie wspomnienia. Wysłanie dziecka na obóz czy kolonie z prywatnym biurem podróży to teraz poważny wydatek, który nie mieści się w budżecie wielu rodzin”, czytamy w raporcie „Wakacyjne wydatki na dzieci”.

O odebraniu dzieciom kolonii pisaaliśmy niejednokrotnie w „Przeglądzie”. Jacek Cezary Kamiński („Polska kolonistów”, 2022) wskazywał na naszych łamach, że w 1975 r. z letnich kolonii skorzystało aż 7,6 mln dzieci, a więc zdecydowana więk-

Wakacyjny wyjazd stał się dla większości Polaków sporym luksusem, a niekiedy wydatkiem niemożliwym.

często zmusza do regularnego płacenia alimentów”, ocenia główny analityk BIG InfoMonitor Waldemar Rogowski.

Łyżka miodu w beczie dziecięcej

Fundacja Szansa dla gmin jeszcze w kwietniu 2025 r. ogłosiła rekrutację dla dzieci i młodzieży do programu dopłat do tegorocznego letniego wypoczynku. Takie wakacje są finansowane ze środków Funduszu Składowego Ubezpieczenia Społecznego Rolników. Po zakwalifikowaniu się do programu można dostać 1,2 tys. zł dofinansowania. Taką kwotę mogą jednak otrzymać tylko dzieci rolników objętych rolniczym systemem ubezpieczenia społecznego i muszą mieć nie więcej niż 16 lat. Jest jeszcze jeden haczyk. Rodzice, których dzieci się zakwalifikują, muszą dopłacić 900 zł do ośmiodniowego turnusu, na który mają pojechać ich pociechy.

„Jeszcze jakiś czas temu wiele dzieci spędzało część wakacji na

szkość nieletniej populacji kraju. Kolonie trwały wtedy dłużej, bo nawet trzy tygodnie. Część wyjazdów była organizowana przez państwo, później przez zakłady pracy. Po 1989 r. organizacja tego typu wypoczynku uległa prywatyzacji. Kamiński podaje, że według danych Ministerstwa Edukacji Narodowej z 2019 r. na obozy i kolonie letnie wyjechało zaledwie 773 243 dzieci. O kwestii kolonii pisał również redaktor naczelny „Przeglądu” Jerzy Domański: „Dziś dzieci z rodzin o zarobkach poniżej średniej, a takich jest w Polsce większość, muszą zapomnieć o jakichkolwiek wyjazdach. Że nie jest to żaden problem dla partii prawicowych, wiemy. Ale gdzie jest lewica? Nic się nie zmienia, jeśli rodzice dzieci w wieku szkolnym nie zaprotestują. Tylko ich presja i twarde żądania mogą obudzić świat polityki. W tej sprawie warto być stanowczym”.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Jak żyć z wiatrakami?

Gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze.
Najlepszym tego przykładem są prace
nad nowelizacją tzw. ustawy wiatrakowej

Grzegorz Rudnik

W ostatnich dniach czerwca br. Sejm uchwalił nowelizację tzw. ustawy wiatrakowej, w której znalazł się m.in. zapis zmniejszający do 500 m minimalną odległość turbin wiatrowych od zabudowań. Warto przypomnieć, że nowelizacja ta była na liście 100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów obecnej koalicji. Nic dziwnego, że posłowie w tej sprawie wzięli się do roboty z niezwykłą energią już na przełomie października i listopada 2023 r., zanim jeszcze powstał rząd Donalda Tuska. Szczególnie że politycy Prawa i Sprawiedliwości za turbinami wiatrowymi nie przepadali, podejrzewając, że Niemcy wciskają nam stare, zużyte wiatraki.

Twarzą tamtej inicjatywy ustawodawczej była postanka Polski 2050 Szymona Hołowni Paulina Hennig-Kloska, która kilka tygodni później została powołana na stanowisko ministra klimatu i środowiska.

Gdy tylko projekt pojawił się w Sejmie, do ataku ruszyli posłowie PiS, zarzucając jego autorom – była to inicjatywa poselska – że de facto napisali go lobbysci reprezentujący interesy spółek działających w sektorze energetyki wiatrowej. Przyszła pani minister przyznała w jednym z wywiadów, że „był on konsultowany z ekspertami”. Nie ujawniła jednak z którymi. W konsekwencji sprawa została po cichu zamknięta.

W 2024 r. rząd Donalda Tuska wrócił do nowelizacji ustawy wiatrakowej. Konsultacje międzyresortowe trwały długo, z obawy, by nikt nie

zarzucił koalicji ulegania lobbystom reprezentującym „obcy kapitał” i „opcję niemiecką”. Projektem, który wpłynął do laski marszałkowskiej pod koniec marca br., zajęły się dwie sejmowe komisje: ds. Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych oraz Infrastruktury. Powołano też specjalną podkomisję, która na początku czerwca br. przedstawiła wysokiej izbie efekty swoich prac. W ustawie znalazł się budzący największe emocje zapis zmniejszający do 500 m minimalną odległość turbin wiatrowych od zabudowań.

Aby wzmocnić nacisk na prezydenta Andrzeja Dudę, by podpisał ów akt, znalazły się w nim przepisy pozwalające rządowi na zamrożenie cen energii do końca roku na poziomie 500 zł netto za megawatogodzinę, co jest korzystne dla ▶

► gospodarstw domowych. Obecne zamrożenie cen obowiązuje do końca września br.

Andrzej Duda, pytany na konferencji prasowej w Hadze, czy zaakceptuje tę ustawę, odparł, że Donald Tusk „próbuję wymusić na nim podpis, stawiając go pod ścianą”, i dodał, że nie jest entuzjastą rozwiązań, które spowodują, że „wiatraki będą dokuczały ludziom, że będzie psuty w Polsce krajobraz”. Premier, także na konferencji prasowej, odpowiedział na to, przekonując, że „nie wyobraża sobie, aby prezydent chciał zawetować ustawę, która mrozi na kolejne miesiące ceny energii”. „To byłoby niebywały skandal”, podkreślił Donald Tusk.

Na dwoje więc babka wróżyła. Prezydent Duda w tej sprawie może być „za, a nawet przeciw”. Nie zmienia to faktu, że Polska potrzebuje nowoczesnej ustawy, która uregulowałaby kwestie związane z rozwojem odnawialnych źródeł energii, w tym energetyki wiatrowej. Chodzi tu również o bezpieczeństwo energetyczne, obniżenie kosztów transformacji energetycznej i ostatecznie cen prądu dla przemysłu, administracji, samorządów terytorialnych, szkół i szpitali oraz gospodarstw domowych. Energia z wiatru jest znacznie tańsza i czystsza od produkowanej w tradycyjnych elektrowniach węglowych.

Nasz lot na Marsa

Amerkańscy eksperci szacują, że lot na Marsa rakiety z pięcioposobową załogą to koszt 50-60 mld dol., czyli 284-340 mld zł. Dla porównania – transformacja polskiej energetyki do roku 2050 może pochłonąć od 1,9 do 2,4 bln zł! Siedem razy więcej! I nie ma dla tego procesu alternatywy.

Utrzymanie obecnego modelu, opartego na węglu kamiennym i brunatnym, byłoby jeszcze droższe. Poza tym w latach 2015-2023 pisowski rząd podpisał, na poziomie Unii Europejskiej, dokumenty zobowiązujące Polskę do przeprowadzenia tego procesu.

Na przykład 19 grudnia 2023 r. państwa członkowskie UE, w tym Polska, sygnowały Europejską Kartę

Energetyki Wiatrowej stanowiącą formalne zobowiązanie do implementacji działań określonych w Wind Power Action Plan, który zawiera wytyczne co do kluczowych środków mających przyspieszyć rozwój energetyki wiatrowej w Europie. Wprawdzie formalnie zrobił to rząd Donalda Tuska, ale szczegółowe uzgodnienia były dziełem poprzedników.

W dokumencie tym przyjęto założenie, że do 2030 r. produkcja energii elektrycznej z wiatru osiągnie w krajach UE 420 GW, czyli dwa razy więcej w porównaniu z dzisiejszymi 205 GW.

Komisja Europejska zatwierdziła polski program wsparcia dla morskich farm wiatrowych o wartości 22,5 mld euro, który będzie realizowany do 2030 r. Założenia Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. (PEP2040) przewidują osiągnięcie poziomu produkcji 5,9 GW energii z morskich farm wiatrowych do roku 2030 i 11 GW do roku 2040. Są też dane, z których wynika, że potencjał naszej części Bałtyku jest znacznie większy. Moglibyśmy produkować rocznie 33 GW energii elektrycznej, co oznaczałoby możliwość zaspokojenia aż 57% zapotrzebowania krajowego. A przecież wiatraki będą stawiane także na lądzie. Nic dziwnego, że wyścig o kredyty i dotacje już się rozpoczął.

Na przykład spółka Polenergia kontrolowana przez Dominikę Kulczyk, która przewodniczy jej radzie nadzorczej, w grudniu ub.r. zawarła z Bankiem Gospodarstwa Krajowego umowę kredytową na kwotę 750 mln zł. Pieniądze te pochodziły ze środków Unii Europejskiej, które Polska otrzymała w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Polenergia chce sfinansować z nich budowę morskich farm wiatrowych Bałtyk II i Bałtyk III, rozwijanych wspólnie z norweskim Equinorem, o łącznej mocy 1,44 GW. Spółka wyemitowała również zielone obligacje o wartości 750 mln zł, które też zostaną przeznaczone na sfinansowanie obu farm wiatrowych.

Łącznie w polskiej strefie ekonomicznej Morza Bałtyckiego ma stanąć 100 turbin. Ile ostatecznie będzie kosztowała ich budowa – nie wiadomo. Trafitem na informację, że

mogą to być nawet 3 mld zł. Prąd z tych farm powinien popłynąć za kilka lat.

Wspomniany rekordowy kredyt Polenergii i równie imponująca emisja obligacji to nie wszystko. Spółka Dominiki Kulczyk zaciągnęła także kredyty na łączną kwotę 180 mln zł, które sfinansują inwestycje w dwie farmy fotowoltaiczne.

Z jeszcze większym rozmachem działa kontrolowana przez skarba państwa Polska Grupa Energetyczna. Z Europejskiego Banku Inwestycyjnego otrzymała dwa kredyty: 1 mld zł na modernizację systemów zasilania sieci trakcyjnej w Polsce oraz 1,4 mld zł na inwestycje w dystrybucję energii elektrycznej. Do tego kredyt w kwocie 3,9 mld zł z Banku Gospodarstwa Krajowego, w ramach KPO, na sfinansowanie budowy morskiej farmy wiatrowej Baltica.

Zgodnie z aktualizacją PEP2040 łączne nakłady na lądową energetykę wiatrową do 2040 r. wyniosą ok. 71,4 mld zł, choć najprawdopodobniej kwota będzie znacznie wyższa.

Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej szacuje potencjał realizacji lądowych farm wiatrowych do 2040 r., przy odległości minimalnej 500 m od zabudowań (a taki zapis znalazł się w przyjętej w czerwcu przez Sejm nowelizacji ustawy wiatrakowej), na 41,4 GW. Co oznaczałoby znacznie wyższe nakłady niż wspomniana wcześniej prognoza – ok. 90-110 mld zł – zakładając obecne koszty jednostkowe. Kto za to zapłaci? Oczywiście odbiorcy prądu: przemysł, samorządy, urzędy państwowe, gospodarstwa domowe... w miesięcznych rachunkach.

Czy turbiny wiatrowe są złe?

Wiatraki mają sporo zalet. Są względnie tanie w produkcji. Koszt budowy na stałym lądzie jednego o mocy 2 MW to od ok. 2,18 mln dol. (ponad 8 mln zł) do 4,13 mln dol. (prawie 16 mln zł). Morski wiatrak kosztuje więcej – od 77,2 mln zł do nawet 886 mln zł – jest on potężniejszy od lądowego odpowiednika.

Turbiny są właściwie bezobsługowe. Spółki będące właścicielami farm wiatrowych zatrudniają

niewielu pracowników, których głównym zadaniem jest konserwacja urządzeń. Pracę wykonuje wiatr. Dlatego energia elektryczna pochodząca z tego źródła jest kilka razy tańsza od produkowanej w elektrowniach węglowych i gazowych, a im wyższa jest jej cena na rynku, tym większe są zarobki spółek będących właścicielami wiatraków.

Wiatraki stawia się szybko. Budowa elektrowni węglowej trwa lata i jest znacznie droższa od budowy farm wiatrowych. Minusem jest to, że jeśli nie wieje, turbiny nie produkują prądu.

Ich przeciwnicy dowodzą, że niszczą krajobraz, powodują wzrost śmiertelności ptaków i nietoperzy. Ostrzegają, że ekspansja energetyki wiatrowej może doprowadzić do sytuacji, gdy w imię „walki ze zmianami klimatu” będzie dochodziło do wycinania lasów i zagłady licznych gatunków flory i fauny. Lokalne społeczności są straszone, że życie w cieniu gigantycznych turbin stanie się koszmarem, ze względu na hałas i groźne promieniowanie. Ostrzegano przed wystąpieniem choroby wibroakustycznej, na głowę nieszczęśników miały też spadać gigantyczne śmigła, a upadek całej konstrukcji miał być równie groźny jak wybuch dużej bomby lotniczej. W efekcie pojawił się pogląd, że budowa elektrowni wiatrowych jest co prawda koniecznością, lecz nie u nas, tylko jak najdalej.

Jeśli uwzględnimy fakt, że po wejściu w życie regulacji prawnych przyjętych w czerwcu przez Sejm wiatraki mogą zająć aż 6% powierzchni Polski, to mamy problem.

Jako członek UE zobowiązaliśmy się, że rozpatrywanie wniosków o budowę wiatraków nie będzie zajmowało administracji zbyt wiele czasu. Dziś uzyskanie takiej zgody może zająć kilka lat.

Politycy PiS oraz kojarzone z nimi media dowodzili, że do Polski sprowadzane są stare turbiny z Niemiec, żeby po kilku latach na nasz koszt poddawać je utylizacji. Prawda jest taka, że byłoby to kompletnie nieopłacalne dla spółek działających w sektorze energetyki wiatrowej, gdyż nowe urządzenia są bardziej

wydaje i mniej awaryjne od tych produkowanych dekadę czy dwie wcześniej.

Wydaje się, że rząd Donalda Tuska jest zdeterminowany, by kontynuować transformację polskiej energetyki. Musi jednak mierzyć się z poglądami i działaniami, które ten proces mogą mocno spowolnić. I bynajmniej nie chodzi tu o górników, których z każdym rokiem ubywa, lecz właśnie o polityków reprezentujących środowiska, dla których obecna koalicja rządząca jest wcieleniem zła. W tej krucjacie każdy chwyt jest dozwolony.

W rzeczywistości transformacja energetyczna Polski i Europy to konieczność. Nie jesteśmy w sytuacji Szwajcarii i Norwegii – krajów, w których prąd wytwarzają głównie elektrownie wodne, więc jest najtańszy i czysty ekologicznie. Proces likwidacji elektrowni węglowych w Polsce już trwa i może się okazać, że za 10-15 lat kopalnie i elektrownie znikną z krajobrazu, gdyż ostatecznie przegrają rywalizację z elektrowniami atomowymi i OZE.

Lecz zanim do tego dojdzie, czekają nas gigantyczne wydatki na stworzenie właściwie nowej gałęzi gospodarki. Budowa elektrowni jądrowej jeszcze nie ruszyła, a już wygenerowała koszty. Szybko budowane farmy fotowoltaiczne muszą

być podłączane do sieci, a tu pojawiają się problemy, gdyż one także wymagają modernizacji.

Raczkują budowa magazynów energii, które można porównać do gigantycznych akumulatorów, z których będziemy korzystać nocą, gdy nie płynie prąd z farm fotowoltaicznych, i gdy nie będzie wiatru napędzającego turbiny.

Wyzwań jest więcej. Moim zdaniem do bardzo ostrego starcia dojdzie między spółkami będącymi właścicielami elektrowni jądrowych a właścicielami odnawialnych źródeł energii. Budowa elektrowni jądrowych musi się zwrócić, a są to bardzo kosztowne inwestycje, na realizację których zostaną zaciągnięte kredyty. Wszystko to będzie wliczane do rachunków za prąd.

Dziś prąd produkowany przez panele fotowoltaiczne i turbiny wiatrowe jest znacznie tańszy. Jeśli energetyka oparta na odnawialnych źródłach będzie szybko się rozwijać, może się pojawić pytanie, czy potrzebujemy elektrowni jądrowych, które są bardzo drogie. Czy nie lepiej inwestować w OZE i płacić niższe rachunki? Odpowiedź będzie znacznie trudniejsza niż rozstrzygnięcie kwestii, jak bardzo turbiny wiatrowe psują nadwiślański krajobraz.

Grzegorz Rudnik

Ukazał się nowy numer
Zdania (2/2025)



**Troje na jednego
z Waldemarem Dąbrowskim**

W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

9 zł

Życie to nie Hollywood

Nikt z nas nie chce być sam. Wszyscy marzymy o miłości.
Potrzebujemy dotyku drugiego człowieka

Rozmawia Jan Tracz

Zna pan takich Janków Marców? Tych gości, którym nieco rozjechały się oczekiwania względem własnych miłości i związków? Wykluczonych przez społeczeństwo, nieco wyśmianych, może i niemających nic do stracenia?

– To często są moi bliżsi albo dalsi znajomi. Specjalnie umieściłem akcję tej opowieści w małym Piasecznie, bo wydaje mi się, że ludzie w takich miejscach są prawdziwsi; często okazują się ciekawszy i bardziej skomplikowani. Mają też tajemnice, które skrzętnie skrywają przed sąsiadami. Takich Janków, borykających się z problemami w relacjach partnerskich, mających kłopot z ułożeniem sobie życia, z brakiem samoakceptacji, znam bardzo wielu.

A jakie są Krystyny?

– W tej opowieści Krystyna jest nieodłącznie związana z Janem. Trudno mi określić, jakie one są. Wszyscy jesteśmy inni i to także ważny aspekt historii, którą przedstawiam swoim słuchaczom.

Gdzie pan tych Marców znalazł, poznął? Wystarczy jeździć tramwajem i notować podsłuchane rozmowy, czy są oni jakąś składową relacji i znajomości budowanych przez lata?

– Jakoś tak się złożyło, że moi przyjaciele z reguły funkcjonują w nierozłącznych parach i długoletnich związkach. Ten system naczyń połączonych towarzyszy mi więc od lat. Trudno mi zatem nie zwracać uwagi na dynamikę poszczególnych relacji. Ale tak naprawdę wszystko sprowadza się do uważnej obserwacji i rozmów z ludźmi. Przy okazji dochodzą spotkania w trakcie tras koncertowych, których odbywam mnóstwo, i to zawsze są konwersacje pozostające ze mną na długo. Natomiast



ARKADIUSZ JAKUBIK

– aktor filmowy i teatralny. Czterokrotny laureat Orła, wokalista zespołu Dr Misio. Na najnowszej solowej płycie „Romeo i Julia żyją”, będącej albumem koncepcyjnym, reinterpretuje klasyczną historię Szekspira. Poprzez dziesięć utworów opowiada historię Jana i Krystyny Marców z Piaseczna, pokazując słuchaczom, że miłość nie zna wieku.

prawda jest też taka, że historii tego rodzaju nie wymyśla się przed ekranem laptopa. To jest oparte poniekąd na moich doświadczeniach. Opowiadam o Marcach przez pryzmat swoich przeżyć, bo kiedyś Romeo miał na imię Oskar, a Julia to była Ruth.

To znaczy?

– Moi bohaterowie Jan i Krystyna Marcowie chcą razem wystawić sztukę Szekspira, a finalnie odgrywają ten spektakl w swoim domu. U mnie było dosyć podobnie, ponieważ dramat

Ingmara Villqista „Oskar i Ruth”, opowiadający o szalonym małżeństwie, które na przemian kłóci się i zaleca do siebie w różnych estetykach oraz gatunkach teatralno-filmowych, grałem z moją żoną Agnieszką. Razem jesteśmy już ponad 33 lata. Staliśmy się dinozaurami w naszym środowisku! (śmiech). A samo przedstawienie graliśmy 17 lat. Wyobraża pan sobie? Doszliśmy do momentu, w którym teksty tego dramatu weszły do naszego codziennego języka. Z Agnieszką

przerzucamy się nimi non stop aż do dzisiaj.

Ma pan jakiś ulubiony?

– Gdy w najróżniejszych okolicznościach przyrody mówię do Agnieszki: „Co jest nie tak?“, ona zawsze odpowiada z lekką afekcją: „Wszystko jest nie tak. Zawsze wszystko było nie tak“. Niezależnie od okoliczności zawsze wybuchamy śmiechem. Nie wiem, dlaczego, ale cały czas bardzo nas to bawi!

Coś jeszcze o tym przedstawieniu?

– Dziś mam wrażenie, że było ono bardzo istotną częścią naszej relacji. Trochę opowiadało o nas i o tym, jak funkcjonujemy, ale w jakimś sensie stało się też częścią naszej małżeńskiej autoterapii.

Dlaczego?

– Ponieważ umówiliśmy się, że nigdy nie zagramy tego spektaklu pokłóceni. A nawet w najlepszym związku mają miejsce tzw. ciche dni. I proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że akurat jest taki cichy dzień, a my wieczorem musimy zagrać „Oskara i Ruth“. Mamy około godziny drogi z naszej wsi pod Piasecznem do Teatru Powszechnego w Warszawie. No i oczywiście jak jedna strona się nie odzywa, to druga podobnie. Agnieszka jest Skorpionem, a ja upartym osłem spod znaku Koziorożca. No i jedziemy do teatru. Oczywiście żadne z nas nie wyciągnie ręki, więc i godzina w samochodzie milcząca. Napięcie takie, że siekierę można w powietrzu zawiesić. Ładujemy w teatrze o 18.00, spektakl już za godzinę. Cichy dzień trwa w najlepszej. W garderobie Agnieszka się maluje, ja się przebieram. Widownia zajmuje miejsca, za chwilę startujemy. Minuta do spektaklu, a dalej żadna strona nie wyciąga do drugiej ręki. W końcu zaczyna się przedstawienie. Stoimy w kulisach i słyszymy pierwsze dźwięki symfonii Beethovena. Zapalają się światła. A my nie wychodzimy na scenę. Ludzie czekają...

I nic?

– Nic a nic! (śmiech). Każda sekunda trwa wieczność. Raz... Dwa... Trzy... A my dalej stoimy w kulisach. Każde liczy, że to druga strona w końcu wyciągnie rękę. I ta strategia, o dziwo, działała (śmiech). Ktoś musiał pierwszy się złamać; objąć

i powiedzieć: „ty głupolu jeden“, „ty kretynie“, „ty durna babo, chodź tutaj, już przestań, zaczynamy, dajmy sobie spokój“. Jak się przytuliliśmy i pocałowaliśmy, to dopiero wtedy mogliśmy wyjść na scenę. Ten spektakl był dla nas bardzo istotny i z pewnością miał funkcję terapeutyczną. Te wszystkie doświadczenia i emocje z teatru przerobiłem na opowieść o Janie i Krystynie. Czyli rzeczywistość zderza się u mnie z fikcją.

Dziś Arek Jakubik woli być aktorem czy może jednak muzykiem?

– To zależy od miejsca, w którym Jakubik aktualnie się znajduje (śmiech). Z zawodu jestem aktorem, a muzyka zjawiała się w moim życiu, kiedy zacząłem odczuwać potrzebę mówienia własnym głosem. Właśnie dlatego powstał Dr Misio – potrzebowałem mieć coś własnego. Jako aktor dostaję czyjś scenariusz do przeczytania, a potem do zagrania. Ktoś napisał te dialogi dla mnie i oczywiście staram się jak najlepiej je zinterpretować przed kamerą. Tylko to nie są moje słowa. Jestem wtedy matym albo większym trybikiem ogromnej maszyny filmowej. Ale przecież kocham ten zawód.

Dlatego próbuję połączyć ze sobą te dwa światy. I tutaj tajemnicą jest bardzo precyzyjnie prowadzony przeze mnie kalendarz. Proszę mi wierzyć, że w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy prawie przez cały rok nie wchodziłem na plan filmowy, najważniejszy był dla mnie świat muzyki. Nasza rozmowa metaforycznie kończy ten okres. Po tym wywiadzie nastąpi przerwa w muzykowaniu. Koniec pierwszego rozdziału „Romeo i Julia żyją“ pod tytułem „Premiera“.

I co dalej?

– Dzisiaj równo o godz. 17 wybieram się na planetę filmową. Jadę za chwilę do charakteryzacji i spróbuję zrobić z siebie Jacka Kuronia, bo niebawem zaczynamy zdjęcia do filmu o nim. Właściwie od tego momentu, kiedy ogolę brodę, zrobię sobie takie Jackowe pekaesy i podgolę trochę włosy, zacznę się moje prawdziwe funkcjonowanie na orbicie pod tytułem aktorstwo. I muzyka będzie musiała chwilę poczekać. Swoją drogą kompletnie nie pamiętam, kiedy ostatnio nie miałem brody... (śmiech).

Wróćmy zatem do muzyki, póki mamy tę przestrzeń, aby o niej rozmawiać. Pana nowa płyta jest trochę jak obieranie cebuli – każda warstwa skrywa jakąś tajemnicę. Sami sobie musimy to wszystko potem poskładać. W dzisiejszych czasach taka układanka zdaje się ryzykowna. Ludzie coraz rzadziej słuchają albumów, tym bardziej tych koncepcyjnych. Przerzuciliśmy się na playlisty.

– Mam ogromny problem z playlistami i muzyką, której słuchamy ze streamingów. To są dźwięki wpadające nam jednym uchem i natychmiast wychodzące drugim, zostawiające znikomy ślad. Jesteśmy otoczeni muzyczną papką, która nie wzbudza w nas żadnych emocji i refleksji. W ogóle mam problem z percepcją muzyki w internecie, zwłaszcza z tą tiktokową, gdzie z badań wynika, że 15 sekund to maksimum naszego skupienia, jakie możemy przeznaczyć na odsłuch czegoś nowego. Należę do pokolenia, które słuchało płyt w całości. I pamiętam, że zawsze to był pewien rodzaj rytuału, jakiegoś misterium. Zapraszało się znajomych i słuchało płyty ulubionego wykonawcy lub zespołu od pierwszej do ostatniej nuty. Tak, wiem, że kiedyś tych ulubionych zespołów mogło być 100, a dzisiaj jest 100 mln. Ale przestaliśmy słuchać emocjami i ze zrozumieniem.

Kiedyś dostęp do takich treści wyglądał zupełnie inaczej. W XXI w. jesteśmy nimi bombardowani.

– Kiedyś, jak się słuchało płyt, to każdy z nas wybierał swoje ulubione single. Nie było narracji, w której jakieś playlisty mówią nam, który numer jest najlepszy na ostatniej płycie np. The Rolling Stones, Massive Attack czy AC/DC. Nie, każdy z nas miał swojego singla i potrafił wytłumaczyć, dlaczego właśnie ten zasługuje na uwagę. Kłóciliśmy się między sobą, która piosenka na płycie jest najlepsza, a która nie powinna być na niej się znaleźć! Dziś mam wrażenie, że niestety nie słuchamy tego, co mają nam do przekazania ulubieni artyści, a muzyka przestała w nas wzbudzać jakiegokolwiek emocje.

I stąd pomysł na album koncepcyjny, bo przez cały czas zastanawiałem ▶

► się, co zrobić, żeby słuchacza niejako zaszantażować emocjonalnie. Jaki pomysł znaleźć, żeby przytrzymać jego uwagę dłużej niż te dwie i pół albo trzy minuty radiowego singla. Co zaoferować od siebie, żeby internetowy słuchacz po 15 sekundach nie przeskokował do następnej piosenki. Postanowiłem nagrać płytę opartą na filmowym scenariuszu, żeby za pomocą piosenek opowiedzieć fabularną historię. Każda piosenka kończy się tzw. plot twistem, jakimś zaskoczeniem, aby wzbudzić ciekawość u słuchacza, co będzie dalej. Więcej zdradzać nie mogę (śmiech).

To dla współczesnego odbiorcy płyta wymagająca, bo zmusza go do powrotów. Z każdym odsłuchem wyłapujemy nowe niuansy. Potrzeba czasu. I cierpliwości.

– Z moimi ulubionymi albumami jest dla mnie tak jak z kultowymi filmami. Z praktycznie każdą kolejną interakcją pojawiają się nowe linki, połączenia czy interpretacje. Dopiero za drugim lub trzecim razem zaczynamy wyłapywać pewne filmowe smaczki. Mam nadzieję, że podobnie będzie działał mój konceptualno-muzyczny eksperyment.

Jak ważna jest kolejność utworów? To, że np. „Weronę” będzie czwarta, a utwór „Miłość i strach” ósmy?

– Pisałem te piosenki chronologicznie. Opowiadałem rozdziałami i stopniowałem informacje o Marcach w każdej z piosenek. Czyli w pewnym sensie przypomina to narrację klasycznego scenariusza filmowego. Tutaj nie sposób zamienić kolejności poszczególnych numerów, ponieważ widz może się zgubić, bo pewne informacje z poprzedniego utworu są potrzebne, żeby zrozumieć kontekst i akcję następnego. Od początku zatem było to wymyślone z pewną dawką premedytacji (śmiech). Przyznam jednak, że pierwotna wersja płyty kończyła się na dziewiątym numerze. **Czyli mogliśmy być świadkami mrocznego finału. To bodaj najmocniejszy utwór z całego albumu.**

– Tyle że czułem wówczas, że gdzieś popełniłem błąd z tą historią. Potrzebowałem czasu, aby zrozumieć, w którym miejscu dokładnie. Po kilku miesiącach dotarła do mnie prosta konstatacja, że ja jako widz, jako

normalny człowiek, nie lubię wychodzić z kina rozwalony emocjonalnie, na czworakach. Potrzebuję mieć chociaż trochę pozytywnej energii, minimalne światło w tunelu. Cokolwiek! Tu nie chodzi o prosty happy end, ale o jakąś odrobinę nadziei. I zrozumiałem, że ta płyta wymaga jeszcze epilogu, ostatniej, pozytywnej piosenki, żeby zostawić słuchacza z optymistycznym obrazem Jana i Krystyny Marców, jak grają tego swojego Szekspira gdzieś w równoległym świecie. **Snuje pan opowieść, która sugeruje, że to prawdziwe życie jest gdzie indziej. Że zdrada nie jest końcem, a codzienne budzenie się razem nie musi oznaczać nowego początku. Ucieka pan od romantyzowania miłości, a zarazem szuka piękna w rzeczach, przy których większość by się krzywiła.**

– Życie to nie Hollywood. Po prostu trzeba się z tym pogodzić. To nie będzie niekończące się love story. Nic z tych rzeczy. Życie to codzienne kłody, które musimy wspólnie przeskakiwać. Jako prosty chłopak ze Śląska Opolskiego zawsze powtarzam, że miłość to ciężka robota. Codzienna harówka. Na koncertach Dr Misio często mówię: „Panowie, jak się budzicie rano koło swojej kobiety, to od razu trzeba iść na dół do piwnicy. Trzeba tam otworzyć piec, wziąć łopatę, nabrać na nią węgla i do tego pieca dorzucić. Żeby wasz ogień wciąż płonął. Bo jak przestaniemy codziennie rano schodzić i dorzucać do pieca, to ten ogień nam zgaśnie. A jeśli tak się stanie, to go już nigdy nie rozpalimy”. **Proste, a i dosadne.**

– Moi bohaterowie nie są wyidealizowani i piękni, czyści czy kryształowo uczciwi. Każdy człowiek ma jakieś swoje sekrety i tajemnice. U każdego jest odrobina brudu za paznokciami. Jeżeli uda się stworzyć takich pełnokrwistych bohaterów, których wady i słabości będziemy odkrywać w trakcie opowieści, to tylko takie postacie według mnie wzbudzą zainteresowanie słuchacza. Każdy z nas będzie wtedy mógł się z nimi utożsamiać. W prawdziwym życiu dobro ze złem nie zwycięża. Te dwie siły cały czas w nas walczą. I to od nas zależy, która strona będzie miała danego dnia przewagę.

Akcja rozgrywa się w Piasecznie. Możemy zauważyć, że to miasteczko dramatyzmem wcale nie odbiega od Szekspirowskiej Weroni, Mantui czy Wenecji. Nawet takie „niepozorne” Piaseczno kryje w sobie przemilczane tragedie i może się stać sceną dramatyczną z prawdziwego zdarzenia.

– Piaseczno to mój drugoplanowy bohater. W każdym miasteczku kryje się jakiś niepowtarzalny klimat. Tak samo będą w nim poukrywane setki skomplikowanych relacji męsko-damskich: wszelkie przypadki zdrad, porzuceń, kłamstw i oszustw niegdyś zamiecionych pod dywan. Sam poznaję takie historie poprzez rozmowy z ludźmi. Przyjmuję wtedy funkcję spowiednika, który słucha i stara się nie przerywać; wtedy obserwuję uważnie otaczających mnie ludzi. W pewnym sensie to też część mojej pracy.

I muszę przyznać, że to są rzeczy uniwersalne, bo te wszelkie dramaty, od pokomplikowanych relacji małżeńskich po te partnerskie, te wszystkie rozstania i powroty, nie mają żadnego związku z podziałami, które dziś w Polsce występują. Tu nie ma znaczenia, kto w jakiego Boga wierzy ani na kogo oddaje głos w wyborach. Chodzi wyłącznie o miłość. O to prawdziwe życie, o którym pan mówił. Każdy z nas marzy o miłości. Każdy tej miłości potrzebuje. W Piasecznie tak samo, bo to miejsce jak wszystkie inne. Każdy z nas czeka na bliskość drugiego człowieka, żeby go ktoś przytulił, zauważył, porozmawiał nieco dłużej niż zwykle.

Bo każdy z nas marzy o wielkiej miłości.

– Bez względu na wiek. To jeszcze jedna rzecz, którą chciałem podkreślić. Powinniśmy tę miłość pielęgnować i ciągle o nią walczyć. Ta zasada jest ponadczasowa. I nie ma znaczenia, ile Romeo i Julia z naszego Piaseczna mają lat. Nie jest tak, że Romeo ma być przystojnym gościem z twarzą Leonarda DiCaprio z najśłynniejszej ekranizacji dramatu Szekspira, w reżyserii Baza Luhrmanna. Romeo i Julia to jesteśmy my. Bardzo bym chciał, żeby każdy ze słuchaczy swoją twarz przekleił sobie na lico Jana Marca i aby to samo jego



partnerka zrobiła z Krystyną. Do tego polecam lekturę teledysku do piosenki „Werona”. To był nasz pierwszy singiel i z pełną premedytacją akcję klipu umieściliśmy w Domu Muzyka Seniora pod Piasecznem. I tam Romeo i Julia mają po 90 lat.

Julian Barnes napisał kiedyś, że „to, co koniec końców zapamiętujesz, nie jest do końca tym, czego nigdyś doświadczyłeś” (tłumaczenie własne – przyp. J.T.). O tym też jest ta płyta? Że z biegiem czasu zmienia nam się perspektywa? Że zapominamy lub – wręcz przeciwnie – stajemy się jeszcze bardziej pamiętliwi w kontekście wydarzeń z przeszłości?

– To sprowadza nas do pytania, czym dla nas jest prawda. To jeden z tych tematów, które mnie niezwykle interesują. Jako aktor grający rozmaitych bohaterów za każdym razem muszę się mierzyć z różnymi wersjami ich prawdy. W serialu „Informacja zwrotna” według powieści Jakuba Żulczyka wcieliłem się w postać, która te wersje swojej prawdy codziennie modyfikowała. Oczywiście tak, jak jej było wygodnie. Dziś każdy ma swoją prawdę. Ale nawet ta nasza „prawda” indywidualna, osobista, prywatna, intymna z czasem ulega

zmianie, podlega ewolucji. Zmienia się na taką, z którą będzie nam się żyło lepiej.

„Romeo i Julia żyją” to mój świat, do którego zapraszam słuchacza, współczesnego odbiorcę muzyki lub fana filmowych opowieści. Ciężko ze mnie wyciągnąć coś więcej, o czym jest ta płyta. To tak, jak mówił Michael Haneke: jeśli twórca powie wprost, o czym jest jego dzieło, natychmiast zabiera możliwość indywidualnej interpretacji przez odbiorcę oraz przefiltrowania danych treści przez jego własne doświadczenia.

Nasz wywiad jest takim paradoksem, że jednak chcemy o tej płycie rozmawiać, ale musimy lawirować, bo każda pańska odpowiedź będzie od razu rzutowała na oczekiwania potencjalnego słuchacza.

– Dlatego prowadzimy teraz między sobą pewnego rodzaju grę. Ja wrzucam różne tropy, które może są mylne, a może akurat trafione. Taką podpowiedzią, albo właśnie swoistym kluczem do tej układanki, niech będą Afrodyta i Tanatos, bo świat z „Romeo i Julia żyją” został skonstruowany gdzieś na przeciwnych biegunach tych greckich bogów miłości i śmierci. To z jednej strony romantyczna opowieść

W naszym domu Romeo i Julia żyją. I w najważniejszych momentach potrafią się porozumiewać bez słów. Wystarczą oczy. Może wyraz twarzy.

o Janie i Krystynie Marcach, a z drugiej – próba oswojenia, zrozumienia i pogodzenia się z tym, co nieuniknione, czyli ze śmiercią.

Kiedy ten album powstawał, musiałem się skonfrontować ze śmiercią mojej mamy. Zadeedykowałem jej moją płytę. Odchodziła w bardzo ciężkiej chorobie. Była dla mnie najważniejszą osobą na świecie, która sama wychowała dwóch łobuzów, nakarmiła ich, ubrała, wykształciła, wychowała. Z moim bratem to właśnie jej wszystko zawdzięczamy. Bez jej odwagi i poświęcenia dziś nie byłoby mnie w tym miejscu. Praca nad materiałem literackim na tej płycie była dla mnie pewnego rodzaju autoterapią.

Mówi się, że miłość przezwycięża wszystko inne. Czy dziś „kocham cię” z pańskich ust brzmi tak samo jak 33 lata temu?

– Dzisiejsze „kocham cię” ma u mnie nieco inny wydźwięk. Jest mądrzejsze. Dojrzałe. Kiedy jest się tak blisko z drugą osobą jak ja z moją Agnieszką, to brzmienie frazy pod tytułem „kocham cię” pięknie się zmienia. Nasza miłość cudownie ewoluowała: dzisiaj akceptujemy się w całości takimi, jakimi jesteśmy. Nie próbujemy zmieniać drugiej strony. Kochamy się nawzajem, z wszystkimi naszymi niedoskonałościami. Niegdyś chcieliśmy modyfikować się nawzajem na własne podobieństwo. Ale tak się nie da. Potrzeba czasu, aby zrozumieć, że należy kochać drugą osobę z całym dobrodziejstwem jej inwentarza.

Nasza relacja była, jest i będzie zderzeniem dwóch przeciwieństw. Ale dojrzałem do tego, że nie chcę nic w Agnieszce zmieniać. W naszym domu Romeo i Julia żyją. I w najważniejszych momentach potrafią porozumiewać się bez słów. To trudna sztuka, której długo się uczyliśmy. Dziś wystarczą oczy. Może wyraz twarzy. Po co mamy to wszystko jeszcze raz nazywać, skoro druga osoba wie, o co chodzi? Czasem mniej znaczy więcej.

Jan Tracz

Antyunijna rewolucja w Bułgarii

Kwestia wprowadzenia euro stała się bodźcem do masowych wystąpień przeciw arogancji władzy, korupcji, bezprawiu i lekceważeniu obywateli



Protestujący w Sofii przeciw wprowadzeniu euro wychodzą na ulice z transparentami: „Zachowaj bułgarskiego lewa!”. 31 maja 2025 r.

Bojan Stanisławski

Przystąpienie Bułgarii do strefy euro jeszcze do niedawna w zbiorowej wyobraźni obywateli uchodziło za coś abstrakcyjnego, co może i kiedyś nastąpi, ale nie tak prędko, a już na pewno nie teraz, w okolicznościach oczywistego kryzysu Unii Europejskiej. Oprócz tego powszechne było przekonanie, że Bułgaria nie spełnia podstawowych kryteriów konwergencji, czyli po prostu się „nie kwalifikuje” – i nie rozmijało się to z rzeczywistością. Bułgarska gospodarka po prawie czterech dekadach neoliberalnego eksperymentu znajduje się w stanie szczątkowym, porządek instytucjonalny i prawny przesiąknięty jest korupcją i klientyzmem. A jednak Bułgarzy zaczęli postulujeć się euro od 1 stycznia 2026 r.

Okoliczności zmieniły się latem 2023 r., gdy partia Odrodzenie (bułg. Wyzraždane), największe ugrupowanie opozycyjne, o nacjonalistycznym profilu, zainicjowała zbiórkę podpisów pod wnioskiem o ogólnokrajowe referendum w sprawie wprowadzenia euro. Kampania rozpoczęła się 6 lipca i trwała do 10 października, a jej rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania organizatorów – zebrano ok. 600 tys. podpisów.

Wtedy to kwestia euro stała się jednym z najważniejszych zagadnień w bułgarskim życiu publicznym i szybko zaczęła być postrzegana jako wyraz szerszego sprzeciwu wobec narzucanej z zewnątrz transformacji ekonomicznej i ustrojowej, za którą Unia wystawi rachunek najbardziej nacji we Wspólnocie.

Referendum nie będzie

Choć partia Odrodzenie złożyła do Zgromadzenia Narodowego ponad 592 tys. podpisów, przekraczając tym samym ustawowy próg zobowiązujący parlament do przeprowadzenia referendum (400 tys. podpisów), postawie większości odmówili jego organizacji, powołując się na rzekomą niekonstytucyjność pytania referendalnego.

Przedstawiciele partii rządzących (w tamtym okresie GERB Bojka Borisowa oraz koalicja Kontynuujemy Zmiany – Demokratyczna Bułgaria) powołali się na art. 9 ustawy o referendum, który zakazuje poddawania pod głosowanie decyzji wynikających z „międzynarodowych traktatów wcześniej ratyfikowanych przez Bułgarię”. Argumentowano, że przyjęcie euro zostało już przesądzone

w chwili podpisania traktatu akcesyjnego i członkostwa Bułgarii w UE, choć w żadnym z dokumentów nie ma zapisu nakazującego przyjęcie euro w określonym terminie.

Pytanie sformułowane przez inicjatorów referendum brzmiało: „Czy popierasz wprowadzenie w Bułgarii euro jako oficjalnej waluty nie wcześniej niż po 1 stycznia 2043 r.?”. Nie było mowy o anulowaniu zobowiązań traktatowych, chodziło jedynie o odroczenie ich wykonania. Zdaniem niezależnych prawników i konstytucjonalistów takie sformułowanie nie naruszało prawa.

Rozpoczęło to awanturę polityczną, a ta zapoczątkowała społeczną mobilizację. Wobec takiego rozwoju sytuacji stało się jasne, że zdecydowana większość bułgarskiej opinii publicznej, jeśli udałoby się skutecznie o referendum zawalczyć, opowie się przeciwko rezygnacji z lewa. Niekoniecznie z powodów ekonomicznych, bardziej ze względu na arogancję władzy. Nawet ci, którzy wcześniej podchodzili do tego zagadnienia ambiwalentnie lub z umiarkowaną otwartością, zmieniali stanowisko i przyłączali się do coraz liczniejszych protestów. Po raz pierwszy od lat bułgarskie społeczeństwo zaangażowało się w masowy, oddolny ruch polityczny – zebranie podpisów za referendum było realnym wysiłkiem obywatelskim. Tym bardziej że od samego początku inicjatywa ta była mocno atakowana.

Zakulisowe gry

Główne media (należące do oligarchów lub zagranicznych korporacji) uruchomiły niebywale agresywną kampanię propagandową. Euro przedstawiano jako panaceum, a referendum – jako akt zdrady stanu, „antyeuropejską histerię analfabetów” i „wtórną putinizację” Bułgarii. Wysłano do mediów całe zastępy ekspertów, ekonomistów i influencerów, którzy wygłaszali peany na cześć UE i strefy euro, postępując popierających referendum. Lider Odrodzenia Kostadin Kostadinow był nieustannie szkalowany, wyzywany od populistów, szowinistów, a nawet faszystów, mimo że to on w marcu

2023 r. był jednym z niewielu bułgarskich polityków, którzy stanęli w obronie pomnika Armii Czerwonej w centrum Sofii, próbując zablokować jego demontaż.

Narastające napięcie społeczne skłoniło wiele innych środowisk do przystąpienia do walki o referendum. Znalazła się wśród nich partia Miecz (bułg. Mecz) Radostina Wasilewa, byłego ministra sportu. Ważnym momentem bułgarskiej sagi euroakcesyjnej była również publikacja nagrania z posiedzenia kierownictwa koalicji Kontynuujemy Zmiany – Demokratyczna Bułgaria. To Radostin Wasilew udostępnił je 26 maja 2023 r. Na nagraniu słychać głos Kirita Petkova, byłego premiera, a wówczas jednego z liderów koalicji rządowej, który wprost przyznał, że jest „dogadany z Ursulą”, czyli przewodniczącą Komisji Europejskiej, i że KE „przymknie oko” na ewentualne niedociągnięcia Bułgarii w zakresie kryteriów przyjęcia euro.

Nagranie wywołało powszechne oburzenie. Nie tylko dlatego, że potwierdzało krążące od dawna podejrzenia o oszukiwanych wskaźnikach konwergencyjnych, ale przede wszystkim dlatego, że pokazywało skalę zakulisowych ustaleń między polityczną ekspozyturą bułgarskiej oligarchii a najważniejszymi unijnymi politykami. Ludowy gniew przestał wówczas dotyczyć wyłącznie bezprawnego blokowania referendum i przeniósł się na samą istotę procesu akcesji. Powszechne stało się przekonanie, że procedura „aneksji” (jak zaczęto ją określać) Bułgarii do strefy euro odbywa się na siłę, wbrew wskaźnikom ekonomicznym, wbrew logice i – co najważniejsze – wbrew dominującym nastrojom społecznym.

Następnym etapem była kompletna utrata kontroli nad narracją medialną. Na platformach niezależnych – w podcastach, na YouTube i w portalach zakładanych przez byłych dziennikarzy – coraz większą popularność zdobywali eksperci niezwiązani z żadnymi partiami czy koteriami oligarchicznymi. Tłumaczyli, jak naprawdę wygląda sytuacja Bułgarii i dlaczego jej gospodarka nie spełnia niemal żadnego z kryteriów.

Temat ten stał się nie tylko absolutnym priorytetem dla opinii publicznej, ale i osią realnego konfliktu pomiędzy społeczeństwem a elitami. Co więcej, okazało się, że w walce na argumenty i emocje establishment szybko zaczyna przegrywać. Zwłaszcza od momentu, gdy w alternatywnych mediach głównym krytycznym komentatorem stał się elokwentny i charyzmatyczny prof. Grigor Sariijski z Uniwersytetu Gospodarki Narodowej i Światowej (UNSS), najważniejszej i największej uczelni ekonomicznej w kraju. Sariijski był zapraszany niemal do wszystkich kanałów opozycyjnych i obywatelskich, a w końcu także do opozycyjnie zorientowanej telewizji Eurocom, gdzie coraz częściej pojawiali się także politycy związani z ruchem sprzeciwu wobec euro: Kostadinow, jego zastępca Concho Ganew, Radostin Wasilew oraz Iwelin Michajłow, przewodniczący partii Majestat (bułg. Weliczie). Opozycyjny przekaz, w którym euro to nie tylko zagrożenie dla gospodarki, ale też utrata suwerenności i kontrola zewnętrzna nad polityką monetarną Bułgarii, zaczął dominować nad toporną, a zarazem coraz bardziej obraźliwą i neurotyczną narracją głównego nurtu.

To nie demokracja – to manipulacja

W 2025 r. sytuacja stała się jeszcze trudniejsza dla rządzących, ponieważ do krytyków dołączył prof. Steve Hanke – postać w Bułgarii niezwykle znana i poważana. To on jako doradca prezydenta Petyra Stojanowa w 1997 r. stał za wprowadzeniem tzw. *currency board*, który zakończył epokę hiperinflacji i powiązał lewa z niemiecką marką, a następnie z euro. System ten uniemożliwia bankowi centralnemu emisję pieniądza bez pokrycia w rezerwach walutowych innych państw.

Hanke jest uznawany za architekta bułgarskiej stabilności monetarnej. Kiedy więc i on zaczął otwarcie krytykować planowane przyjęcie euro, najpierw w podcastach, na YouTube, potem już także w mediach głównego nurtu, spowodowało to kolejne masowe wzmożenie. Podkreślał, że ▶

► polityka *currency board* działa bez zarzutu od 1997 r., a przystąpienie do strefy euro oznacza dla Bułgarii „monetarne samobójstwo”: utratę dyscypliny fiskalnej, pozbycie się rezerw walutowych oraz ryzyko wystąpienia scenariusza greckiego. W takiej atmosferze euro stało się symbolem konfliktu o kształt państwa, podmiotowość i prawo obywateli do decydowania o losie kraju.

Jednym z kulminacyjnych momentów było pojawienie się profesora w głównym wydaniu programu „120 minut” na antenie bTV – najbardziej mainstreamowej, euroatlantycko zorientowanej stacji w kraju, uważanej za medialny rdzeń bułgarskiego establishmentu. Hanke został zaproszony, ponieważ nie można było już dłużej udawać, że jest on nieobecny w tej debacie. Swoim wystąpieniem zdemolował euroentuzjastyczny przekaz, a prowadzącą program Radkę Damjanową pozostawił w widocznym stuporze. „W Bułgarii nie ma żadnej transparentności. Zmiany prawne wprowadzono po cichu, rękami głęboko skorumpowanych polityków. To nie jest demokracja – to manipulacja (...). Zmienicie walutę i obudziecie się w pułapce, z której nie da się uciec. Nigdy! To nie jest kwestia techniczna. To jest kwestia suwerenności. A kto suwerenność oddaje, ten jej już nigdy nie odzyska”, powiedział na sam koniec.

Rezerwy do wzięcia, suwerenność do oddania

Chór krytyków rządu w Sofii i euro znów gwałtownie się rozrósł i stał jeszcze głośniejszy. Coraz więcej postaci cieszących się autorytetem zarówno w społeczeństwie, jak i w środowiskach eksperckich zaczęło mówić wprost: tu chodzi nie o reformy, lecz o zwyczajne złodziejstwo. Jeden z takich głosów należał do Wanii Grigorowej, związkowej ekonomistki, znanej komentatorki, obecnie radnej w Sofii. Jej wystąpienie – opublikowane w formie monologu na YouTube i błyskawicznie podchwycone przez niezależne media – odbiło się echem w całym kraju.

Grigorowa oskarżyła bułgarską oligarchię o próbę przejścia rezerw walutowych zgromadzonych w ramach systemu *currency board*. Stanowią one równowartość rocznego budżetu państwa, ok. 70-80 mld lewów. Grigorowa ostrzegła, że właśnie te środki, a nie żadna strategia integracyjna, są przyczyną pośpiechu rządu. Zwłaszcza że część tych rezerw musi trafić do Europejskiego Banku Centralnego, co też wpisuje się w interesy unijnych elit finansowych, szukających zastrzyku gotówki na czas nadciągającej recesji.

Krytycy wskazują tu konkretne postacie. To Bojko Borisow, były

Temat euro zapoczątkował protesty przeciw narzucanej transformacji ekonomicznej i ustrojowej, za którą Unia wystawi rachunek najbiedniejszej nacji we Wspólnocie.

premier i lider partii GERB, który przez 15 lat stworzył autorytarno-mafijny reżim, oraz Delan Peewski, nowy magnat, objęty sankcjami z mocy Magnitsky Act, przejmujący schedę po Borisowie, którego gwiazda wyraźnie gaśnie. Ten duet ma dziś pełną kontrolę nad porządkiem instytucjonalnym – nad sądami, od powszechnych po konstytucyjny i najwyższy, oraz służbami skarbowymi i prokuraturą.

Ale to nie wszystko. Grigorowa podobnie jak wielu innych za kluczowy element całego scenariusza uważa szarą strefę. W Bułgarii, gdzie tysiące ludzi zgromadziły nieopodatkowane fortuny w gotówce – często ukrytej „pod materacem” – przymusowa wymiana waluty w styczniu 2026 r. oznaczać będzie konieczność ujawnienia tych dochodów. Wtedy, jak ironizują publicyści, w okienku nie będzie już kasjerki, tylko sam Peewski. Najpierw spyta, skąd pochodzą te środki, a potem złoży ofertę nie do odrzucenia. Przymusowe wprowadzenie euro jawi się już nie jako projekt modernizacyjny, lecz jako narzędzie redystrybucji władzy i środków w rękach tych, którzy i tak mają wszystko. Dlatego tak przekonująco dla wielu brzmią słowa jeszcze innego znanego komentatora, byłego wysokiego rangą oficera wywiadu, Welizara Enchewa:

„Dziś opór wobec euro nie jest kwestią gospodarki czy bankowości. To kwestia instynktu samozachowawczego i ocalenia resztek bułgarskiej państwowości”.

Pozostaje tylko przemoc?

Protesty, które od kilku tygodni wstrząsają Bułgarią, są – niezależnie od finalnego rezultatu – zjawiskiem bez precedensu w najnowszej historii tego kraju. Trwają niemal nieprzerwanie, nie tylko w Sofii, ale także w Warnie, Płowdiwie, Burgas i wielu mniejszych miastach, które nie mają żadnej historii wystąpień ludowych.

Demonstracje zorganizowali nawet Bułgarzy mieszkający w Brukseli i we Frankfurtach.

Po tym jak władza straciła kontrolę nad dyskursem, ewidentnie podjęto decyzję o przyspieszeniu procedur. Obóz rządzący wspólnie z Komisją Europejską robi wszystko, by euro zostało zaklepane, zanim opozycyjne ciśnienie osiągnie punkt krytyczny. I wiele wskazuje na to, że tak właśnie się stanie. Nawet symboliczny gest prezydenta Rumena Radewa, który 9 maja 2025 r. skorzystał z konstytucyjnego uprawnienia i złożył wniosek o przeprowadzenie referendum w tej sprawie, został odrzucony przez parlament, z oczywistym naruszeniem prawa. Bez merytorycznej debaty, bez konsultacji, wbrew wszelkim zasadom demokratycznego państwa prawa.

Protestujący mają też świadomość, że ich wysiłek – autentyczny, oddolny, pełen nadziei – zostanie po prostu zmieciony w biurokratycznych trybach porozumień międzynarodowych. Pojawia się przestrzeń do nowej, bardzo radykalnej refleksji politycznej: jeśli nawet takie mobilizacje, na taką skalę i w tak świadomej formie, nie wystarczą, to co jeszcze można zrobić w granicach prawa?

Bojan Stanisławski

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Mopem w Ewangelię

Biskup krakowski Andrzej Zebrzydowski mawiał w XVI w.: „A wierz sobie choćby w kozła, byleś dziesięć płacił!”. Marek Jędraszewski, jeden z następców Zebrzydowskiego, tak nie powie – wszak już nie ma dziesięć.

Gdy przed laty usłyszałem z ust jednego biskupa, że istnieje „grzech społeczny”, a z ust innego, że słów Jezusa nie należy „traktować dosłownie”, uznałem, że polski Kościół rzymskokatolicki stał się instytucją pogańską. Wybory prezydenckie tylko mnie w tym przeświadczeniu utwierdziły. Wszak Kościół poparł grzesznika, i to grzesznika zatwardziałego! Gdy bowiem ujawniały się kolejne wykroczenia dr. N. – przeciw przykazaniu drugiemu, szóstemu, siódmemu i ósmemu – jedyną jego odpowiedzią było kręactwo. Chrześcijanin ma obowiązek wybaczać grzesznikowi, ale jak wybaczać, skoro grzesznik kłamie, że nie grzeszy? Kościół, popierając akurat takiego kandydata, dał świadectwo, że grzechy przeciw Dekalogowi mają jego błogosławieństwo. Czy może być większe zgorszenie?

Bp Zebrzydowski żył w czasach, gdy nie istniał rozdział Kościoła od państwa: biskupi nie „mieszali się do polityki” – oni w polityce byli. Rządzili się racją Kościoła: zwalczając inaczej wierzących, dezintegrowali Rzeczpospolitą, rozsadzali ją od środka. A jednak byli też nieraz ostoją polskiej państwowości. I nieraz starali się o pokój społeczny, co zresztą wywodzili z nakazu ewangelicznego: „Błogosławieni pokój czyniący” – *Beati pacifici*. Tymczasem w ostatnich wyborach – cośmy ujrzeni? Wszak katolicy byli po obu stronach skonfliktowanych obozów, a kandydat przez biskupów zwalczany nie był żadnym Antychrystem, przeciwnie – wykazywał cechy, które powinny być Kościołowi bliskie. Ale biskupi woleli pobłogosławić wojnę. Tak, wojnę, bo prezydent elekt pojmując swą misję jako taran walący w konstytucyjny rząd.

Takiego Kościoła jeszcze w Polsce nie mieliśmy. Cokolwiek mówić o aborcyjnej obsesji papieża Jana Pawła II, nie da się go określić mianem poganina. Cokolwiek mówić o katolicyzmie ludowym prymasa Stefana Wyszyńskiego, polską rację stanu rozumiał on bezbłędnie. Choć od obozu rządzącego w PRL oddzielało go wszystko. Dziś polscy biskupi postawili na polityczne zwanie z rządem, który jest najdalej od jakiegokolwiek „walki z religią”, a jedyne, do czego dąży, to do jakiejś formy – wciąż jeszcze nieśmiałego – rozdziału Kościoła od państwa. A taki rozdział (przyznaję to sami katolicy)

wyszedłby tylko na dobre Kościołowi, jego ewangelicznej misji.

Powie ktoś: poparcie Kościoła dla dr. N. było dyskretne, nie tak nachalne jak kiedyś. Zapewne, ale co z tego? Jak długo polski katolik ma patrzeć, jak jego pasterzom chodzi o „kozła”, nie o wiarę? Powie kto inny: wszystkie te brudy wypływały w trakcie kampanii, nie było jak do nich się ustosunkować. No ale przed kampanią mieliśmy przynajmniej jedno zjawisko: czyjeś usta pełne frazesów religijnych. Czyżby biskupi zapomnieli słów: „Nie każdy, kto Mi mówi »Panie, Panie«...”? Powie jeszcze kto inny: to nie jest prawda o całym Episkopacie, biskupi są różni. Naprawdę? To niech się ci „różni” ujawnią! „Kto milczy, zdaje się zezwalać”, pisał papież Bonifacy VIII.

Kto milczy, zdaje się zezwalać.

Z którejkolwiek więc strony patrzeć, dr. N. był ostatnim, którego Kościół powinien popierać. Ale cóż, „kogo Bóg chce zgubić, temu wpięć odbiera rozum”. Dlatego po wyborach biskupi poszli na całość. Czy akurat teraz musieli wymieniać przewodniczącego komisji ds. pedofilii, prymasa Wojciecha Polaka, na biskupa gliwickiego Sławomira Odera, niegdysiejszego postulanta procesu kanonizacyjnego Jana Pawła II? Nie chcą idealizować prymasa Polaka – jako jeden z biskupów milczących ponosi odpowiedzialność za kościelne pogaństwo – lecz przynajmniej sprawę pedofilii traktował poważnie. A czy akurat teraz abp Jędraszewski musiał wyrzucić ks. Dariusza Rasia, proboszcza bazyliki Mariackiej?

Nie wiem, czy wszystkie te zmiany sygnalizują odwrót od linii papieża Franciszka, wiem tylko, że jedną rzecz trzeba powtarzać bez końca: Kościół odrzucający Dekalog i Ewangelię jest w sposób oczywisty Kościołem pogańskim.

Przesadzam? Wszak Kościół kolejny raz odciągnął wiernych od wiary! W pierwszych dniach po drugiej turze wyborów zanotowano dziesięciokrotny wzrost apostazji. Czy to tak się pasie swoje baranki? Gdy zaś ostatnio na chodniku przed kurią krakowską wypisano wersety Ewangelii, pracownicy tej instytucji rzucili się na nie z mopem i zaczęli je wymazywać. Kościół wymazujący Ewangelię! Ten obrazek zostanie z nami już na zawsze.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Bunt na Półwyspie Iberyjskim

Hiszpanie sprzeciwiają się zbrojeniowej gorączce NATO

Tomasz Skowronek

Podczas szczytu NATO w Hadze (24-25 czerwca) uzgodniony został nowy cel dla krajów członkowskich: 5% PKB (z obecnych 3,5%) do 2035 r. na „twardą obronę” i dodatkowe 1,5% na inwestycje związane z obronnością, takie jak cyberbezpieczeństwo i mobilność wojskowa. Z nowymi celami nie zgadza się Hiszpania, która oświadczyła, że nie musi się stosować do tych wytycznych.

„Nie” Sáncheza dla wyścigu zbrojeń

Premier Pedro Sánchez jeszcze przed szczytem oświadczył, że jego rząd nie zamierza blokować przyjęcia przez inne kraje zobowiązania pięcioprocentowych wydatków na obronę. Stwierdził jednak, że Hiszpania nie może przyjąć takiego celu, bo oznaczałoby to poważne ograniczenie środków na politykę socjalną oraz podwyżkę podatków. „W pełni szanujemy uzasadnione pragnienie innych krajów, aby zwiększyć inwestycje w obronność, ale my nie zamierzamy tego robić”, powiedział, dodając, że Hiszpania mogłaby się wywiązać ze wszystkich zobowiązań wobec NATO, jeśli chodzi o personel i sprzęt, wydając na ten cel 2,1% swojego PKB. Zwrócił uwagę także na fakt, że wzmocniona zostanie zależność Europy od uzbrojenia z USA. Hiszpania i reszta Europy, kupując sprzęt wojskowy głównie od Amerykanów, nie będą mogły rozwijać własnej bazy przemysłowej.

Postawa centrolewicowego przywódcy wywołała oburzenie wśród pozostałych członków NATO, którzy obawiali się, że może ona znieweczyć wypracowany kompromis. Hiszpania od początku podchodzi z dystansem do kwestii zwiększenia wydatków zbrojeniowych. Według



Premier Hiszpanii Pedro Sánchez na konferencji prasowej po sesji plenarnej na szczycie NATO w Hadze, 25 czerwca 2025 r.

szacunków NATO w 2024 r. wydano tam na ten cel zaledwie 1,24% PKB.

Historia relacji Hiszpanii z sojuszem jest trudna. Już pod koniec lat 80. próby przyłączenia Hiszpanii do NATO wywołały chaos polityczny. Sondaże konsekwentnie pokazywały, że obywatele sprzeciwiają się przystąpieniu do paktu polityczno-wojskowego.

Ówczesny centroprawicowy rząd stanął przed wyzwaniem: nie udało mu się zdobyć wystarczającego poparcia dla przystąpienia do Paktu Północnoatlantyckiego ani wśród partii politycznych, ani w społeczeństwie. Chociaż potencjalne wejście Hiszpanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej miało wyrażną akceptację wszystkich sektorów politycznych i opinii publicznej, sprawa przystąpienia do NATO ugrzęzła w kontrowersjach. Ostatecznie rząd Unii Centrum Demokratycznego uzyskał poparcie jedynie konserwatywnego Sojuszu Ludowego oraz nacjonalistycznych

partii baskijskiej i katalońskiej. Komunistyczna Partia Hiszpanii (PCE) oraz Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE) sprzeciwiały się takiemu zaangażowaniu. Siłą napędową kampanii „Nie dla NATO” byli socjaliści, na czele z Felipem Gonzálezem, którzy domagali się referendum w tej sprawie.

Tymczasem ta część społeczeństwa, która nie była przeciwna członkostwu w NATO, po śmierci Franco (członkostwo utożsamiano z demokracją Hiszpanii), stopniowo zmieniła nastawienie. Było to spowodowane antypatią wobec Stanów Zjednoczonych (wielu Hiszpanów obwiniło Waszyngton za długotrwałość dyktatury Franco), tradycyjnym brakiem zainteresowania Hiszpanów sprawami zagranicznymi oraz faktem, że znaczna część społeczeństwa nie postrzegała ZSRR i Układu Warszawskiego jako potencjalnych zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego. Na to nakładały się coraz bardziej

złożona sytuacja międzynarodowa oraz pacyfistyczne sympatie Hiszpanów i skłonność do zachowywania neutralności.

5% to szaleństwo?

„Przez ostatnie 10-15 lat uważaliśmy, że nie potrzebujemy sił zbrojnych – ich rola miała polegać na reagowaniu na klęski żywiołowe, ale nie widzieliśmy sensu posiadania wielu myśliwców – komentował Mario Saavedra, korespondent dyploma-

7 czerwca lider lewicy Enrique Santiago napisał na platformie X: „Gdyby Hiszpania zaakceptowała brutalne zbrojenia, których żądał Trump, pozostanie w rządzie Izquierda Unida (Zjednoczonej Lewicy) byłoby niemożliwe”. Liderka partii Podemos Ione Belarra również rzuciła premierowi wyzwanie, mówiąc w parlamencie: „Brakuje ci odwagi, aby powiedzieć »nie« Donaldowi Trumpowi”.

„Wyłączenie Hiszpanii z obowiązku zwiększenia do 5% PKB wydatków na obronność zagraża jednoci

niesprawiedliwe wobec reszty, szczerze mówiąc”. Niedługo później na swojej platformie Truth Social opublikował inną, ostrzejszą wiadomość, w której twierdził, że „Hiszpania grozi wykolejeniem szczytu NATO”. Pokazywał przy tym wykres, na którym Hiszpania ze swoimi wydatkami wojskowymi plasowała się na samym dole. „Stany Zjednoczone mają prawie bilion dolarów, to niewiarygodne. Wkrótce omówię to z członkami NATO”, napisał.

Na koniec szczytu w Hadze amerykański prezydent zagroził: „Uważam, że Hiszpania jest okropna w tym, co zrobiła. (...) Jest jedynym krajem, który nie zapłaci całej kwoty. Chciał pozostać na poziomie 2%. Negocjujemy z Hiszpanią umowę handlową. Sprawimy, że zapłacą dwa razy więcej. I mówię to poważnie. Hiszpania jest jedynym krajem, który odmawia zapłaty i chce »jeździć na gapę«, ale będzie musiała nam to oddać w formie handlu”.

„Oczywiście jesteśmy problemem dla Trumpa, ponieważ jesteśmy jedynymi, którzy mówią głośno, że cesarz jest nagi, mimo że wielu innych również tak myśli, i wyraźnie sprzeciwiamy się absurdalnej kwocie wydatków,

Analitycy i dyplomaci twierdzą, że 2% jest akceptowalne, ale 5% to już szaleństwo.

matyczny „El Periódico” w rozmowie z BBC Verify. – Ale teraz wszystko zmienia się bardzo szybko. Pedro Sánchez powiedział, że do końca roku wyda 2,1% PKB na zbrojenia, i nie zapłacił za to żadnej ceny politycznej”.

Hiszpania uzyskała zwolnienie z nowego celu NATO zakładającego przeznaczanie na obronność 5% PKB. Premier stwierdził, że wydatek tego rządu byłby niezgodny ze światopoglądem mieszkańców jego kraju i jego zobowiązaniem do utrzymania państwa w dobrobycie.

„Analitycy i dyplomaci twierdzą, że 2% jest akceptowalne, ale 5% to już szaleństwo”, podkreślił Mario Saavedra. „Możemy wydać więcej na wojsko – istnieje na to pewien rodzaj akceptacji wśród polityków i społeczeństwa, ale nie zrobimy tego szybko i na tak ogromną skalę”.

Pod koniec marca br. premier Sánchez, przemawiając na konferencji w Pałacu Moncloa, przyznał, że Rosja nie stanowi głównego zagrożenia dla Hiszpanii: „Naszym zagrożeniem nie jest Rosja, która przerzucałaby swoje wojska przez Pireneje. Kiedy mówimy o Rosji, jest to raczej zagrożenie hybrydowe, zagrożenie atakami cybernetycznymi. Musimy mówić nie tylko o obronie, ale o podstawach bezpieczeństwa”.

Koalicjanci Sáncheza są bardzo niechętni zwiększaniu wydatków na armię – w szczególności krzywo na to patrzą lewicowy sojusz Sumar oraz katalońskie partie separatystyczne.

NATO i może stanowić przykład dla takich krajów jak Belgia, Włochy czy Kanada”, skomentował opozycyjny dziennik „El Mundo”. Faktem jest, że decyzje Madrytu nie spotkały się ze zrozumieniem członków sojuszu zgromadzonych w Hadze. Duńska premier, socjaldemokratka Mette Frederiksen, powiedziała redakcji „NATO Public Forum”, że nie jest „sprawiedliwe”, aby przywódcy krajów położonych dalej od Rosji starali się o zwol-

Wszyscy wiedzą, że 5% PKB na zbrojenia nie jest konieczne, ale tylko Hiszpania mówi to jasno.

nienie z tych zobowiązań: „To kwestia obrony Europy, nie Polski czy Czech. Nie zgadzam się z pomysłem opt-outu dla żadnego kraju”.

Premier Grecji Kiriakos Mitsotakis wbił Hiszpanom szpilę: „Celem sojuszu jest zapewnienie sprawiedliwego podziału obciążeń i wyeliminowanie poczucia, że niektóre państwa wykorzystują zobowiązania obronne innych”. „To igranie z ogniem, a premier Pedro Sánchez naraża bezpieczeństwo Europy dla celów politycznych”, stwierdził zaś cytowany przez dziennik „ABC” szef Europejskiej Partii Ludowej (EPL) Manfred Weber.

Najbardziej dosadne oświadczenie padło z ust Donalda Trumpa w samolocie, którym prezydent USA leciał do Hagi: „Jest problem z Hiszpanią. Hiszpania się nie zgadza, co jest bardzo

którą chce nam narzucić”, oburzał się w rozmowie z „El País” anonimowy członek hiszpańskiego rządu.

Włochy, które według Hiszpanii nigdy nie będą w stanie osiągnąć wymaganego celu przy obecnym poziomie zadłużenia, znacznie wyższym niż dług hiszpański, jednak zobowiązały się do realizacji 5% wydatków na zbrojenia, pozostawiając Hiszpanię osamotnioną. Z kolei dla Francji i Niemiec od zagrożenia rosyjskiego ważniejsze jest wzmocnienie własnego przemysłu, oceniał na łamach „El País” członek rządu, wytykając: „Wszyscy wiedzą, że 5% nie jest konieczne, ale tylko Hiszpania mówi to jasno”. Przedstawiciele hiszpańskiego rządu narzekają też, że Trump żąda 5% od sojuszników z NATO, ale mówi, że USA tych wymagań nie zrealizują. ■

Marcelina Szumer-Brysz
Korespondencja z Turcji

Stambuł czeka na trzęsienie ziemi

Sejsmolodzy nie mają dobrych wieści dla metropolii

Przed meczetem Hagia Sophia jak zwykle tłum turystów oczekuje w karnej kolejce do kas. Po tym jak w 2021 r. muzeum znów stało się meczetem, wstęp przez kilka lat był darmowy, jednak ostatnio znów zmieniono decyzję. Darmowy dla wiernych pozostał wyłożony turkusowym dywanem parter świątyni, zwiedzający płacą za wstęp na galerię. Pnę się więc w górę, słuchając, jak przewodnik opowiada grupie turystów o planowanej renowacji Hagii Sophii.

Monumentalna budowla ma zostać zabezpieczona przed trzęsieniem ziemi, które czeka Stambuł w perspektywie kilku, kilkunastu, choć może dopiero kilkudziesięciu lat. Decyzję o zabezpieczeniu budowli podjęto po katastrofalnym trzęsieniu, które w 2023 r. nawiedziło południowy wschód Turcji, i ogłoszono po niedawnych wstrząsach w Stambule.

Sprawdzam szczegóły. Okazuje się, że architekci planują wzmocnić połączenia między półkolumnami a centralną częścią budowli. Zdemontowane zostanie ołowiane pokrycie głównej kopuły i przeprowadzona będzie in-

dziś nad ok. 2,5 mln mieszkańców Stambułu. Trzęsienie, które wydarzy się prędzej czy później, zapewne będzie miało magnitudę od 7,2 do 7,6. Ekspert wyjaśnił dziennikarzom, że wstrząsy o takiej skali wyrządzą większe szkody niż trzęsienie, do którego doszło w lutym 2023 r. „Liczba ofiar śmiertelnych byłaby niewiarygodna. Zagrożonych jest 600 tys. mieszkań. Nie przystoi Republice Turcji, żeby tak wiele osób zginęło w trzęsieniu ziemi”, powiedział w programie telewizyjnym Habertürk. Dodał, że choć geolodzy od lat zapowiadali trzęsienie ziemi na południu, mieszkańcy regionu żyli w nieświadomości, a infrastruktura nie została przygotowana w odpowiedni sposób: „Nie można pozwolić, by powtórzyło się to w Stambule.

To ostatnie wcale nie jest takie proste. Tuż po lutowym trzęsieniu trudno było znaleźć ekipę do wykonania inspekcji technicznej – tak wielu chętnych w mieście chciało sprawdzić, czy ich domy są bezpieczne. Zdarzają się też spory sąsiedzkie. Medialnym przykładem takiej sytuacji była sprawa noblisty Orhana Pamuka, który chciał wyburzenia budynku, w którym ma siedem mieszkań, i postawienia na jego miejsce nowego, sąsiedzi zaś żądali wzmocnienia konstrukcji, nie godząc się na rozbiórkę. Sprawa trafiła do sądu.

Choć prace trwają, wydaje się, że nie postępują tak szybko, jak chciałoby urzędnicy. Po trzęsieniu ziemi z kwietnia stambulska administracja, przedstawiciele ministerstwa środowiska i państwowej agencji mieszkaniowej TOKI spotkali się na szczycie poświęconym zabezpieczeniu miasta przed katastrofą. Znów rozmawiano o przebudowie, ale też m.in. o wyznaczeniu stref ewakuacji. Z tym będzie jednak trudno – w wielu miejscach, które wcześniej pełniły taką funkcję, dziś stoją biurowce i centra handlowe. A czasu jest niewiele. Prof. Doğan Kalafat, kierownik Regionalnego Centrum Śledzenia Trzęsień Ziemi i Tsunami, uważa, że prawdopodobieństwo, iż potężne trzęsienie uderzy do 2030 r., wynosi 64%.

Geolog Naci Görür uważa, że groźba śmierci wisi dziś nad ok. 2,5 mln mieszkańców Stambułu.

spekcja stanu kolumn nośnych oraz podziemi. Zdaniem Hasana Firata Dikera, kierownika prac, będzie to najprawdopodobniej największa renowacja w historii świątyni. O tyle trudna, że nie da się budować od podstaw, trzeba – twierdzi ekspert – działać w obrębie tych narzędzi, które są dostępne.

Wstrząs nad wstrząsami

Hagia Sophia to z pewnością najbardziej znany, ale niejedyny budynek w 16-milionowym mieście, który przygotowuje się na wstrząsy. Geolodzy od lat przestrzegają przed katastrofalnym trzęsieniem, które może dotknąć rejon morza Marmara. Geolog Naci Görür uważa, że groźba śmierci wisi

Musimy uczynić całą jego infrastrukturę odporną na trzęsienia ziemi. Infrastruktura to drogi, mosty, wiadukty, kanalizacja, sieć wody pitnej”.

Tym razem władze wzięły sobie do serca apele naukowców. Minister środowiska i urbanizacji potwierdził dane o 600 tys. mieszkań, które mogą ucierpieć w wyniku wstrząsów. Niektóre ze względu na położenie, inne – z powodu wątpliwej jakości i kiepskiego stanu technicznego. Resort już w 2023 r. zapowiedział wielki projekt transformacji metropolii, zakładający m.in. wybudowanie zupełnie nowych osiedli na 350 tys. mieszkań na terenach uznanych za bezpieczne oraz wzmocnienie tych budynków, które już stoją i wciąż nadają się do zamieszkania.

Ucieczka w rodzinne strony

Nie wszyscy w Stambule chcą czekać, aż władze uczynią miasto bezpiecznym. „Gazete Duvar” informuje, że na rynku nieruchomości widać zmiany spowodowane odpływem mieszkańców, przepłoszonych zarówno podwyżkami czynszów, jak i perspektywą trzęsienia. Pierwszy



Hagia Sophia to z pewnością najbardziej znany, ale niejedyny budynek w 16-milionowym mieście, który przygotowuje się na wstrząsy.

funkcjonować. Oczywiście warto starać się w choćby minimalnym stopniu zadbać o własne bezpieczeństwo: przygotować awaryjny plecak z niezbędną zawartością, mieć w domu zawsze zapasy wody czy ustalić z najbliższymi miejsce spotkania w przypadku trzęsienia. A cała reszta to, jak mawiają Turcy, kismet, przeznaczenie – dodaje.

– Staram się nie myśleć na co dzień o trzęsieniu ziemi – mówi mi Derya, przewodniczka po Stambule. Dom, w którym mieszka, został niedawno wzmocniony, powinien być bezpieczny. – Ale gdy w kwietniu zatrzęsa się w mieście ziemia, byłam przerażona. Nie byłam przygotowana, nie miałam plecaka ewakuacyjnego, nic. Czy wyprowadzę się ze

„trzęsieniowy” exodus zauważony został już w 2023 r. Gazeta informuje, że ludzie chcą zmienić miejsce zamieszkania właśnie ze względu na ryzyko sejsmiczne.

Nilüfer Kas z Komitetu ds. Nieruchomości Izby Handlowej w Stambule powiedziała dziennikarzom, że mieszkańcy miasta najczęściej wracają (państwo może nawet dopłacić do przeprowadzki) w rodzinne strony: nad Morze Czarne i do Anatolii. Nie chcą płacić horrendalnych czynszów za mieszkania w budynkach, np. w dzielnicy Üsküdar, które mogą się zawalić. Trend dostrzegają także pośrednicy w handlu nieruchomościami. Ich zdaniem widać wyraźny spadek zainteresowania najmem i zakupem mieszkań w Stambule. Ci, którzy to robią, kupują w celach inwestycyjnych, a nie po to, by samemu zamieszkać w metropolii. Podobno nawet studentów jest mniej. Wolą uczyć się w swoich regionach niż w niebezpiecznym Stambule.

Ale prorządowa agencja informacyjna Anadolu jest bardziej optymistyczna. Niedawno informowała o mieszkańcach, którzy skorzystali z rządowego programu „Yarısı Bizden”, w ramach którego można otrzymać pożyczkę bądź dopłatę do

Trzęsienie, które prędzej czy później czeka Stambuł, zapewne będzie miało magnitudę od 7,2 do 7,6.

zakup nowego mieszkania w przygotowanym na trzęsienie ziemi budynku. „Dom, w którym mieszkaliśmy wcześniej, został zbudowany w 1996 r. Pamięta poprzednie wielkie trzęsienie, a jego stan techniczny pozostawiał wiele do życzenia. Złożyliśmy wnioski i kupiliśmy nowe mieszkanie. Wreszcie śpię spokojnie”, powiedziała dziennikarzom Nuriye Çapkan, która z dzielnicy Beykoz przeniosła się do Avcılar.

– Transformacja miejska rzeczywiście przyspieszyła w ciągu ostatnich kilku lat, a niedawne trzęsienie na wschodzie na pewno jest tu nie bez znaczenia. W dzielnicach wyjątkowo narażonych na skutki potencjalnego trzęsienia – z uwagi na położenie na wybrzeżu morza Marmara, miękką glebę itd. – wyburza się budynki, które nie spełniają norm budowlanych. A jest ich wiele! – potwierdza Agata Wielgołaska, polska pisarka i lektorka języka tureckiego, która od lat mieszka w Turcji.

– Czy myślimy na co dzień o ryzyku? Trudno byłoby w ten sposób

Stambułu? Nie, bo nie mam dokąd. Urodziłam się tu, moi rodzice stąd pochodzą i tu mieszkają. Zostanę i będę się modlić, by wstrząsy nas ominęły.

Na to jednak szanse są niewielkie. Trzęsienia nie omijały Stambułu, nawet zanim jeszcze zaczął być Stambułem. W 342 r., zaledwie 12 lat po tym, jak miasto zostało stolicą cesarstwa bizantyjskiego, zatrzęsa się w nim ziemia, a dwa wieki później miało miejsce aż 10 takich trzęsień. W 542 r. ziemia zatrzęsa się kolejny raz, a 16 lat później w efekcie wstrząsów zawaliła się kopuła Hagii Sophii. W 1509 r. trzęsienie było tak silne, że nazwano je małą apokalipsą. Ponad 200 lat później, w 1766 r., miało miejsce trzęsienie, po którym jeszcze przez osiem miesięcy następowały wstrząsy wtórne. Kolejne trzęsienia nawiedzały miasto w 1855, 1894 i 1912 r. Wciąż pamięta się to z 1999 r., które pozbawiło życia 17 tys. ludzi (rannych zostało ponad 50 tys. osób). Mało kto wierzy, że wstrząsy z kwietnia 2025 r. będą ostatnie. ■

Rozmawia
Beata Dżon-Ozimek

Zaryzykowałyście szczerość. Wasza książka pomaga wyjaśnić wiele z życia kilku pokoleń nie tylko kobiet. Jak wam się z tą wspólną książką żyje?

Brygida: – Było dużo niepokoju na początku, bo pisząc książkę jednak dość osobistą, rzeczywiście ryzykowałyśmy wiele. To miłe zaskoczenie, że ludzie tak ciepło ją przyjmują. Wiele czytelniczek ujmuje autentyczność książki, a także szczerość Justyny, która „przyznaje się”, że jest w niej sobą. Po spotkaniach czytelniczek chcą rozmawiać, bardzo je ciekawi głos drugiego pokolenia migrantów w Niemczech. Tak było np. po spotkaniu w Berlinie w Polskiej Kafejce Językowej.

Justino, jesteś psychołożką, nie pisałaś nigdy zawodowo. Stąd bierze się twoja większa autentyczność? Mama jest zawodowo związana z pisaniem.

Justina: – Czytelniczkom faktycznie podoba się, że wprowadziłam do naszej powieści więcej prawdziwości. Kiedy mama zabierała się do pisania tej książki, a było między nami wtedy nie najlepiej, powiedziałam jej: „Mamo, to napisz po prostu o tym, jak jest, że jest nam teraz ciężko”. I w końcu tak zrobiła (śmiej).

Brygida: – Ja jednak się upieram, że nie jestem bohaterką, jest nią Gizela. Czuję się bardziej chórem, który też w książce występuje, świadomością autorską unoszącą się nad tekstem. Gizela to tylko jakiś aspekt mnie. Justyna się śmieje, że zawsze tak mocno to podkreślam. Pewnie robię to dlatego, że jestem literaturoznawczynią, dla mnie postać literacka zawsze jest jednak kreacją, nawet jeśli inspirację czerpię z własnego życia.

Pisałyście książkę m.in. w waszym berlińskim mieszkaniu, „mieszkaniu kobiet”, które też ma swoją historię.

Brygida: – Tak, mieszkaliśmy tu wcześniej dwie kobiety, wdowy po żołnierzach Wehrmachtu. Straciły mężów i zamieszkały razem. Czy jest w tym mieszkaniu siła kobiet? Trudno mi powiedzieć. Czasem mam wrażenie, że brakuje tu energii męskiej (śmiej), że my, kobiety,

Jak córka z matką

Zaryzykowały szczerość



Brygida i Justina Helbig.

DR HAB. BRYGIDA HELBIG

– urodzona w Szczecinie pisarka, literaturoznawczyni, do 2021 r. profesor UAM. Podcasterka radia Cosmo, trenerka pisania, mentorka, kierowała Biurem Polonii w Berlinie. Jej „Niebko” znalazło się w finale Nagrody Literackiej Nike w 2014 r., opowiadania „Enerdowce i inne ludzie” były nominowane do Nike i Nagrody Literackiej Gryfia w 2012 r. Biograficzną powieść o Marii Komornickiej/Piotrze Właście „Inna od siebie” nominowano do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Mieszka w Berlinie.

JUSTINA HELBIG

– urodzona w Zagłębiu Ruhry, absolwentka psychologii na Uniwersytecie w Sheffield w Wielkiej Brytanii, coach i mentorka ze specjalnością relacji rodzinnych i partnerskich. Debiutowała w 2006 r. opowiadaniem „Anders als alles” wyróżnionym w szwajcarskim konkursie literackim, pierwszy wiersz opublikowała w berlińskim „Tagesspiegel”. Prowadzi m.in. doradztwo psychologiczne dla Biura Polonii w Berlinie.

wnosimy do tej przestrzeni nie tylko swoją siłę, ale i kolektywne traumy. Może czas stąd wyfrunąć?

W powieści mamy kilka planów: relacja matki i córki, Gizela i jej tata, ona i jej były mąż, jest i jej partner, jest Selina i jej ojciec. Sporo w książce tęsknoty za przyjazną męskością.

Brygida: – Faktycznie tak jest. Przy czym relacja matki i córki jest

w książce oczywiście pierwszoplanowa, obie świadomie nad nią pracują – piszą, rozmawiają, śmieją się i kłócą. Inne ważne postacie to rodzice Gizeli. Ona sama znajduje się pośrodku, między córką a rodzicami. Z nimi nie może już raczej pracować nad relacją, to zupełnie inne pokolenie. Ale i te relacje są głębokie i ciekawe, także w nich nie brakuje poczucia humoru, mimo trudnych

przeżyć i świadomości bliskiego odejścia. Uznałam, że warto opisać problem opieki nad starzejącymi się rodzicami, aby pokazać, w jak trudnej sytuacji znajdują się dzieci, same już w słusznym wieku. Często są pełne współczucia, chęci pomocy, a jednocześnie docierają do własnych granic. Ale dla ich rodziców to również bardzo trudny etap, społeczeństwo nie ułatwia starzenia się z godnością i w dobrych warunkach. O tym też jest ta książka.

Gizelę przepelnia poczucie winy, choć wie, że to nic dobrego.

Brygida: – Wie, że to nie jest konstruktywne, nie rozwiązuje problemów. Ma jednak, jak wiele kobiet, syndrom BWW – jak to nazywam w książce, „bardzo wielkiej winy”. Względem córki, ale też wobec byłego męża, ponieważ była inicjatorką rozstania. Pewnych rzeczy nie może sobie w tym kontekście wybaczyć. Stąd w książce próba upamiętnienia tego byłego związku, jakby oddania mu czci. Często po rozstaniu deprecjonujemy byłą relację, odbieramy jej wartość, którą przecież zwykle miała. **Bardzo ważne wydają mi się w świecie waszych bohaterów muzyka, film, książki. Przeżywają dużo dobrego czasu dzięki wspólnemu doświadczaniu kultury. No i jest Gombrowicz.**

Brygida: – Tak, to bardzo ciekawy aspekt tej relacji, inicjowany głównie przez Selinę. Przy czym Gombrowicz w domu naszych bohaterek nie jest tym, którego się czyta (choć ja go czytałam swego czasu namiętnie), jest tylko podkładką pod laptopa, na którego ekranie matka i córka oglądają np. serial „Emily w Paryżu” (śmiej). **Nie każdy przyznałby się do czytania pozycji, które wymieniacie jako ulubione waszych bohaterek. Wiele tytułów należy do kultury popularnej.**

Brygida: – Nie mamy z tym problemu. Podobnie jak nasze bohaterki nie jesteśmy ideologiczne i doceniamy dobrą literaturę popularną, dobre filmy mainstreamowe. Ulubioną książką Justyny był „Harry Potter”, przeczytała go po raz pierwszy z entuzjazmem, gdy miała dziewięć lat. Dzięki niej wciągnął i mnie, oglądałam z córką wielokrotnie jego ekranizacje; podobnie było z „Władcą

Pierścieni”. W obu przypadkach pozytywny bohater chce coś dobrego zrobić dla świata, jest bardziej wrażliwy i szlachetny niż inni. Tak jak nasze bohaterki oglądamy także komedie miłosne, nawet te trochę kiczowate, lubimy się pośmiać i oderwać od codzienności. Bardzo kochałyśmy swego czasu serial „Friends”, dla mnie był to rodzaj drugiej rodziny, zwłaszcza po rozwodzie. Te nasze filmowe wieczory są piękne, śmiejemy się, jest bliskość. Albo film „Król Lew” – niby dla dzieci, a ile tam wspaniałych historii, metafor, ile mądrości. Oglądamy, a potem rozmawiamy. Nasze bohaterki też.

Justina: – „Król Lew” inspiruje nas np. do rozmów na temat poczucia winy. Ten młody Simba, któremu wmówiono, że jest winny

śmierci ojca, jest chyba w każdej z nas. Wspaniały jest moment jego wyzwolenia się z poczucia winy.

Brygida: – Jeśli mówimy o ulubionych scenach, to ja lubię tę, w której do Harry’ego Pottera wpadają drzwiami i oknami listy ze szkoły czarodziejów. To moment, kiedy już nie da się powiedzieć „nie” – trzeba przyjąć wyzwanie, iść za głosem powołania.

Piszcicie również o snach. Odgrywają ważną rolę w waszym życiu?

Justina: – Mama częściej pamięta swoje sny niż ja. W czasach moich największych transformacji śnił mi się dom pełen pokoi. Przechodziłam wciąż do kolejnego pokoju, a każdy był urządzone inaczej. Nie można było z tego domu wyjść, za każdymi drzwiami krył się następny pokój. Kiedy zaczęłam żyć pełniej,

Wściekłość kobiet to ważny temat w tej książce.



Książka „W imię matki i córki” (W.A.B. 2025), pisana przez nie wspólnie i z osobna, trochę terapeutycznie i nieco eksperymentalnie, była poznawaniem się na nowo, drogą prowadzącą od grzecznej kulturowo dziewczynki do takiej, która jest dobra wystarczająco.

odkrywać różne swoje strony, do tej pory ukryte, przestałam to śnić.

Brygida: – Ja w snach często widzę pismo, litery, słowa, przestania do zasyfowania. Po niemiecku, po polsku, nawet po łacinie. Zwykle je zapisuję, są istotnymi wskazówkami, przecuciami. Takimi snami obdarzyłam też książkową Gizelę.

Gizela często sięga po wino. Daje ci sygnał innym kobietom, że nie ma wstydlivych tematów?

Brygida: – Chyba tak. Książka jest także o tym, jak przełamywać tematy tabu, związane ze wstydem, poczuciem winy. Gizela nie ma problemu alkoholowego, jest jedynie kobietą przemęczoną, pełną frustracji, momentami nawet furii, bo przez lata, słabo stawiając granice, nagromadziła w sobie wiele złości. A do tego dochodzi „odziedziczona” złość pokoleń kobiet. Gizela czasem po prostu nie pozwala sobie na czucie. Aby pewnych rzeczy nie czuć, tłumi je kieliszkiem wina, co oczywiście na dłuższą metę niczego dobrego nie przynosi. W tym kontekście bohaterki trochę żartują, np. gdy Selina pyta o smak koniaczki z Gruzji, który matka popija, Gizela odpowiada: „Trzeba się przyzwyczaić”. Na co Selina: „A może nie trzeba?”. No i już się śmieją. ▶

► Justina: – Ale uważność i czujność córki nieraz denerwują Gizelę. Czasem jednak korzysta z jej rad, gdy Selina proponuje jej np. wino bezalkoholowe (śmiech).

Ta sama Gizela chce móc powiedzieć córce: „Jestem przy tobie i nic ci się nie stanie”. To przejmujące w ich skomplikowanej sytuacji, skoro ona „nie umie jeszcze tylko żyć” albo, jak poprawia ją Selina, „nie umie jeszcze tylko być”.

Brygida: – Tak, właśnie tak... Gizela chciałaby przekazywać córce, że radzi sobie z życiem i że córka też sobie poradzi. To jest to słynne zaufanie do życia. Dla niej (i dla mnie samej) to duże wyzwanie.

Gizela, z pokolenia 60-latków, wciąż zmaga się z oczekiwaniami, w których wyrosła – zadowolić każdego za każdą cenę, wszystkim mówić „tak”, zawsze się uśmiechać, być zawsze dla kogoś.

Brygida: – „Grzeczna dziewczynka” jest bardzo ważnym tematem tej książki. Selina, należąca do nowej generacji, jest już w innym miejscu, pokazuje Gizeli, jak bardzo ta się uzależniła od pozytywnych reakcji, od uznania otoczenia, jak mocno tkwi w poczuciu braku własnej wartości i robi wszystko, aby tę wartość sobie i innym udowodnić. Od małego

Gizela była uczona także ogromnej empatii, robi więc wszystko, by nikogo nie urazić. Ale wtedy jej własne potrzeby zostają z tyłu, pojawiają się frustracja i złość, nawet wściekłość. Wściekłość kobiet to kolejny ważny temat w tej książce.

I robi się ciasno i duszno, dusi nawet stanik, lakier na paznokciach, czyjaś obecność.

Brygida: – Gizelę dusi stanik, więc wyzwała się z niego w kawiarni (śmiech), nawet pomalowane paznokcie absurdalnie ją duszą. To wyraz głębszego poczucia, że jesteśmy tłumione, gaszone. W pozbyciu się stanika jest jakiś bunt, jakieś przejście, jak w spalaniu kobiecych sukien przez Marię Komornicką-Piotra Własta, o której napisałam powieść „Inna od siebie”.

Gizela ma, jak wiele kobiet, syndrom BWW, „bardzo wielkiej winy” – względem córki, ale też wobec byłego męża, ponieważ była inicjatorką rozstania.

Justina: – Mnie w życiu najbardziej „dusi” to, że wciąż trzeba jakieś papiery wypełniać, rozliczać się, tłumaczyć, udawadniać – tyle biurokracji i kontroli. Także dlatego rzuciłam doktorat, doszłam do punktu, w którym nie miałam ochoty nikomu udawadniać swojej wartości poprzez tytuł. W czasach covidu, kiedy pisałyśmy książkę, bardzo nas drażniły nie zawsze uzasadnione ograniczenia, obie nie lubimy sztywnych, instytucjonalnych reguł.

Selina, młoda kobieta, wydaje się mądrzejsza od pokolenia matki, wie lepiej, jak żyć. Wasza książka to również zapis doświadczeń kobiet urodzonych w latach 60., pogubionych, poranionych, których rodzice też są pokaleczeni, strauatyzowani wojną. A trauma często jest przekazywana dalej. To także książka o dzielnym dzieciach tych kobiet.

Justina: – Teraz ludzie bardziej interesują się tematami psychologicznymi, są one bardziej widoczne. Co nie znaczy, że wszyscy dobrze je rozumieją. Niektóre pojęcia z psychologii są nadużywane, ludzie sami stawiają sobie diagnozy, modne

jest przyklejanie sobie różnych etykietek, a to nie zawsze jest dla nas korzystne. Mamy dziś większe możliwości, żeby rozumieć samych siebie i naszych rodziców. Gdy dziecko ma rodziców, którzy potrzebują sporo emocjonalnego lub innego wsparcia (a tak było w moim przypadku), wchodzi w rolę opiekuna, rodzica. Bardzo szybko uczy się tego, co rodzice myślą, co czują, czego potrzebują. To trochę smutne. Kiedy ktoś mówi: „Jakie to fajne, moje dziecko jest moim doradcą, najlepszym przyjacielem”, myślę sobie, że to nic dobrego. Dziecko nie powinno być doradcą, rodzice powinni swoje problemy rozwiązywać inaczej. Co nie znaczy, że powinni je ukrywać przed dziećmi, ale nie wolno obciążać ich odpowiedzialnością.

Piszesz, Justino, o współczuciu Seliny, a zapewne i własnym, dla imigrantów, którzy pędzą rowerami, rozwożąc zamówienia, i obsługują pół świata, piszesz o wrażliwości na najmniejsze stworzenia.

Justina: – Mam współczucie dla wszystkich słabszych istot. Współczuję osobom w jakiś sposób wykluczonym, dyskryminowanym czy niedocenianym. Może dlatego, że sama czułam się kiedyś gorsza od innych. Byłam dzieckiem trochę grubszym niż większość, miałam rodziców z Polski, byłam outsiderką w niemieckiej szkole. Zawsze byłam jedną z ostatnich osób, które np. wybierało się do swojej drużyny na WF. Dlatego współczuję ludziom, którzy mogą czuć się podobnie.

Brygida: – Moja córka, dziecko emigrantów, miała zawsze ogromne współczucie dla bezdomnych i wszystkich, których uważała za słabszych. W naszej powieści Selina wraca do śmietnika, żeby uwolnić zamkniętą w nim muchę, bo nie daje jej to spokoju.

W 11. klasie Selina leci na rok do Stanów Zjednoczonych. Trafia do mormońskiej rodziny. Czuje



się lepiej w innych miejscach niż w Niemczech.

Justina: – W tym kontekście mam taką radę, by wszystkie młode osoby, jeśli tylko mają taką możliwość, w pewnym momencie wyjechały pomieszkać w innym miejscu, szczególnie jeśli źle im tam, gdzie są. W innej kulturze, nawet w innym mieście, można się nauczyć czegoś, co wprowadzi nową jakość do naszego życia, zwłaszcza jeśli nie byliśmy zadowoleni z dotychczasowego. W nowym miejscu człowiek czuje się bardziej wolny, łatwiej mu zaistnieć jako inna osoba. Często bywa tak, że chcemy się zmienić, chcemy zachowywać się inaczej, być np. bardziej pewni siebie, ale jedna z rzeczy, które nam na to nie pozwalają, to fakt, że wszyscy wiedzą, jacy byliśmy wczoraj. I oczekują, że dzisiaj znowu będziemy tacy sami. Dlatego niełatwo się zmienić w starym otoczeniu.

Trudne relacje z rodzicami, ich nieprzygotowanie do tej roli nie są rzadkością, ale dzieci pamiętają dobre momenty. Jak w wierszu Justyny o mamie: „Jest ze mnie

zawsze, zawsze dumna, być może jako jedyna”.

Justina: – Dziecko zwykle chce mieć jednak pozytywny obraz rodziców. Kiedy dorosłe dziecko mówi rodzicom, że coś źle zrobili w przeszłości, popełnili jakiś błąd w wychowaniu, to najczęściej chce być tylko zrozumiane. Zazwyczaj nie

drugiej osoby, w moim przypadku w perspektywę córki, nawet jeśli w pierwszym odruchu czuję, że to, co mówi, nie bardzo mi się podoba. Przyjąć, że ona nie chce mi dokuczyć, oskarżyć mnie. Dać jej przestrzeń, pomyśleć, co ona w tej chwili czuje, czego potrzebuje, co chciałaby naprawić czy uleczyć. To

Trudne relacje z rodzicami, ich nieprzygotowanie do tej roli nie są rzadkością, ale dzieci pamiętają dobre momenty.

chodzi o robienie wyrzutów, że ktoś był niedobrym rodzicem, że zepsuł dziecku życie, nie chodzi o obwinianie, ale o to, by ten rodzic po prostu wysłuchał i spróbował zrozumieć. Często rodzice nie pozwalają dzieciom na wypowiedzenie tego, bo wtedy sami źle by siebie oceniali, czuliby się winni. A przecież nie o to chodzi! Rodzice nie powinni bać się przyznawać do błędów. To może im nawet pozwolić je naprawić.

Brygida: – Ważne, żeby spróbować wejść w perspektywę tej

oczywiście nie znaczy, że powinnam zapomnieć o sobie, własnych potrzebach i uczuciach... Proces pisanie książki pomagał w ćwiczeniu tej otwartej postawy po obu stronach. I mam nadzieję, że pomoże także czytelnikom.

Justina: – Nadal oczywiście klócimy się od czasu do czasu (śmiech), ale zwykle wychodzimy z tego dość szybko, chyba szybciej niż kiedyś.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl



W bieżącym numerze także:

- ▶ Rémy Carayol
Senegal na drodze do transformacji
- ▶ Hashim Bin Rashid
Kaszmir czeka na następny raz
- ▶ Vincent Ortiz
Ekwador wraca na drogę zależności
- ▶ Didier Ortolland
Amerykański kanał pod amerykańską kontrolą
- ▶ George Monbiot, Peter Hutchison
„Czynsz” i inne niejasności

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl



31. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Peter Bernstein Quartet

Gigant światowej sceny gitarowej, związany z Nowym Jorkiem, czerpie z muzycznej tradycji, a zarazem jest na wskroś nowoczesny. Odkryty został w latach 90. przez mistrza gitary Jima Halla, który ocenił: „Gra najlepiej ze wszystkich pod względem swingu, logiki, wyczucia i smaku”. Najnowszym nagraniem Petera Bernsteina dla wytwórni Smoke Sessions jest „Better Angels”, z udziałem pianisty Brada Mehldaua, basisty Vicente Archera i perkusisty Ala Fostera. W sobotę zaś Bernstein wystąpi z Dannym Grissettem (fortepian), Dougiem Weisssem (kontrabas) i Billem Stewartem (perkusja). (ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 12 lipca, godz. 19

KURTyna W GÓRĘ

Oczywiste oczywistości

Szczepan Twardoch z powodzeniem uprawia działalność publicystyczną. Jego felietony i komentarze zwracają uwagę nieoczywistością perspektywy, wrażliwością klasową i dystansem do typowych polskich potyczek. To, co świetnie działa w publicystyce, niekoniecznie jednak sprawdza się na scenie. Wyreżyserowany z Robertem Talarczykiem „Pokój” jest plakatywy i przewidywalny.

Akcja dzieje się w zgrzebnej przestrzeni bunkra, gdzie z inicjatywy wpływowej Dziennikarki (Dominika Bednarczyk) spotykają się delegacje dwóch zwaśnionych obozów, toczących na terytorium Polski wojnę domową. Jeden konserwatywny, w domyśle pisowski, drugi liberalny i wielkomiejski. Oglądamy niestety figury płaskie, zbudowane z dobrze znanych klisz. Jest wśród nich wściekła



dziewczyna z Warszawy (Karolina Kamińska), która zbyt szybko przechodzi od klótni z małomiasteczkowymi rodzicami do bezlitosnego rozstrzeliwania wrogów politycznych. O tym, jak kanapowy spór komentatorów politycznych zmienił się w krwawą rzeź, ze spektaklu raczej się nie dowiemy. Utrzymane w konwencji relacji reporterskiej monologi stanowią zestaw oczywistości. Najbardziej interesujący, choć podobnie jak motyw homoseksualnej relacji dziennikarki z przywódczynią konserwatystów Marią (Marta Konarska) zdecydowanie wart pogłębienia, jest wątek klasowej pogardy rozgrywany przez Piotra i Jana (Marcin Kalisz i Mateusz Janicki), dawnych licealnych przyjaciół.

Michał Centkowski

Szczepan Twardoch, „Pokój”, reżyseria Szczepan Twardoch, Robert Talarczyk, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, premiera 18 czerwca 2025

NA EKRANACH

Od idylli do koszmaru

Reżyser legendarnego dramatu „Train-spotting” powraca – tym razem z trzecią częścią kultowej serii naturalistycznych horrorów. Akcja dzieje się, jak wskazuje tytuł, 28 lat od pierwszej epidemii morderczego wirusa w Wielkiej Brytanii. Tym razem apokaliptyczny świat śledzimy oczami Spike’a (rewelacyjny Alfie Williams), który urodził się już w nowej rzeczywistości. Teraz pora, aby opuścić bezpieczne schronienie – utopijną wyspę, na której mieszka z rodzicami: trudnym ojcem (Aaron Taylor-Johnson) i ciężko chorą matką (Jodie Comer). Wyjście w głąb brytyjskich lasów wymusi na nim przyspieszone dojrzewanie, Spike zrobi wszystko, aby odnaleźć lekarstwo dla mamy, zaimponować tacie, a przy okazji dowieść całej społeczności, że jest gotowy stać się „prawdziwym mężczyzną”. Tym samym „28 lat później” to rozliczenie z oczekiwaniami dziecka wobec życia – w filmie chłopięca idylla prędko zamieni się w koszmar.

Jan Tracz

28 lat później, reż. Danny Boyle, prod. Wielka Brytania/USA, już w kinach

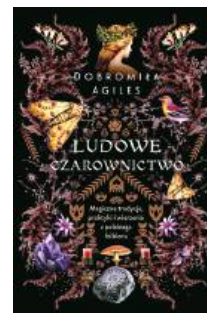


MIEDZY OKŁADKAMI

Dobromiła Agiles Ludowe czarownictwo Illuminatio, Białystok 2025

Budowanie domu symbolicznie powtarzało stwarzanie świata, było więc aktem magicznym, któremu towarzyszyły określone rytuały, np. pod fundamenty w czterech rogach kobiety kładły poświęcone wianki z bylicy. Starannie wybierano miejsce i budulec – wierzono chociażby, że zastawione w drewnie tzw. wilki przynoszą pecha – i trudno w tym momencie nie żałować, że z owych rytuałów pozostały odległe echa, w rodzaju zakazu witania się przez próg. O symbolicznym progu oraz innych miejsc granicznych, ale też stołu i lustra, przeczytamy w rozdziale „Przestrzeń”. W części „Chwila” – o najważniejszych momentach w życiu naszych przodków. W książce o magii nie sposób pominąć uczuć, pozytywnych i tych negatywnych, a więc klątw i uroków. Autorka, „praktykująca czarownica”, nie chciała stworzyć opracowania naukowego z dziedziny antropologii, powstał jednak ciekawy obraz ludowej obyczajowości, w której mieszały się dawne wierzenia z chrześcijaństwem. Pokazuje lęk przed głodem i chorobami, uwypukla także perspektywę feministyczną.

Aleksandra Pańko



Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Jak grać na durniu

Od przegranych wyborów przechodzimy przez różne stadia żałoby. Jest ból, szukamy winnych, jest gniew na doradców Trzaskowskiego, koalicję, naród, jest w końcu depresja. Zdumiewa, jak powszechna i głęboka jest ta żałoba. Nie podoba mi się rozdmuchiwanie niedokładności w liczeniu głosów, z sugestią, że wybory zostały sfalszowane. To nasi przeciwnicy mają cierpieć na myślenie spiskowe, tymczasem my budzimy je teraz w sobie. Zauważyłem, że wpadają w to najgłębiej ci moi znajomi, którzy są chorobliwie zazdrośni o żony.

Polak w kosmosie. Były tam już setki ludzi z wielu krajów. A w Polsce wielkie podniecenie z tego powodu. I obawy narodowej dumy. Jakoś nie potrafię się entuzjazmować. Sławosz Uznański-Wiśniewski sympatyczny, jego żona, o orientalnej urodzie i na dodatek posłanka KO, też sympatyczna. Ale w tym celebrowaniu wydarzenia zdaje się mieszkać kompleks niższości. Pamiętam, że gdy poleciał Hermaszewski, znalazłem artykuł pod tytułem „Czy Polska jest mocarstwem kosmicznym?”. Pytanie wydaje się znowu aktualne. A przecież mamy prawdziwy powód do dumy, ale jakoś tego nie celebруем – Polska stała się 20. gospodarką w świecie, od 1989 r. mamy największy w historii sukces cywilizacyjny. Po kosmarnych wiekach to są dla nas złote lata. A Polacy oczywiście marudzą – niby się poprawiło, ale wszystko knocimy, więc to dzięki pieniądzm Unii. Chociaż dali, to pewnie zaraz zabiorą, a przy okazji zabiorą nam tożsamość narodową. Tego się najbardziej boi ta Polska z tożsamością zeszmąconą lub szczątkową. Jej nie ma za bardzo czego zabierać.

Mój Franek zdawał egzamin ósmoklasisty, jeszcze nie wiadomo, jak mu poszło, jest optymistą, ale tak ma, a potem bywa różnie. Wymarzył sobie, że zrobi prawo jazdy na skuter i sobie go kupi. Jest chłopakiem wielu pasji, mnoży mu się w zawrotnym tempie. A jak coś sobie wymyśli, to sprawa zaczyna mieć wagę kosmiczną. Na początku zgodziłem się, po czym z żoną wpadliśmy w panikę. Polska to nie Włochy, tam kierowcy są przyzwyczajeni do skuterów, u nas to wielkie ryzyko. Więc blokada. Wpadł w rozpacz, a potem w gniew. Tak mi go było szkoda, że wpadłem w depresję na kilka dni. Ale tu przecież chodzi o jego życie. W chwili wielkiego gniewu nasz dobry synek obiecał, że w przyszłości za karę odda nas do domu opieki. Nie wiem, jak długo wytrwa w tym postanowieniu, mnie do tej groźby o wiele bliżej niż żonie.

Dwa dni w Elblągu, piękna pogoda i piękne stare-nowe miasto. Elbląg był zrównany z ziemią w czasie wojny, grunty uprzętnięto dopiero w latach 60. Zamierzano zbudować tam blokowisko. Na szczęście nie starczyło funduszy. Odbudowę realizowano według koncepcji Marii Lubockiej-Hoffmann. Charakter nowej architektury ma nawiązywać do przedwojennej. Celem odbudowy było nie tylko wypełnienie Starego Miasta budynkami, ale także przywrócenie atmosfery, ducha i nastroju. Dlatego nowe kamienice zbudowano na obrysie historycznych fundamentów. I tu było źródło sukcesu, skopiowano dawny schemat, z czasów, gdy jeszcze potrafiono budować miasta z duszą. Fasady nawiązują do starych budynków. Prace trwały kilkadziesiąt lat, są liczne mankamenty, ale całość jest rewelacyjna. Dawno nie czułem się tak dobrze w jakimś miejscu – nie doceniamy, jaki wpływ ma architektura na nasze samopoczucie. Fatalnie było u nas z budowaniem. Polska została okrutnie zeszpecona. Teraz jest o wiele lepiej, ale nadal nie umiemy tworzyć przyjaznej tkanki miasta. To udało się w Elblągu. Nie trzeba tak wiele, należy przywrócić dawne reguły gry w miasto.

Zdumiewa, jak powszechna i głęboka jest powyborcza żałoba.

Spotkanie autorskie w bibliotece, kolacja ze znajomymi, jak najmniej o polityce, a jednak wymieniamy się poczuciem politycznej katastrofy.

Ludne spotkanie u sąsiadki Krysi w rocznicę śmierci jej męża Jana. Bardzo go lubiliśmy. Z ich tarasu, przez gęste drzewa i krzewy, ułamkowy widok na nasz ogród i dom. Jakby popatrzeć na swoje życie z ukosa. Ludzie w moim wieku, polska inteligencja. Rozmowy też o politycznej katastrofie. „Podobno jest na spotkaniu jeden pisowiec”, ktoś mnie ostrzegał, tak się mówi o kimś, kto cierpi na rzadką chorobę, która może być zaraźliwa.

Na przystanku autobusowym baba, w strasznym stanie i bez jednego oka, zagaduje mnie: „Jak pan głosował, bo ja na Nawrockiego?”. Coś tam burknąłem. Ona na to: „Trzaskowski to Niemcy, a oni przecież zrównali Polskę z ziemią”. Myślę: zwycięstwo Nawrockiego to też zasługa polskiego durnia. Prezes mało na czym się zna, ale świetnie zna się na polskim durniu, czuje jego duszę i wie, jak na niej grać. Tu jest wybitnym artystą.



Mojżesz (kopia)



Michał Anioł niedoskonały

Dzieła mistrza stały się archetypami naszej kultury, bez których trudno sobie wyobrazić współczesny świat

Daniel Wójtowicz

Państwowe Muzeum Sztuki w Kopenhadze ma siedzibę niezwykłą. Wielka, XIX-wieczna (z 1896 r.) królewska galeria malarstwa w stylu włoskiego renesansu została w 1998 r. zdublowana przez równie duży, ale całkowicie nowoczesny, biały budynek schowany za jej plecami, stojący frontem do parkowych drzew. Obydwie części łączą się pasażem w wymowną całość, akcentując płynny związek pomiędzy tym, co było, i tym, co jest. Połączone budynki chronią największą w Danii kolekcję dzieł sztuki (260 tys.). Ten nowy powstał oczywiście z myślą, by prezentować w nim sztukę nowoczesną.

Aktualną, czasową wystawę rzeźb „Michelangelo Imperfect” ulokowano jednak nietypowo, bo na łącznej przestrzeni parteru całej budowli, w obydwu jej częściach. Kryje się w tym chyba jeden z głównych zamysłów ekspozycji – podkreślenie wyraźnego związku dzieł geniusza z XVI w. z kulturą współczesną.

Wystawa, mimo że dotyczy autora i dzieł tak bardzo znanych, jest europejskim, a może nawet światowym wydarzeniem. Pierwszy raz w historii w jednym miejscu prezentowane są podobno wszystkie rzeźby (40) wielkiego mistrza oraz kilkadziesiąt rysunków. Przewrotny tytuł „Michał Anioł niedoskonały” bierze się zapewne z pokory muzeum i jest swoistym usprawiedliwieniem – eksponowane tu dzieła są bowiem kopiami. W tym rzecz – większości rzeźb Michała Anioła nie sposób przemieścić lub ich transport jest niedopuszczalny. „To nieprawdopodobna wystawa: nigdy nikomu nie udało się zebrać wszystkich oryginalnych rzeźb Michała Anioła w jednym miejscu. Ale dzięki kolekcji historycznych

reprodukcji w gipsie i nowo wyprodukowanych faksymiliów najwyższej jakości, jaką dysponuje Statens Museum for Kunst, jesteśmy w stanie przedstawić być może niedoskonały, ale uderzająco kompletny, całościowy opis dorobku, który zmienił sztukę na zawsze i pozostaje niezwykle poruszający do dziś”, mówi kurator wystawy Matthias Wivel.

Duża część prac, nawet tych zamawianych i skompletowanych jeszcze u zarania muzeum, w końcu XIX w., pochodzi ze zbiorów własnych. Ale wiele innych, których kopiowanie dawniej nie było możliwe, zostało wykonanych współcześnie, przy zastosowaniu najnowszych technik cyfrowych 3D, co samo w sobie jest osiągnięciem. Oglądać możemy zatem rzeźby z kaplicy

Pierwszy raz w historii w jednym miejscu prezentowane są podobno wszystkie rzeźby wielkiego mistrza oraz kilkadziesiąt rysunków.

Medyceuszów we Florencji, w tym sześć postaci ludzkich symbolizujących życie, przemijanie i śmierć. Jest też słynna watykańska „Pieta” czy niezwykle złożona grecka kompozycja „Grupa Laokoona”, która – odkryta niegdyś na oczach mistrza i odrestaurowana przez jego ucznia – stała się wyjątkowo silną inspiracją dla całej twórczości genialnego twórcy.

Wystawa „Michelangelo Imperfect” to również bodziec do nowego spojrzenia na miejsce reprodukcji w całym rozumieniu sztuki i na możliwości jej prezentacji w dobie niebywanych zmian technologicznych, przy jednoczesnym ogromnym wzroście zainteresowania



Pasaż w SMK
pomiędzy częścią
starą a nową,
w głębi rzeźba
Dawida.

Grupa Laokoona
(kopia)

Chrystus
Zmartwychwstały
(kopia)



Podobne odczucia budzi większość prac Michała Anioła przypomnianych i prezentowanych w przestronnych pasażach SMK, przede wszystkim posąg Dawida, uznawany za najwspanialszą rzeźbę wszech czasów. Skumulowanie tych dzieł w jednej przestrzeni potęguje efekt – wyraziście ukazuje zamysł i wielką humanistyczną ideę artysty.

Patrzyłem na zgromadzone rzeźby z przejęciem, może nawet ze wzruszeniem, chociaż bez zaskoczenia. Dochodziło do mnie, że dzieła Michała Anioła są już tak bardzo znane, tak mocno wpisane w naszą kulturę, że stały się jej archetypami, bez których trudno sobie wyobrazić współczesny świat.

Niezmiennie żał, że tak niewiele z tak dumnego i wzniosłego myślenia o człowieku przełożyło się na współczesne życie, naznaczone tragedią setek milionów istnień wdeptanych w ziemię w dziesiątkach bezsensownych wojen czy poniżonych w przeróżnych niesprawiedliwościach dziejów.

I chociaż dzieła Michała Anioła pokazywane są w bogatej, bezpiecznej Danii, pełnej kwiatów i muzyki, wśród ludzi, którzy darzą się wzajemnym szacunkiem, to niestety wcale nie uspokajają swoim wielkim humanistycznym spojrzeniem na człowieka. Gdy w krąg słychać strzały i ludzki płacz, jakże daleko do myślenia o boskości czy świętości człowieka. Tytuł „Michał Anioł niedoskonały” wybrzmiewa dziś – choć może w niezamierzony sposób – i w tym znaczeniu.

Kto wie, czy nie dlatego właśnie to przypomnienie twórczych ideałów Michała Anioła, podstaw naszej kultury i humanistycznych fundamentów cywilizacji, okazuje się wyjątkowo na czasie.

Michelangelo Imperfect

Statens Museum for Kunst (SMK) – Państwowe Muzeum Sztuki w Kopenhadze
do 31 sierpnia



publiczności kontaktem z kulturą. „Reprodukcje zawsze były częścią sposobu, w jaki tworzymy i postrzegamy sztukę, ale w ostatnich czasach zostały nieco zaniedbane w kontekście muzealnym. Widzimy tu wielki potencjał”, twierdzi Matthias Wivel.

Faktycznie, prace wystawione w Kopenhadze dają silne poczucie kontaktu z oryginałami, i to, jak słyszę, nie tylko laikom. Wszyscy są pod wrażeniem ich piękna. Po raz pierwszy widziałem tak często w naszej kulturze odwozowaną postać Chrystusa Zmartwychwstałego, tutaj jako nagiego (w przeszłości postać miewała miejsca intymne przesłaniane czarną wstęgą), fantastycznie zbudowanego, mocnego, zwycięskiego mężczyzny, dumnie dzierżącego swój krzyż. Tę wspaniałą rzeźbę odebrałem nie tylko jako apoteozę Jezusa. Ukazała mi się ona jeszcze bardziej jako manifest boskości człowieka, jego nieopisanego piękna i godności.

ŁASZOWSKI — AGENT GESTAPO

**Do śmierci pozostawał
prominentnym działaczem
katolickim, a za kolaborację
nie spotkała go żadna kara**

Michał Wójcik

Bomba wybuchła jesienią 2021 r. Badając akta Stasi, Hanna Radziejowska, szefowa oddziału Instytutu Pileckiego w Berlinie, wpadła na trop „L7”. Ustaliła, że Łaszowski to tak naprawdę Alfred Łaszowski, przed wojną pisarz, krytyk literacki i działacz Obozu Narodowo-Radykalnego, a po 1945 r. pisarz i publicysta związany z Paxem. Co ciekawe, a nawet trochę perwersyjne, Łaszowski przyznał się już kiedyś do swoich związków i fascynacji Alfredem Spilkerem szefem Sonderkommando IV A. Uczynił to w powieści „Psy gończe”, którą podobno napisał w czasie wojny, ale wydał dopiero w PRL. Wtedy, ze względu na specyficzny język utworu, nikt nie powiązał fabuły z jego przeżyciami. Kiedy jednak sprawę opisała Radziejowska, wszystko stało się jasne.

Życiorys Łaszowskiego jest absolutnie fascynujący.

Nim został niemieckim konfidentem, a jeszcze wcześniej radykalnym narodowcem, był... komunistą. W Cieszynie, gdzie chodził do szkoły, wstąpił nawet do Komunistycznej Partii Polski. Pod wpływem swego nauczyciela Juliana Przybosia miał bardzo liberalne i lewicowe poglądy. A potem coś w nim pękło. Stał się nie tylko polskim faszystą, lecz radykalnym totalistą. Zafascynowany Hitlerem i NSDAP opowiedział się za sprowadzeniem nazistowskich wzorców nad Wisłę. Dziś, gdy czyta się jego przedwojenne teksty, włos jeży

się na głowie. Chciał siłowej rozprawy z Żydami, postulował walkę państwa z homoseksualizmem, domagał się palenia książek Boya-Zeleńskiego i Krzywickiej. Brał udział w marszach narodowców, a niewykluczone, że nawet w strzelaninach z bojówkami robotniczymi czy żydowskimi z okazji 1 Maja. Ponieważ po śmierci Piłsudskiego krew regularnie już lała się na ulicach Warszawy, oburzonymi burdami mówił w prawniczej prasie: „Tu nic nie pomogą wymyślania od pałkowców i bandytów. Tak samo nazywano bojowców, polskich terrorystów. Słyszę głosy sprzeciwu, oburzenie rośnie. Panowie, spokojnie, chwileczkę. Była okupacja rosyjska? Była. Jest okupacja semicka? Jest. (...) Metody walki będą identyczne”. I tego się trzymał. Wręcz nawoływał do użycia siły wobec przeciwników politycznych. Nie miało być żadnej taryfy ulgowej.

Po opublikowaniu w lwowskich „Sygnałach” tekstu „Mit wodza” napisał wprost: „Jeszcze jeden numer tej łajdaki szmaty ujrzy światło dzienne, pociąg popularny »bokser, bomba, brydż« wyjedzie z Dworca Głównego...”. I wyjechał. Następnego dnia redaktor naczelny pisma Karol Kuryluk został pobity na progu swojego mieszkania.

Aż do wybuchu wojny Łaszowski nakręcał się coraz bardziej. „Totalizm jest fanatyczny, zaciekły, nieprzejednany, zmierza do celu poprzez gwałt i przemoc”, pisał w „Prosto z Mostu”.



Alfred Łaszowski, jeden z głównych tajnych agentów najgroźniejszego funkcjonariusza Gestapo w Warszawie

Oczywiście za głównego wroga uważał Żydów. Opowiadał się za wprowadzeniem ustaw antyżydowskich, które regulowałyby ich status, aż do emigracji wszystkich bez wyjątku. A kto jest Żydem – takimi szczegółami radził się nie przejmować. „Mało nas obchodzi, czy Żydz są rasą czy nie. Wystarczy nam, że są Żydami. (...) Obóz narodowy w Polsce nie walczy z rasą semicką. Walczy po prostu z Żydami i koniec”.

A koniec był coraz bliżej. „Wyobrażają sobie [Żydzi – M.W.], że klęska Hitlera będzie automatyczną likwidacją antysemityzmu. Płonne i głupie nadzieje. Ta wojna was nie ocali”, pisał z nadzieją sześć miesięcy przed wybuchem konfliktu. Czyli jednak klęska Hitlera – zakładał.

I tu zaczyna się problem. Bo o klęskę Hitlera i nazistowskich Niemiec rzeczywiście był święcie przekonany. W 1943 r. wyznał znajomemu, który – tak się składało – był informatorem AK i napisał na jego

temat fascynujący wręcz meldunek, że w Niemczech i ich wodzu intrygują go wewnętrzna furia, biologiczno-mistyczna siła i dynamika ruchu narodowosocjalistycznego. Ale przede wszystkim pierwiastki destrukcji, dążenie do samozagłady. Uważał, że to fenomenalny temat na książkę. Zaczął ją nawet pisać, a potem podobno tłumaczył kolejne rozdziały i wysyłał Hitlerowi. W 1943 r. powieść otrzymała tytuł „Koła muszą się kręcić”, nawiązujący do sloganu zamieszczanego przez Niemców na lokomotywach. Hitler miał być w niej przedstawiony jako wódz fatalistyczny, zmierzający do katastrofy. W 1941 lub 1942 r., za sprawą dobrych znajomości w Gestapo, Łaszowski rzekomo dostał nawet zgodę, by zobaczyć Führera na własne oczy. Już raz go widział – przed wojną, na wiecu w Norymberdze. Teraz miał stać na dworcu w komitecie powitalnym, a Hitler wysiąść na chwilę, by rozprostować kości, po czym pojechać dalej na wschód. Łaszowski był też przekonany, że audycja u Führera w Berlinie to tylko kwestia czasu.

Opowiadał także, że spotyka się z byłą stenotypistką Hitlera z Wilczego Szańca – to od niej miał wyciągać szczegóły charakteru przywódcy III Rzeszy. Ale żeby jeszcze lepiej poznać niemieckiego ducha, lubił spędzać czas z członkami Wehrmachtu wracającymi z frontu wschodniego. (...)

Kiedy tak naprawdę został kolaborantem, agentem niemieckiej policji politycznej?

Być może już na początku okupacji. Gdy pewnego razu został zatrzymany w łapanie, Niemcy natychmiast go zwolnili. Oświadczył, że jest działaczem antyżydowskim oraz antykomunistycznym i że utrzymuje kontakty z rumuńską Żelazną Gwardią. Kłamał. Poza tym sama taka deklaracja to za mało. Musiał mieć legitymację Gestapo. Zresztą przed swoim znajomym, agentem AK, nie krył, że spotykał się z oficerami niemieckimi. Nie miał z tego powodu specjalnych rozterek. Jak twierdził, informował tylko o ogólnych nastrojach wśród Polaków, pomagał okupantom zrozumieć nasz „klimat duchowy”. O faktach i osobach miał nie mówić. W związku z tym celowo odciął się od

konspiracji. Co ciekawe, polski kontrwywiad chyba mu uwierzył. A przecież każdy, kto zna specyfikę służb, wie, że takie ustalenie zasad współpracy z okupantem, o jakim mówił Łaszowski, to bzdura. Rozmowy na temat klimatu to tylko z pogodynką. Alfred Spilker był ostrym graczem, ponadto miał przełożonych, przed którymi musiał się wykazać skutecznością. (...) Łaszowski był jedynie trybikiem w maszynie. To Spilker dyktował warunki. I jeśli chciał szczegółów oraz konkretnych informacji, Łaszowski musiał je dostarczyć.

I pewnie dostarczał – wiadomo, że donosił na komunistów. Oczywiście twierdził, że „ma jeszcze skrupuły, czy wydawać ich w ręce niemieckie”, i ostatecznie posiadaną listę komunistów spalił. Wymusnęło mu się jednak, że wie o nich sporo, bo kontaktował się z kimś z kontrwywiadu podziemia. I ten ktoś „częściowo” takich informacji mu udzielał. (...)

Nim został niemieckim konfidentem, a jeszcze wcześniej radykalnym narodowcem, był... komunistą.

W 1951 r., w artykule o powieści Thomasa Manna „Doktor Faustus”, pozwolił sobie na interpretację III Rzeszy. Jego zdaniem w latach 30. psychika germańska dała się uwieść diabłowi faszyzmu. W zamian za krótkie panowanie nad Europą, za krótkotrwałą ekstazę i stan totalnego tryumfu naród niemiecki zaprzedał się szatanowi. Odurzenie to było jednak początkiem końca.

O swoim odurzeniu Łaszowski nigdy się nie wypowiedział. Wiele jednak wskazuje na to, że i on dał się po faustowsku uwieść. Kolaborację z okupantem tłumaczył bowiem w kategoriach metafizyki. Hitler i III Rzesza byli dla niego, jako artyści, „stymulujący”. Mistyczni. Mieli siłę i potęgę nie z tego wymiaru. (...)

Nie wiemy, jak reagował na mordowanie Żydów, na to, co się działo w getcie. Podobno wystarał się o przepustkę i w czasie kwietniowego powstania 1943 r. pojechał oglądać dobijanie

narodu żydowskiego. Brzmi to wstrząsająco: polski narodowy dziennikarz akredytowany przy niemieckim sztabie policyjnym patrzy na ludzi wyciąganych z bunkrów czy skaczących jako płonące pochodnie z balkonów. My znamy te kadry ze słynnego raportu Stroopa. On widział to na własne oczy. (...) W swoim rasistowskim kredzie, jeszcze przed konfliktem, wyznał, że niechęć do Żydów nie ma nic wspólnego z metafizyką. To wynik prostego obliczenia statystycznego. Żydów jest w Polsce za dużo i trzeba się ich pozbyć.

A jednak trudno wierzyć w takie tłumaczenie. Łaszowski uważał się za nacjonalistycznego higienistę, apostoła czystej rasowo Polski. Antysemityzmem wręcz ewangelizował. Nawet gdy pisał o konwertytach czy neofitach, o tych Polakach, którzy wyszli z żydostwa i stali się chrześcijanami, pluł jadem. Ale co najciekawsze, wykładając swoje antysemickie racje,

używał języka zarezerwowanego dla religii. Kościół nie może być żydowską arką, pisał. Spychanie go do roli takiego azylu to bluźnierstwo.

I w tym miejscu musiał się rozumieć ze Spilkerem bez słów. Należał do tych Polaków, o których Jan Karski z trwogą pisał do rządu na uchodźstwie, że nie tylko kolaborują z Niemcami, ale że po wojnie są pozbycie się Żydów postawią Hitlerowi pomnik.

Gdy w 2021 r. wyszło na jaw, że Łaszowski był jednym z głównych tajnych agentów najgroźniejszego funkcjonariusza Gestapo w Warszawie, wybuchła środowiskowa sensacja. Przecież pisarz do śmierci pozostawał prominentnym działaczem katolickim, a za kolaborację nie spotkała go żadna kara. Naprawdę nikt w jego środowisku nie wiedział, co wyprawiał w czasie wojny?

Fragment książki Michała Wójcika *Miasto szpiegów. Gra wywiadów w okupowanej Warszawie*, Rebis, Poznań 2024





CO MOTYŁOM PISANE

**Biologa Marcina
Sielezniewa
i jego żonę Izabelę,
architektkę krajobrazu,
przed laty połączyła
pasja badania motyli**

Tomasz Kłosowski

Piaski. Rzadko się zdarza, by nazwa miejscowości tak trafnie i jednoznacznie opisywała jej naturalne otoczenie. Bo miejscowości o tej nazwie w Polsce nie brakuje, ale żadna chyba nie jest tak z piaskiem związana i nim otoczona, jak Piaski nad Narwią koło Tykocina.

Dziś większość tutejszych piaszczystych połaci i wydym zarosła już sośniną albo została nią zalesiona. Dłużej zachował się rozległy ugor nad skromną rzeczką Nereślą – doptywem Narwi. Krzewi się tu skromna roślinność, zwana murawą napiaskową, złożona z traw i krzewinek. Pędzle płowej trawy, szczotliczy siwej, kępki kostrzewy owczej, żółto kwitnące pięciorniki i różowo macierzanki oraz siwe naziemne porosty tworzą tu dziurawy, przeplatany gołym piaskiem dywan. To jest – jak mówią biolodzy – pierwsze stadium sukcesji roślinnej, czyli stopniowego przekształcania się istniejącej szaty roślinnej w inną. To naturalne przejście od piasku do lasu. Piaszczyste wydmy to robota Narwi, która niesie sporo mineralnej gleby. Nie tylko piasku. Ale to z niego rzeka

usypuje wzniesienia wzdłuż brzegów, a także wyniosłe wysepki w samej pradolinie. (...)

Oto obrazek, który mam ciągle przed oczami, choć minęło już kilkanaście lat. Na ugorzysku pod Piaskami zakwitają macierzanki i cała plejada innych niepozornych roślin, a wśród nich krąży para młodych ludzi. Dziewczyna jedną ręką trzyma zawiniątko z niemowlęciem, a w drugiej siatkę na motyle. Jej mąż ma taką samą siatkę i oboje co jakiś czas żwawo nimi wymachują, próbując chwycić motyle. Omijają przy tym pospolite bielinki, cytrynki, rusałki: kratkowce, pawiki, a nawet efektowne admirały, polują jednak na zdobycz drobną, ale rzadką i cenną dla badacza ze względu na niepospolitą formułę życia.

Ci wędrowcy z siatkami to Marcin Sielezniew i jego żona Izabela, których przed laty połączyła pasja badania i podziwiania motyli. Nawet dla córeczki wybrali imię, które jest łacińską nazwą pewnego motyla: Aurelia. I założyli Towarzystwo Ochrony Motyli. Marcin to biolog pracujący na Uniwersytecie w Białymstoku, a Iza z zawodu jest architektką krajobrazu, ma jednak pokątny dorobek w rysowaniu motyli. (...)

Ja i mój brat wybraliśmy się z nimi na wyprawę pomiędzy łąkowce. Latająca istota, której wypatrywali, to mały błękitny motylek. W środku lata samice tego gatunku składają jaja. Marcin wręczył jednemu z nas siatkę na długim trzonku, uśmiechając się przy tym pod nosem. Ten, który został zaszczycony dopuszczeniem do roli badacza, machał siatką, aż wreszcie coś tam w niej zaczęło trzepotać. Ale w pułapkę wpadły tylko ze dwa cytrynki, jakieś chrząszcze, w tym pospolite biedronki z siedmioma kropkami. Obaj z bratem próbowaliśmy szczęścia na zmianę – wytrwale, lecz z równie nikłym efektem.

Cóż, modraszki, choć kolorowe, są drobne, a gdy siadają na roślinie, składają skrzydła jak książkę i stają się mało widoczne. Jedynie doświadczony i uparty obserwator może je wyłowić wzrokiem spośród schnących już, płowych traw.

Swoje kolory, ozdabiające tylko wierzchnią, a więc górną stronę skrzydeł, modraszki pokazują przede wszystkim w locie. To żywe barwy, będące zwykle domeną samców. Prawdziwymi modraszkami z nazwy są: arion, alkon i ikar, choć ich samiczki są brunatne. Ale do rodziny

modraszkowatych należą też zieleńczyk ostrężyniec, pokryty z wierzchu intensywną, wręcz nienaturalną zielenią, czy – jakby wbrew logice podpowiadanej przez nazwę rodziny – czerwонецzyk dukacik, jak i inne czerwонецzyki, choćby płomieniec czy fioletek. (...) Modraszki to w większości gatunki rzadkie, niektóre wręcz zagrożone wyginięciem, więc na liście Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN) figurują jako owady szczególnej troski obok dwóch innych unikatowych grup – amerykańskich monarchów i „ptakoskrzydłych” paziów z Papui Nowej Gwinei.

Marcin z Izą zajmowali się właśnie szczególnie rzadkim i cennym modraszkim arionem. Między dobre trzy godziny naszego spotkania, nim na twarzy Marcina, przeważnie zresztą uśmiechniętej, pojawił się uśmiech szerszy i bardziej promienny. Jest! Badacz umiejętnie wydobył z siatki małego, z wierzchu błękitnego motylka, znaczonego czarnymi plamkami. Łowca zapewnił, że i tak mamy szczęście. Zdarzają się nawet wielogodzinne łowy, podczas których nie napotykają ani jednego beczennego motyla. Schwytany okaz niewiele miał na swych skrzydłach błękitu. Była to bowiem samiczka, z natury mniej barwna od samca. Marcin wyjaśnił, że rozpoznał ją, zanim wylądowała w siatce, po charakterystycznym locie – badacze motyli, czyli lepidopterolodzy, mają taką umiejętność „w oczach”. Co więcej, na podstawie lotu ocenił, że szykuje się ona właśnie do złożenia jajeczek. Tym szybciej nasz badacz oddał tej drobnej istocie wolność.

(...) Modraszkowa dama do złożenia jaj potrzebuje koniecznie macierzanki, i to kwiatów będących dopiero w pąkach. Pożywienia szuka zaś w kwiatkach już rozwiniętych. To znaczy, że może spełniać swoje zadania tylko wtedy, gdy ma do dyspozycji kwiaty w różnych fazach rozkwitu. (...) Marcin przyznał, że pierwszej gąsienicy modraszka ariona, jaką znalazł w życiu, szukał przez trzy dni, spędzając po 10 godzin z nosem przy piaszczystej ziemi. „Ale jak ją znalazłem, czułem się, jakby w moje ręce trafił samorodek złota”, wspominał.

Właśnie oboje wyruszyli szukać kolejnej gąsienicy. Siatki wylądowały w bagażniku samochodu. Zaczęła się najbardziej przyziemna, a nawet podziemna część tej przygody. Badacze nawet nie spojrzeli na latające motyle – patrzyli uparcie w ziemię i co rusz padali na kolana, by się czemuś przypatrywać. Nie motyli wtedy szukali, ale mrówek. (...) Szukali miejsc pobytu trzech gatunków – nietłatwych do znalezienia, bo rzadkich. Chociaż wokół mrówcze jamki obficie dziurawiły ziemię, to gniazda tych poszukiwanych trafiały się raz na kilkadziesiąt metrów kwadratowych. I do tego były starannie zamaskowane. (...) Tych właśnie gatunków mrówek, o łacińskich nazwach znanych tylko fachowcom, potrzebują gąsienice modraszka ariona, by móc się rozwijać do postaci dorosłego motyla. Natura nakazuje im współpracę z tymi owadami, i to taką, która bardziej niż zgodne współdziałanie przypomina wyzysk, pasożytnictwo, a nieraz rozbój.

Z mrówkami współistnieją też inne modraszki – każda odmiana motyla ma własny gatunek mrówki i wypracowany w toku ewolucyjnego istnienia mniej lub bardziej przyjazny sposób koegzystencji. Marcin dokładnie zaobserwował, jak to wszystko przebiega u modraszki ariona. Gąsienica taka nie musi się nawet starać o względy mrówek, z którymi pozostaje w symbiozie. Spokojnie żeruje na kwiatostanach, pałaszując nasiona, by po dwóch–trzech tygodniach spaść na ziemię, gdzie mrówcze robotnice odnajdują ją i taszczą do podziemnego gniazda. Mogłoby się wydawać, że na pożarcie – ale nic z tych rzeczy. Gąsienica, zamiast, jak to jest u wielu gatunków zwierząt, przejawiać jakieś cechy ułatwiające obronę, ma organizm skonstruowany przez przyrodę tak, by ułatwić mrówkom jego transport. Przepompuje on krew larwy, czyli hemolimfę, z jednego końca walcowatego ciała w drugi, przez co zmienia ono kształt w sposób ułatwiający mrówkom kurs z takim pasażerem. Mrówki aktywnie jej szukają i traktują jako najwyższe dobro, jako że wydziela ona pewien wprost uwielbiany przez nie eliksir. To on pozwala mrówkom odnaleźć gąsienicę i zniewala na tyle,

że chcą ją taskać niczym swego rodzaju beczkę miodu.

Gdy gąsienica znajdzie się już w mrówczych korytarzach, zalegnie tam spokojnie na długie miesiące, a nieraz i na ponad rok. I oto ta dotąd słodka istota staje się drapieżnym pasożytem mrówczego gniazda. Przedtem racząc się nasionami, teraz przechodzi na pokarm zwierzęcy – zaczyna pożerać larwy mrówek, bytując i rosnąc na koszt tych pracowitych podziemnych owadów, aż przerodzi się w poczwarkę, a ta w dorosłego motyla, który będzie żył zaledwie kilka dni, by polatać, zapłodnić lub zostać zapłodnionym – i zginąć.

Odpowiedzialność za resztę rozwoju motyla spada zaś na mrówki. Symbioza z mrówkami wygląda rozmaicie u poszczególnych gatunków modraszków. Gąsienice niektórych nie mają wabiących substancji, ale za to w ich ciałach kryją się środki chemiczne blokujące naturalną agresję mrówek robotnic, skłonnych wszystko, co się nadaje do zjedzenia, zawlec do podziemnej spiżarni. Ciągną więc tam taką gąsienicę, ale nie robią jej krzywdy, a nawet ją karmią. A ona i tak podbiera zdobycz przyniesioną przez nie do gniazda jako zapas pokarmowy.

Im ściślejszy związek jakiegoś gatunku modraszki z określonym gatunkiem mrówki, tym subtelniejsze, bardziej wyrafinowane formy przybiera ta zależność. Przyjrzyjmy się choćby modraszkowi alkonowi, bliskiemu krewniakowi ariona, na pierwszy rzut niewprawnego oka bardzo podobnemu do tamtego. Iza zainteresowała się nim szczególnie, nawet stał się przedmiotem jej rozprawy doktorskiej pisanej na Uniwersytecie w Białymstoku. Alkon nie potrzebuje akurat piasku, ale przecież dolina Narwi nie tylko piaskami stoi. Jego domostwem są wspomniane pagórki w pradolinie rzeki, tzw. grądziaki, nieraz podczas wiosennych zalewów otoczone wodą, a później kwietnymi łąkami. Okazuje się jednak, że nie wszystkie z nich odpowiadają motylowi. Rośliną żywicielską dla jego gąsienic jest niebieska goryczka wąskolistna, rosnąca tylko tu i ówdzie, co ogranicza przestrzeń życiową alkona. Nasi badacze znali zaledwie kilka takich miejsc. ►

- Okazało się, że styl życia alkona jest jeszcze bardziej wyrafinowany niż opisanego wyżej ariona.

Gąsienica modraszka alkona nie oferuje, jak gąsienica ariona, stodyczy, za to wabi zapachem, i to takim, jaki wydziela mrówka, która gdzieś się zagubiła i wzywa towarzyszkę na pomoc chemicznym sygnałem. Robotnice biorą więc tego pasożyta za pobratymca pragnącego wrócić do domu i ciągną go do gniazda, gdzie stanie się szkodliwym sublokator. Tam zaczyna on odzywać się głosem mrówczej królowej, a tę, jak wiadomo, mrówki hołubią i żywią. Tak karmiony dywersant nie potrzebuje nawet zjadać mrówkom ich zapasów czy larw. Zamienia się w poczwarkę, a potem z mrówczej norki wyfruwa w świat dorosły motyl. Iza zauważyła, że o ile gąsienicę ariona uznajemy za „konja trojańskiego”, o tyle gąsienica alkona jest czymś w rodzaju kukułki żyjącej na koszt niepodręczających niczego opiekunów. Przyroda jednak nierychliwa...

Nasi badacze wytropili miejsce, gdzie ich motyl spotyka się ze swoim ciemiężcą, stosującym wobec jego gąsienicy jeszcze bardziej wyszukane metody niż ona wobec mrówek. Automatyzm ewolucji osiągnął tu doprawdy wyżyny wyrafinowania! Ten pasożyt modraszka alkona to

pewien owad z grupy błonkówek, nieco podobny do osy, który jemu tylko wiadomym sposobem – wciąż tajemniczym dla naszych badaczy – odnajduje norki mrówek z ukrytą gąsienicą oszustem i składa w jej ciele swoje jaja.

Jak mrówki mogą pozwolić na tak okrutne potraktowanie swojej oblubienicy karmionej niczym królową? Ano tak, że owad pasożyt wydziela chemiczny sygnał, który u mrówek wywołuje wzajemną dziką agresję. Napadając się więc nawzajem, przestają skupiać uwagę na swej niyb-królowej, a najeżdżca bez przeszkód szprycuje ją swoimi jajami, z których wylęgają się larwy niszczące od środka gąsienicę albo powstałą z niej poczwarkę. „My wydobyte z gniazda mrówek poczwarki oglądamy pod światło i jak w jej ciele połyskują banieczki, wiemy, że z niej już nie wyleci dorosła postać motyla”, wyjaśnił nam Marcin. (...)

Nasi badacze zastanawiali się, jakim sposobem pasożytnicza błonkówka odnajduje norkę z potencjalną ofiarą, a tymczasem mnie, profana, bardziej zastanawiało, jakim cudem oni potrafią ją odnaleźć i tropić inne, nieraz podziemne sprawki larw motyli oraz ich pasożytów. Opowiedzieli mi wtedy, że gąsienicę pewnego nocnego motyla, czyli ćmy, wypatrzyli

z samochodu. Dzięki temu wykryli małą grupę tych rzadkich owadów na utorze pod Piaskami. (...)

Pisanie na motylach, a potem odczytywanie z ich skrzydeł pomaga się dowiedzieć, co temu schwytanemu, ale i w ogóle motylom pisane. Mając oznakowanego motyla, można się więc zorientować, jak długo żyje dorosła postać owada. Jeżeli zostanie schwytany po ośmiu dniach od chwili oznakowania, to znaczy, że na pewno może żyć dłużej niż tydzień. Można też badać, jak daleko latają te owady, ku jakim kwiatom się kierują, czy przenoszą się z jednego miejsca pobytu w inne – powiedzmy, z jednego grądzika na drugi. Marcin zdradził, że nawet 60% oznakowanych osobników takiego choćby niepyłaka mнемозyny można złapać ponownie. (...)

Od pewnego czasu przedmiotem szczególnej troski Izy i Marcina są zmiany w środowiskach bytowania motyli. Nad Narwią też je widać. Intensywne nawożenie sprawia, że rośnie mniej kwiatów, a łąki są coraz częściej zmieniane w pola kukurydzy. Na utorze pod Piaskami były kiedyś ubogie pastwiska – wioskowe wygony – co chroniło je przed zarastaniem pionierskimi krzewami i inwazją lasu. Dziś nikt tam już bydła, koni czy owiec nie wygania, pastwiska są więc niepotrzebne, lecz mimo to pozostają w rękach no właśnie, czyich? Taka wspólnota wiejska to najtwardszy orzech do zgryzienia dla obrońców przyrody, którzy chcieliby ten nieużytkowany rolniczo teren wykupić pod rezerwat czy innego typu teren chroniący rzadkie gatunki. (...) Marcin Sielezniew zaznaczył, że dla ochrony modraszków liczą się nawet piaszczyste pobocza leśnych duktów czy niewielkie słoneczne polanki wśród borów. Ale dobrodziejstwem dla tych drobnych przedstawicieli fauny byłoby też przywrócenie tu i ówdzie wypasu czy usuwanie z piaszczystych połaci młodych samosiejek sosny. (...)



Fragmenty książki
Tomasza Kłosowskiego
*Narew. Opowieści
o niepokornej rzece,*
Państwowy Instytut
Wydawniczy, Suwałki 2025

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zmiana na stanowisku prezesa Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego, czyli de facto Krytyki Politycznej – zastąpienie Sławomira Sierakowskiego, prezesa KP od zawsze, przez Agnieszkę Wiśniewską – nie wzbudza raczej egzaltacji, nie wywołuje poruszenia. Krytyka jest okrzepłą instytucją, z przeszło 25-letnim dorobkiem; mimo pierwotnych nadziei, że odegra również aktywną rolę w realnej polityce, wycofała się i okopała na pozycjach think tanku, wydawnictwa, szerokiej inspiracji i edukacji – i tu jej znaczenie jest ogromne, a w powrocie języka lewicowej krytyki, tożsamości czy agendy debat publicznych – zasadnicze i niepodważalne.

spacery do lasu. Czułabym się bezpieczniej, gdybyśmy mieli tu na miejscu wojsko, chociaż widzę więcej straży granicznej w ostatnim czasie. Raz widziałam grupę. Siedzieli na przystanku, inni podobno mieszkali w pobliskim pustostanie. Nigdy mnie nie zaczepili, ale człowiek i tak się boi”.

Oglądamy tu modelowy przykład tego, jak prawicowa (powszechna?) irracjonalna nagonka na „imigrantów” odcina ludziom możliwość zwykłej oceny sytuacji. Strach ma wielkie oczy. Ludzie boją się też pajaków, myszy, ciemności. Dlaczego lewica nie robi nic z lękiem przed ciemnością??? Szczególnie że tak lubi oświecanie. Mamy taki wzór zachowań

A dinozaury siedziały na przystankach i patrzyły

Symbolicznym domknięciem „rządów dusz” Sierakowskiego był zbiegający się w czasie z przekazaniem władzy w stowarzyszeniu wywiad dla „Gazety Wyborczej”. Daleko od szeroko pojmowanej lewicowości Sierakowski wygłasza w nim antypacyfistyczne tyrady, przy okazji wracając do historii swojej zbiórki na zakup tureckiego wojskowego drona. Prawicowy pacyfizm po prostu nie istnieje, to oksymoron. Kiedy Sierakowski wygłasza pochwałę przemocy w obronie ludności cywilnej przed ludobójstwem, to ani mu nie przemknęło przez myśl, żeby rzucić słowo w ocenie dziejącego się na naszych oczach ludobójstwa w Gazie.

W tym nie tylko proceduralnym momencie przypominałem sobie obserwowany od lat zadziwiający żywot pewnego systemu komentowania politycznej lewicowości, obecny zarówno w mediach tradycyjnych (wciąż jeszcze istniejących), jak i tych nowych, cyfrowych. Otóż natykam się nieustannie na zamieszczane z systematycznością godną lepszej sprawy porady, czym winna być lewicowość i dlaczego w polskiej realnej polityce tak słabo idzie lewicy, tej spod znaku Nowej Lewicy i tej razemkowej; innej, naprawdę radykalnej, po prostu tu nie ma.

Ostatnio przeczytałem komentarz, skądinąd sensownego bardzo komentatora politycznego, który podzielił się takim oto wywodem: „Jednym z powodów ciągłych porażek lewicy jest to, że ta nie potrafi przyjąć do wiadomości ludzkich strachów, które nie wpisują się w katalog strachów zatwierdzonych i bliskich lewicy. Strach przed bezrobociem, przemocą domową, gwałtem, mobbingiem – owszem. Ale strach przed obcym – no co to, to nie. To nie jest prawdziwy strach, to strach wręcz niepoprawny. Prawica nie ma takiego problemu, gra każdym strachem i tylko strachem”. Analizę uzupełniał obrazek znad granicy, należący do jakiegoś innego tekstu: „Są tu dwa przejścia graniczne: pieszo-rowerowe i samochodowe. – Szczerze? Boimy się, przestałam z mężem chodzić na

społecznych: ignorancja + strach = nienawiść, która przeobraża się w przemoc – wiemy, że tak to działa. Ale w ocenie komentatora należy zaakceptować ów „strach”. Siedzą na przystanku, patrzą, są.

Ukazał się właśnie raport „Wiedza i postawy obywateli europejskich wobec nauki i technologii” (europa.eu/eurobarometer/surveys/detail/3227?fbclid=IwY2xjawLTIXpleHRuA2FlbQlxMABicmlkETF4WFR3ellSUDB1WE5Jc1lxAR6-F4wCghiglaCygg9m_N4gRqBJbU-22XDHVxkY7LoWqdVqp0jZqZhpAv8bWQ_aem_ryhyWXnBX_4RdfNjrShFug). Wynika z niego, że „prawie 40% Polaków nie przyjmuje do wiadomości dowodów świadczących o tym, że ewolucja człowieka jest faktem; 32% uważa, że ludzie żyli z dinozaurami; 52% nie wierzy w antropogeniczne zmiany klimatu”. Zajmujemy wyjątkowo pierwsze miejsce (ponad 50% Polaków), jeśli chodzi o przekonanie, że „lasery działają poprzez skupianie fal dźwiękowych” – to wzrost o 8 pkt proc. wobec poprzedniego badania. 50% Polaków uważa, że „wirusy są produkowane w laboratoriach rządowych, aby kontrolować naszą wolność”; 51% twierdzi, że antybiotyki zabijają tak samo wirusy i bakterie; 45% uważa, że lek na raka istnieje, ale wiadomość ta jest ukrywana przez lobby farmaceutyczne. Zajmujemy drugie miejsce (54%), jeśli chodzi o przekonanie, że nauka jest nam niepotrzebna w życiu codziennym albo nie ma na niego wpływu. W porównaniu z raportem z 2021 r. odnotowany został wzrost w niemal wszystkich kategoriach odnoszących się do negowania faktów naukowych.

Ileż przyjdzie nam zaakceptować, żeby przegrać kolejne wybory... To jest Polska. Kapitalistyczna, zbrojąca się, antyimigrancka, antyintelektualna. Jak jej nie kochać? Jak nie chcieć za nią umierać (Sierakowski: „Mam problem z ludźmi, którzy nie chcą umierać za ojczyznę”). Może po prostu trzeba umierać, bez większego, dodatkowego powodu, istniejące wystarczą. ■



ZAGADKI GLEBY

Dariusz Dziektarz

Idąc przez las, podziwiamy majestatyczne drzewa, snującą się między nimi mgłę, rozproszone przez liście, nieśmiałe światło, śpiew ptaków, szum koron, dudniący galop stada jeleni... zupełnie zapominamy zaś o glebie, po której stąpamy! A to ona decyduje o wszystkim, na co w tym lesie patrzymy i czego słuchamy. To właśnie tam rodzi się i rozkwita wszelkie leśne życie, które zresztą nigdy do końca nie umiera, a za pośrednictwem ziemi tylko nieustannie zmienia formy. Może więc warto i nad nią zadumać się przez chwilę na spacerze?

Ciało tęgie, suche i bez smaku

Czym właściwie jest gleba? Można oczywiście szybko sięgnąć po jakąś encyklopedyczną definicję o trójfazowej warstwie skorupy ziemskiej, ale nawet w przybliżeniu nie odda ona skomplikowanej natury i znaczenia tego przedziwnego tworzywa. Jak chyba nad wszystkim, z czego ten świat się składa, tak i nad nią zastanawiał się mój ulubiony polski przyrodnik Jan

CZYLI O TYM, GDZIE WSZYSTKO SIĘ KOŃCZY I ZACZYNA

Krzysztof Kluk i w 1797 r. opisał ją tak:

„Przez ziemię w tym szczególnym rozumieniu, jak tu biorę, rozumieją Mineralogistowie tęgie, suche i bez smaku ciało, którego części słabo się ze sobą łączą, tak iż w palcach rozstarte, albo przynajmniej nożem skrobane bydlę mogą; które samo w żadnej płynnej rzeczy się zupełnie nie rozpuszcza, ale tylko rozpuszcza swe szątki; które się samo przez się w ogniu nie pali, nie topi; rozbierzmy to. Nic pewniejszego, iako że żadne ciało pod zmysły podpadające nie jest bez ziemi, i że ziemia jest fundamentem wszystkich ciał, oraz przyczyną ich suchości, tęgości, gęstości, ciężkości i w ogniu trwałości”.

Ziemia Kluka nie jest do końca tym, co nazwalibyśmy dziś glebą. Choćby dlatego że torfy, czyli

organiczne podłoża setkami lat budowane przez martwe szczątki roślin, jak najbardziej się palą. Przez długi zresztą czas także i w Polsce funkcjonowały kopalnie torfu, w których po prostu wycinano kostki takiej gleby, suszono i wykorzystywano następnie jako opał. Na naszych torfowiskach do dziś zdarzają się również bardzo niebezpieczne podziemne pożary, których właściwie nie daje się ugasić. Walczący z nimi strażacy całymi tygodniami czekają na ich samoistne wypalenie, stale jednak pilnując, by ogień z takiej gorejącej dziury się nie wydostał i nie rozniósł po powierzchni.

W XVIII w. nieco inaczej patrzono na świat i klasyfikowano go często przez wzgląd na właściwości użytkowe opisywanej rzeczy, stąd taki, a nie inny podział u Kluka. Sam zresztą wspomina dalej o palącym się torfie, ale zaznacza przy tym, że to nie płonie ziemia, lecz zawarta w niej „tłustość”, ewidentnie oddziela więc część mineralną i organiczną gleby.

Mimo wszystko bardzo zgrabnie udało mu się uchwycić jej znaczenie, bo w istocie jest ona „fundamentem wszystkich ciał”. Choć na pierwszy rzut oka wydaje się ciałem

stałym, mieszaniną resztek roślinnych i drobnych cząstek zwierzęcej, głębiej zalegającej skały macierzystej, to w rzeczywistości równie ważny jest jej wodny i powietrzny komponent. Stąd mowa o wspomnianej wcześniej „trójfazowości”. Do tego dochodzi jednak jeszcze jeden tajemniczy składnik.

Golem

Jest coś, co niczym poruszane-go magią, fantastycznego golema dosłownie wprawia glebę w ruch. Nakazuje jej się mieszać, wzbogacać i zmieniać. Życie. Każda szczypta ziemi jest nim przesiąknięta.

W szerokiej na centymetr kosteczce gleby może się kryć nawet 5 mld bakterii i niemal 6 metrów spajających ją strzępek grzybni. Na każdym metrze kwadratowym ziemi żyją nieraz setki tysięcy małych skoczogonków, a podłoże ryją dziesiątki dżdżownic. Może się nam wydawać, że życie toczy się na powierzchni, ale w rzeczywistości jest inaczej. Na każdym hektarze pola, łąki czy lasu w glebie znajdziemy nawet kilkanaście ton organizmów. Niektóre, jak dżdżownice, drążą napowietrzające ziemię korytarze, do których niekiedy wciągają opadłe na ściółkę liście. Zdarza się, że widać, jak takie niewielkie żagle wystają z zielonego morza przyszytych w ogródku traw. To swego rodzaju spiżarnia i jednocześnie sposób na przygotowanie posiłku – liść w wilgotnej glebie rozkłada się szybciej, co czyni go zjadliwszym dla żyjących tam zwierząt.

Skoczogonki, małe, przypominające owady stawonogi, większość z nas najpewniej kojarzy. Bywa, że pojawiają się w doniczkach roślin w naszych domach, ale najłatwiej spotkać je na wilgotnej, leśnej ściółce. Uciekające przed butami, skaczące przecineczki stają się wtedy lepiej widoczne. Gdy robi się sucho, szybko kierują się jednak w głąb profilu glebowego, a gdy wyczują poprawę warunków – wracają. Ich podróże sprawiają, że ziemia staje się luźniejsza, bardziej przepuszczalna dla wody i powietrza. Podobną rolę odgrywają wazonowce, te przypominające małe dżdżownice bezkręgowce dbają bowiem o odpowiednie

stosunki hydrologiczne w podłożu. W eksperymentach z cylindrami, w których umieszczono mieszaninę gleby i ściółki, okazało się, że te zasiedlone dodatkowo przez wazonowce dużo efektywniej przesiąkały wodą. Jeszcze silniejszy efekt obserwujemy w sąsiedztwie mrowisk, wokół których powstają całe odrębne mikrosiedliska. Wszystkie te żyjątka kształtują więc strukturę gleby, ale jednocześnie to gleba stanowi niezbędny dla nich osłonę. (...)

Tak jak i my mamy swój jelitowy mikrobiom umożliwiający właściwe trawienie i przyswajanie pokarmu, tak i gleby zasiedlone są przez pełniące podobne funkcje kompleksy bakterii. Część z nich, zwanych azotowymi, czy to w symbiozie z niektórymi roślinami, czy żyjąc wolno w glebie, wiąże w ziemi azot atmosferyczny, dzięki czemu podczas wzrostu mogą go później wykorzystać drzewa. Nie bez powodu niekiedy gleby półnaturalnie nawozi

skoczogonków żerują z kolei na określonych gatunkach grzybów, dokonując tym samym również pewnej selekcji na dnie lasu, prowadzącej np. do dominacji grzybówek mleczajowych nad tysostopkami szpilkowymi. O krajobrazie lasu decyduje więc nie tylko materia gleby, ziemia, o której pisał Kluk, ale i tkwiący w tym golemie organiczny żywioł!

Oddech ziemi

(...) Ciągła współpraca drobnych bezkręgowców, bakterii i grzybów glebowych prowadzi do powstania tego, czego zarówno my, chcąc uprawiać ogródek czy rolę, jak i rośliny poszukujemy najbardziej – bogatej w związki odżywcze próchnicy. Ta charakterystyczna, ciemna warstwa ziemi, to w rzeczywistości głównie... odchody pożywiających się ściółką, niewielkich zwierząt, rozkładane przez mikroorganizmy, a następnie w procesie humifikacji zamieniane przez nie w bogaty zestaw kwasów

W szerokiej na centymetr kosteczce gleby może się kryć nawet 5 mld bakterii i niemal 6 metrów spajających ją strzępek grzybni.

się, sadząc na nich łubin czy inne rośliny bobowate, a rekultywowane wyrobiska bywają obsadzone olszami. Zarówno bowiem bobowate, jak i olsze współżyją z bakteriami i tym samym wzbogacają glebę o ten niezbędny do wzrostu pierwiastek.

Co ciekawe, glebowy mikrobiom wyraźnie „uruchamia się” w obecności żyjących tam zwierząt. Spotkałem się nawet z określeniem, że jest jak... Śpiąca Królowa, którą trzeba dopiero obudzić. Wykazuje przy tym pewne nie do końca zrozumiałe właściwości, wspomagając np. inwazję gatunków obcych! Przebadało to na klonach, z których jeden, jesionolistny, powszechnie panoszy się w Europie, a drugi, zwyczajny, w Stanach Zjednoczonych. W obu przypadkach drzewa te rosły lepiej na obcej niż na rodzimej glebie, co związane było z obecnością mikrobioty charakterystycznej dla danego obszaru. Niektóre gatunki

humusowych. To one nadają glebie barwę, a częściowo także i smak czy zapach, sama ziemia zaś dosłownie oddycha, tak jak i my. Procesy te wymagają bowiem pobierania przy wdechu tlenu, skutkują zaś wydychanym dwutlenkiem węgla.

Kojący aromat deszczu, zapach, który wpuszczamy po ulewie przez otwarte okno i którym upajamy się podczas spaceru po lesie, również powstaje w glebie. Często mówi się, że odpowiada za niego geosmina, związek chemiczny wydzielany przez żyjące w ziemi bakterie (np. *Streptomyces sp.*), ale w rzeczywistości jest to zwana petrichorem mieszanina tych wszystkich naturalnych, uwieczonych pod nami aromatów – niezliczonych roślinnych olejków eterycznych, wydzielanych korzeni i produktów przemiany materii. Uwalniają je uderzające w glebę krople deszczu, sprawiając tym samym, że nasz ziemisty golem

► nie tylko się porusza i oddycha, ale i pachnie!

Sprzęg

Gleba jest ciekawym tworem. Zaczyna powstawać, gdy skała macierzysta wietrzeje. Pęka, kruszy się i miesza z drobkami materii organicznej, tworząc w ten sposób inicjalne, ubogie podłoże, które mogą zasiedlić pierwsze organizmy i na którym wyrosną mniej wymagające rośliny. Z czasem gleba przyrasta i zwiększając swą miąższość, daje przestrzeń do rozwoju kolejnym gatunkom.

Widzimy więc, że właściwości gleby kształtowane są w pierwszej kolejności przez rodzaj jej fundamentu, czyli skałę. Inną żyzność uzyskuje na wapieniach, a inną na piaskowcach, na całokształt wpłynie zaś jeszcze m.in. suma opadów czy nachylenie stoku, razem decydujące o dostępności wody. To, czy idąc do lasu,

jednak, że była to praktyka mogąca przynosić nieraz katastrofalne skutki. Eksperymenty w czeskich świerczach wykazały bowiem, że pozyskiwanie ściółki prowadzi do znacznego ubytku wapnia, potasu i magnezu w glebie, porównywanego z tym spowodowanym w XX w. przez niszczyielskie, kwaśne deszcze, które w późniejszym czasie były przyczyną wielkopowierzchniowego zamierania tych drzewostanów.

Złe towarzystwo

Bywa jednak odwrotnie, bo i same świerki czy sosny doprowadzić mogą do znacznego zubożenia gleby, na której rosną. Niestety, proces ten w wielu miejscach, także w Polsce, obserwujemy do dziś. Te szybko przyrastające drzewa iglaste chętnie niegdyś sadzono na żyznych siedliskach, pierwotnie wykształconych przy współudziale buków, jaworów, jodeł, dębów czy grabów.

choć czasem zdaje się jakimś nienaruszalnym monolitem, stosunkowo łatwo ulega więc niekorzystnym zmianom.

Scheda po roli

Pojawia się jednak jeszcze inny problem. Niekiedy trudno to już dostrzec, ale niemal połowa polskich lasów jeszcze 70 lat temu... nie była lasami. Gdybyśmy się cofnęli w czasie, zobaczylibyśmy łąki, pola uprawne i pastwiska, których użytkowanie po II wojnie światowej zarzucono, czy to na skutek samej wojny, czy zachodzących w późniejszych latach przemian społecznych. W południowo-wschodniej Polsce można między drzewami dostrzec jeszcze ślady po łąkach, pochłoniętych przez przyrodę wsiach łemkowskich, których mieszkańców po prostu wysiedlono. Miejsca takie po wojnie zalesiano lub też same, zapomniane, zamieniały się z czasem w bory i zagajniki. Nie inaczej było w pozostałych częściach Europy i obecnie szacuje się, że nawet połowa lasów na naszym kontynencie rośnie na gruntach porolnych, z czym wiąże się pewnie bardzo specyficzne problemy. Leśnicy szybko zaczęli dostrzegać je także w Polsce, gdy sosny, wybrane ze względu na szybkie tempo wzrostu i dużą światłożądność, już po kilkunastu latach zaczynały masowo chorować i zamierać. Okazało się, że gleba ukształtowana przez wieloletnią działalność rolniczą jest lasom zwyczajnie wroga. Dostęp do wody ograniczała zbita na skutek regularnej orki, nieprzepuszczalna warstwa, zwana podeszwą płuzną, przenawożone podłoże stymulowało u drzew bardzo szybki wzrost, a patogeniczne grzyby skrzętnie to wykorzystywały, łatwiej infekując i zabijając tak przeornięte rośliny. W glebie roilo się od organizmów sosnom wrogich, brakowało zaś tych sprzyjających, jak choćby grzybów mykoryzowych, które do istnienia wymagały jednak obecności lasu. (...)

Glebowy mikrobiom wyraźnie „uruchamia się” w obecności żyjących tam zwierząt.

wedźmiemy w sośninę, między dęby lub pośród buki, zależeć będzie więc od ziemi, na której przyszło rosnąć drzewom. Ale nie tylko. Okazuje się bowiem, że nie jest to prosta jednostronna relacja, a światy roślin i gleb są ze sobą sprzężone i kształtują się wzajemnie.

Niektóre drzewa żyją w symbiozie z bakteriami i wpływają tym samym na skład chemiczny podłoża. Inne, jak buki, dają obfity opad liści, prowadząc do wykształcenia trudno rozkładającej się, grubej ściółki, pod jesionami zaś na następny rok znajdziemy już tylko ogonki, bo cała reszta w błyskawicznym tempie gnije i znika w glebie. Tym samym ziemia nabiera charakterystycznych cech lasu, a las – ziemi. Niestety, stosunkowo łatwo można to zmienić. W Europie Środkowej powszechne dawniej było np. wygrabianie ściółki. Czyniono to z różną intensywnością, na różne potrzeby i podłoże takie wykorzystywano m.in. przy hodowli zwierząt gospodarskich. Dzięki współczesnym badaniom wiemy już

Opadające igliwie tworzy jednak silnie zakwaszającą ściółkę, która z czasem przekształca glebę, prowadząc do całkowitej zmiany składu gatunkowego roślin runa, a tym samym i związanych z nimi organizmów. Znacznie ubywa choćby dżdżownic kształtujących strukturę gleby i... chętnie zjadających patogeniczne dla roślin grzyby, w tym słynne groźne strzępniczki pasożytnicze (*Rhizoctonia solani*). Sama powierzchnia ziemi staje się za to mniej przepuszczalna i przypominać zaczyna zjeżdżalnię, po której woda podczas ulew szybko spływa, zamiast wsiąkać. Traci też dużo ze swojej stabilności. Płaskie systemy korzeniowe świerków tworzą bowiem płytko pod ziemią ruszt, który unoszony ruchem kołysanych na wietrze pni, dosłownie dźwiga leśne podłoże. Przechadzając się po takich borach, łatwo to zresztą zaobserwować samemu – tu pięć pod świerkami pocujemy dudnienie, jakbyśmy bili w wielki leśny bęben. Ziemia,



Fragmenty książki Dariusza Dziękały *Chodźmy w las! Co się kryje między drzewami*, Powergraph, Warszawa 2025

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Milicjanci obywatelscy

Polska puściła głośnego Bąkiewicza, smród się niesie na zachód. Tak to już teraz będzie, skoro na prezydenta ma zostać zaprzysiężony kibol – ten wybór legitymizuje wszelkie chuligańskie bojówki, podnosi je do rangi ochotniczych rezerw milicji obywatelskiej, kraj teraz zbrunatnieje błyskawicznie niczym w solarium. Łyse pały o cofniętych zuchwach na razie przeczesują pograniczne chaszcze i samochody przed szlabanami w poszukiwaniu niepokojąco smagłych twarzy, aby przed nimi bronić „naszych kobiet i dzieci” – ale już niedługo poczną się w prawie do prowadzenia czystek na znacznie większą skalę. Nadchodzi rzeczpospolita kibolska krokiem marszowym, pod patronatem głowy państwa stadionowa bandyterka będzie teraz wyręczać państwo tam, gdzie uzna, że przepisy nazbyt krępują skuteczność egzekucji.

Tuż po nieszczęsnym wyroku drugiej tury zauważyłem wyraźne wzmoczenie ustawkowe – policja nie nadąza z wyłapywaniem „grzybiarzy” na sterydach, a niebawem pewnie w ogóle odpuści, bo prezydent obdarzony supermocą łaski nie będzie przecież karał swoich ziomali za to, że chcą się bić. Nigdy dość cytowania Maxa Liebermanna, który na widok marszu nazistów po dojściu NSDAP do władzy powiedział: „Nie mógłbym tyle zjeść, ile chciałbym wyrzucić”. Mdl mi od Polski rozmodlonej w podzięce za to, że Bóg zesłał narodowi kolejnego Karola Zbawiciela; rozmydlony mam obraz jej przyszłości, bo zaprawda przekracza moją wyobraźnię większość konstytucyjna koalicji PiS i skrajnej prawicy, a na to się zanosi po najbliższych wyborach wedle sondaży. Jedno nie ulega wątpliwości – w Unii Europejskiej z takim rządem długo nie pozostaniemy. Trzeba się zatem nacieszyć na zapas.

Na szczęście oszołomy w odbłaskowych kamizelkach na razie odpuszczają kontrolę granic południowych, dzięki czemu mogę do woli i na co dzień korzystać z błogostawieństwa mieszkania w pobliżu polsko-czesko-słowackiego trójkąty. Jak tylko mi się nadmiernie odbija Polską, jak mi Polska zgaga do gardła podchodzi, czynię przechadzki, przebieżki i przejażdżki do południowych sąsiadów, to mi działa higienicznie na psychikę, zawsze zresztą uważałem się za szczęśliwie urodzonego, bo Śląsk jako region transgraniczny z różnych nacji i języków jest ulepiony, być tutaj polskim nacjonalistą trudniej, bo to jakby salceson brał udział w demonstracji na cześć czystości gatunkowej wędlin.

À propos gastronomii: na Słowacji niedawno zdekretowano odstrzał niedźwiedzi, które się tam zaiste rozmnożyły i rozbisurmaniły nad wszelką miarę; w restauracjach będzie można spożywać legalnie certyfikowaną niedźwiedzinę – nie omieszkam spróbować, choć znajomy polovac twierdzi, że dla niego mięso z misiów jest za słodkie. Tymczasem popedałowałem za inną granicę, do Karwiny, jak basnik w krainę baników, aby zobaczyć odkryte kilkanaście lat temu XV-wieczne freski w kościele obok rynku, bliźniacze średniowieczne komiksy o świętych męczennicach Barbarze i Katarzynie, poddawanych mastektomii bez znieczulenia, a także aby wykąpać się w największym znanym mi dole po zapadlisku kopalnianym, który zalano, tworząc tzw. Morze Karwińskie – nadzwyczaj malowniczy zbiornik okolony szybami i nadszypkami górniczymi na horyzoncie. Dobrze mi tu, dopóki sobie nie przypominam, że przez rok i ta część Śląska Cieszyńskiego należała do Polski, po haniebnej aneksji Zaozla, kiedyś się wgrzyliśmy w kąsek państwa odpuszczonego przez Europę na

konferencji monachijskiej Hitlerowi. Wracam i dopiero po nazwach ulic orientuję się, że znowu jestem po naszej stronie, tak sobie coraz częściej robię półdnio-

we „wyprawy zagraniczne”, żeby nacieszyć się swobodą, albowiem nie jest dana raz na zawsze, należę do pokolenia, które przez większą część życia o takiej swobodzie mogło tylko marzyć.

Pamiętam dokładnie, jak przed 17 laty osobiście przeżywałem przez granicę smarkatego grotolaza, który nie miał jeszcze dowodu ani paszportu, na szczęście był tak chudy, że zmieścił się w bagażniku pod plecakami – z wyprawy wracaliśmy już na pewniaka, bo kraj przystąpił do strefy Schengen. Pomnę zbyt dobrze, jak przed bez mała 40 laty moja pierwsza wycieczka na Rysy zakończyła się nad Czarnym Stawem, gdzie zostałem cofnięty przez wopistę za brak dokumentów (spisywał wszystkich wychodzących na szczyt i potem odfajkowywał przy powrocie). Wlażłem na szczyt dopiero w wolnej Polsce, już jako pełnoletni chłystek. Dorosłe wędrówki przez granie i przełęcz odbywałem już w świecie pozbawionym jednego lęku – w górach boję się już tylko niedźwiedzi i burz, uzbrojonej straży granicznej już nie. Miałbym się zacząć bać straży samowładnej? Pobłażanie harcownikom Bąkiewicza mi uwłacza i zniechęca do tego coraz bardziej nieudacznego rządu. ■

Polska puściła głośnego Bąkiewicza, smród się niesie na zachód.

Recykling z klasą

Ekomłodzież z Andrychowa testuje butelkomaty, które od października na stałe wpiszą się w polski krajobraz

Bronisław Tumiłowicz

– Na parterze naszej szkoły stanął automat, do którego można wrzucać niezniszczone, puste butelki plastikowe oraz puszki aluminiowe – mówi Piotr, uczeń pierwszej klasy I Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Skłodowskiej-Curie w Andrychowie. Rzeczywiście, okazałych rozmiarów butelkomat typu Splask Collect PET/CAN pojawił się w obszernym holu szkoły. Obok niego tablica z zachętą: „Chcesz wygrać super nagrody dla swojej klasy, a przy okazji zrobić coś dobrego dla planety? Dołącz do konkursu »Recykling z Klasą« organizowanego w naszym liceum we współpracy z firmą, producentem butelkomatów Splask!”.

– Na czym polega konkurs? – pytam.

– To proste. Wrzucamy butelki do automatu, a potem na ekranie dotykowym wybiera się swoją klasę. Każda butelka lub puszka to jeden punkt dla klasy. Naprzeciwko szkoły jest sklep, gdzie kupujemy na przerwach napoje. A jak się uezbiara w miesiącu najwięcej punktów, to klasa otrzymuje kupon do restauracji na 300 zł. Na zakończenie konkursu mają być jeszcze większe pieniądze dla zwyciężskich klas – objaśnia Piotr.



zachęcano jeszcze do zbierania śmieci w okolicy, za co również przydziela się punkty. To był już tylko dodatek do wielkiej akcji recyklingowej i postawionego w szkole urządzenia.

Nie ma co ukrywać, do korzystania z butelkomatów młodzież w przeważającej części motywuje czynnik ekonomiczny, tak jak Michała, absolwenta szkoły podstawowej. W jego domu – jak mówi – przygotowuje się za każdym razem

co najmniej 2-3 zł zwrotu kaucji. To wprawdzie wystarczy na niewiele, ale i tak wszyscy są zadowoleni. Czynnik ekologiczny, ratowanie przyrody, jak przyznaje Michał, nie jest motywem wiodącym, chyba że ktoś dłużej nad tym faktem się zastanowi. W jego podstawówce o konieczności zbierania butelek nic nie mówiono, urządzenia nie zamontowano. Chłopak liczy, że może w liceum coś więcej w tej kwestii będzie się działo.

Oprócz liceum w Andrychowie, które postawiło u siebie butelkomat, także inne polskie szkoły, np. trzy sopockie podstawówki, wstawiły urządzenia do odbioru butelek i zorganizowały konkursy dla uczniów. W Sopocie o rozdysponowaniu pieniędzy z nagród zadecydują rady rodziców.

Istnieją szanse, że butelkomaty typu Splask już wkrótce na dobre zagospodzą w naszej najbliższej przestrzeni. Tego typu urządzenia można

Lepsze automaty, zwłaszcza wyprodukowane w krajach z długim doświadczeniem w zbiorze opakowań po napojach, nie dają się oszukać.

I LO w Andrychowie, szkoła z 80-letnią tradycją, uzupełniła rywalizację o dodatkowe kategorie. Uczniowie do tej pory zaprojektowali już plakaty informujące o akcji z hasłem #RecyklingZKlasa do umieszczenia w internecie, nakręcili też rolki na Facebooka. Młodzież

„wsad do automatu” stojącego w pobliskim Lidlu. Powody są dwa. Wolniej zapełniają się wtedy żółte worki do opakowań plastikowych – a w jego domu pije się sporo napojów, wody mineralnej i soków, więc butelek jest dużo. No i za każdym razem uzyskuje się z butelkomatu

było niedawno oglądać w Warszawie podczas Wielkiego Złotu Automatów Kaucyjnych zorganizowanego przez spółkę Polski System Kaucyjny (PSK). Impreza odbyła się w nowoczesnym hotelu Sound Garden blisko lotniska Chopina w Warszawie i była jedyną w swoim rodzaju okazją, aby poznać tak wielu dostawców automatów kaucyjnych/butelkomatów, no i zdobyć wiedzę, która pozwoli dokonać właściwego wyboru. 1 października 2025 r., gdy zostanie u nas uruchomiony system kaucyjny, w każdej gminie w Polsce powinno się znaleźć przynajmniej jedno z takich urządzeń; właściciele sieci handlowych, a nawet niewielkich sklepów, powinni u siebie taką maszynę mieć. Już teraz działa w miastach wiele automatów, ale wciąż są testowane i promowane, zwłaszcza wśród młodszej klienteli.

W Wielkim Zlocie Automatów Kaucyjnych wzięło udział ponad 20 firm z Polski, Niemiec, Węgier, Francji i Norwegii. Będą walczyły o miejsce na polskim rynku. Markę Splask stworzyła firma WMC

TECH z Andrychowa właśnie – jej urządzenia do recyklingu są zbudowane z komponentów wyprodukowanych w Unii Europejskiej. Wytwórca chwali się także tym, że jego automaty są łatwe w obsłudze i dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami.

Kolejny automat prezentowany na zlocie ma podobno największy pojemnik na butelkowe odpady, do tego może stać pod gołym niebem. To urządzenie węgierskiego przedsiębiorstwa Returmatic, które specjalizuje się m.in. w mobilnych automatach do zbiórki zwrotnej (RVM). Swoje miejsce na zlocie ma też polska firma z Płocka, 4VS. Jej przedstawiciele twierdzą, że trudno wskazać najlepsze automaty w sytuacji, kiedy wszystkie mają te same funkcje.

Wszystkie automaty, które zamieniają plastikowe i blaszane opakowania po napojach w surowce do ponownego wykorzystania i zwracają klientom kaucję, wyglądają dosyć podobnie. Mają okrągły otwór do wrzucania opakowań po napojach

oraz niewielki podajnik, z której wychodzi kupon, niekiedy jeszcze panel do logowania, dzięki któremu klient może otrzymać pieniądze na konto.

Detaliści, którzy muszą się przygotować zarówno pod kątem zbiórki manualnej, jak i automatycznej, nie mają już dużo czasu, a wybór jednego z ponad 20 dostawców automatów kaucyjnych nie jest łatwy. Nie sprzyja temu nikta edukacja, nadal niewiele jest informacji na ten temat w mediach. Podczas zjazdu w Warszawie chętni do zakupu urządzeń przeprowadzali liczne testy. Dokonywali np. prób oszukania urządzenia, wrzucając do otworu butelkę i szybko ją wyciągając, aby otrzymać zwrot kaucji bez butelki. Na szczęście lepsze automaty, zwłaszcza wyprodukowane w krajach z długim doświadczeniem w zbiorce opakowań po napojach, takie jak norweska TOMRA, nie dają się oszukać, chociażby dzięki dodatkowym czujnikom skutecznie rejestrującym każdą wrzucaną butelkę. ■



wishsurfing.pl

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka,
podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

Dr n. med. Katarzyna Skórzewska

Z pewnością słyszałaś(-eś) o kortyzolu. Nie ma chyba ceniącego się influencera ani celebryty, który na Instagramie, TikToku czy YouTube nie tłumaczyłby, co z nami robi ten „hormon zagłady” i jak obniżyć jego stężenie. „Jeśli twój poziom kortyzolu jest wysoki, to nie dziw się, że...”, „Kortyzol – czym jest, jak szkodzi?”, „Kortyzol wielki i zły”, „Dlaczego kortyzol zagęszcza krew”, „Pięć produktów, które obniżą poziom kortyzolu”, „Jak obniżyć poziom kortyzolu?”. Jeśli nie wdrożysz do swojego życia przeróżnych promowanych w sieci zaleceń, których wszędzie pełno, dostaniesz kortyzolowego brzucha, twoja twarz „nie będzie już znajoma”, a do tego spadną na ciebie wszystkie plagi egipskie, z biegunką włącznie. (...)

Od dłuższego czasu zżymałam się na internetowe mądrości dotyczące kortyzolu, powielane w sieci przez kolejnych samozwańczych pseudoznawców. Nie zamierzałam jednak wchodzić z nimi w polemikę ani narażać się na hejt tysięcy ich wyznawców. Ale kortyzol nie dawał mi spokoju, przywoływał mnie i dopominał się, żeby zdjąć z niego zły urok.

Boimy się tego, czego nie znamy. Lęk przed nieznanym bywa paraliżujący, odbiera nam radość życia i chęć działania. Boimy się wchodzić w nowe środowiska, zaczynać nową pracę, bo nie wiemy, co nas w niej czeka. Lecz gdy „rozpoznamy teren” i porozmawiamy z nowymi ludźmi, często się okazuje, że nie taki diabeł straszny. Wystarczy po prostu poznać i oswoić daną sytuację. Tak samo jest z kortyzolem. Boimy się go, bo mało o nim wiemy. Nie znamy jego zwyczajów, nie wiemy, kiedy może zaatakować zniecka i jaką broń wybierze. Z jednej strony straszy się nas skutkami jego nadmiaru, a z drugiej – wyczerpaniem nadnerczy. Jak żyć?

Kortyzol to hormon mobilizacji, który zyskał złą sławę, bo został nazwany hormonem stresu, przez co wzbudza pejoratywne skojarzenia. Tymczasem gdyby nie kortyzol, nie moglibyśmy rano wstać z łóżka, nie mielibyśmy siły ruszyć ręką ani nogą.



KORTYZOL nie taki straszny

To hormon mobilizacji,
ale zyskał złą sławę, bo nazwano go
hormonem stresu

Ten hormon pozwala nam nie tylko zacząć poranek, lecz także zachować energię na cały dzień. Jest wytwarzany zarówno podczas negatywnych, jak i pozytywnych doświadczeń. Odgrywa kluczową rolę w promowaniu czujności i skupieniu uwagi. Dzięki temu łatwiej nam przewidzieć zagrożenie, a nasz organizm dobrze sobie radzi z adaptacją do stresujących okoliczności. W zależności od zapotrzebowania kortyzol działa jak zastrzyk energii konieczny do przebudzenia, do uruchomienia reakcji „walcz lub uciekaj” albo przekierowuje zasoby na radzenie sobie ze stresorem. Ponadto kontroluje wiele procesów fizjologicznych. Wpływa na metabolizm, apetyt, bicie serca

i ukrwienie narządów wewnętrznych, zmniejsza stan zapalny, hamuje reakcję układu odpornościowego i moduluje procesy poznawcze.

Kortyzol jest hormonem niezbędnym do naszego przetrwania. Pomaga w utrzymaniu prawidłowego ciśnienia krwi oraz poziomu cukru. Kora nadnerczy produkuje większe ilości kortyzolu w reakcji na stres, szczególnie w czasie choroby, w okresie okołoperacyjnym i po doznanej kontuzji.

Możliwości nadnerczy są niewyczerpywalne, chyba że w wyniku procesu autoimmunologicznego, choroby ogólnoustrojowej czy zabiegu chirurgicznego dojdzie do ich zniszczenia albo uszkodzenia przysadki

i rozwoju niedoczynności kory nadnerczy (choroba Addisona).

Kortyzol ma też swoją ciemniejszą stronę: utrzymując się przez dłuższy czas wyższe stężenie tego hormonu może powodować zaburzenia rytmu snu, upośledzać pamięć, koncentrację, funkcje poznawcze, osłabiać układ odpornościowy i przyczyniać się do różnych problemów zdrowotnych.

Dlatego chociaż stres jest niezbędny w umiarkowanych ilościach, musimy się nauczyć nad nim panować, aby utrzymać zdrowy styl życia i właściwy poziom kortyzolu. Pamiętasz, jak byliśmy uziemieni w domach podczas lockdownu przy kolejnych falach COVID-19? Każdy starał się sobie radzić ze stresem i... z kortyzolem.

Kortyzol (ang. cortisol), a właściwie hydrokortyzon, jest najistotniejszym hormonem kory nadnerczy, hormonalnym rycerzem z niesamowitym duchem walki. To związek organiczny należący do rodziny steroidów, najważniejszy glikokortykoid (GLK, ang. glucocorticoid) u ludzi. Jest syntetyzowany z cholesterolu w korze nadnerczy i metabolizowany głównie w wątrobie.

Zacznijmy od najpotężniejszych aktorów z trupy endokrynej. To oni grają pierwsze skrzypce podczas emocjonujących wydarzeń życiowych na scenie naszego ustroju. Chodzi o hormony osi podwzgórzowo-prysadkowo-nadnerczowej – w skrócie PPN lub z angielskiego HPA (hypothalamic-pituitary-adrenal axis). Są niezbędne do prawidłowego funkcjonowania naszego organizmu i utrzymania go w homeostazie, a więc wydzielają się nie tylko w sytuacjach stresowych. Homeostazą nazywamy stan równowagi ustroju, kiedy wszystkie narządy i układy funkcjonują tak, jak powinny, a parametry wewnętrzne organizmu są ustabilizowane. Na samym końcu osi HPA znajduje się kortyzol. Pozostaje on w równowadze dynamicznej ze swoim nieaktywnym biologicznie alter ego, czyli kortyzonem. (...)

Bardzo często powtarzana fraza dotycząca kortyzolu brzmi: „Poziom stresu można zmierzyć we włosach”.

I jest to w jakimś sensie prawda, ale – rzecz jasna – nie cała. Stężenie kortyzolu można mierzyć w różnych pobranych materiałach, gdyż jest on obecny we krwi, moczu, ślinie, kale, włosach i paznokciach. Kortyzol to jedyny hormon, który oznacza się standardowo w surowicy krwi, moczu i ślinie. Ale nie można zbadać sobie poziomu kortyzolu w ślinie na życzenie. Pomiaru dokonuje się tylko w wyspecjalizowanych jednostkach badawczych – można zlecić takie oznaczenie komercyjnie, ale niestety nie w ramach ubezpieczenia zdrowotnego. Co do paznokci – oznaczanie w nich kortyzolu stanowi na ten moment nowatorską metodę w fazie badań klinicznych oceny jej przydatności.

Ten hormon pozwala nam nie tylko zacząć poranek, lecz także zachować energię na cały dzień.

Fakt, że kortyzol możemy znaleźć w tylu miejscach, jest świetnym odzwierciedleniem złożoności jego fizjologicznej regulacji i zmienności stężeń w materiale biologicznym różnego typu, a także w zależności od konkretnej sytuacji klinicznej. Aby móc w pełni docenić znaczenie kliniczne tych oznaczeń i właściwie zinterpretować ich wyniki, trzeba rozumieć powiązane wzajemnie procesy syntezy, transportu, metabolizmu i wydalania kortyzolu. (...) Oznacza się go ilościowo za pomocą spektrometrii masowej lub testów immunologicznych opartych na przeciwciałach. Badania te są czasochłonne, kosztowne i nie uwzględniają rytmu dobowego.

Pomiar kortyzolu powinien być wykonywany więcej niż jeden raz, bo ze względu na zmienny charakter jego stężenia w surowicy pomiar jednorazowy ma niewielką wartość diagnostyczną. Pamiętaj też, że w surowicy krwi oznaczane jest stężenie kortyzolu całkowitego, przede wszystkim tego związanego z białkami, głównie z wiążącą go globuliną. Najpowszechniej wykonywane testy immunologiczne określają całkowity kortyzol w surowicy, wobec tego jego stężenie może być

wysokie w sytuacjach fizjologicznych. Na przykład w ciąży – wtedy stężenie globuliny wzrasta – lub podczas stosowania antykoncepcji hormonalnej dwuskładnikowej czy terapii estrogenowej.

(...) W próbkach śliny i w moczu oznacza się niezwiązany, wolny kortyzol. Wydaje się, że oznaczenie kortyzolu w ślinie jest optymalnym sposobem określenia stężenia wolnego kortyzolu, silnie korelującego ze stężeniem we krwi. Na wynik nie wpływają ani globulina, ani stosowane leki.

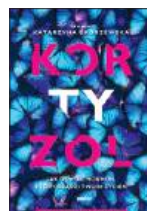
Przy oznaczaniu kortyzolu w moczu należy zawsze zbadać też czynność nerek, która wpływa na wynik badania tego hormonu. Próbkę włosów dają informacje o stężeniu

kortyzolu w dłuższym okresie, odzwierciedlając tym samym poziom przewlekłego stresu. (...)

Badania stężenia kortyzolu we krwi, w ślinie i moczu pozwalają na ocenę aktualnego wydzielania kortyzolu lub krótkotrwałych zmian w ciągu doby. Odzwierciedlają one wahania stężenia kortyzolu w czasie rzeczywistym – tu i teraz. Więcej informacji w odniesieniu do dłuższego okresu działania glikokortykoidów przynosi oznaczanie kortyzolu we włosach i w paznokciach. Nie są to jednak rutynowo wykonywane oznaczenia, jakkolwiek ekscytująco brzmi sformułowanie: „Poziom stresu można zbadać w twoich włosach”.

Ogólnie rzecz biorąc, każdy materiał biologiczny wykorzystywany do oznaczania stężenia kortyzolu możemy uzyskać łatwo, szybko i wręcz nieinwazyjnie (poza pobieraniem krwi), ale należy wiedzieć, jak prawidłowo się przygotować do badania, żeby uzyskane wyniki odzwierciedlały stan faktyczny i sytuację kliniczną pacjenta.

Fragmenty książki dr Katarzyny Skórzewskiej *Kortyzol. Jak ośwoić hormon, który rządzi twoim życiem*, Znak Literanova, Kraków 2025



Jen Golbeck, Stacey Colino

Ludzie, którzy czują głęboką więź ze swoimi psami, nie mają wątpliwości, że wsparcie emocjonalne ze strony ich psich towarzyszy jest realne. Naukowcy starali się zrozumieć, co leży u podstaw tego zjawiska, i chociaż nie mają (jeszcze) pełnego obrazu przyczyn, dr Andrea Beetz przestudiowała literaturę naukową na temat relacji człowiek-zwierzę i przedstawiła zestaw hipotez wyjaśniających ten niewątpliwie złożony proces.

PSY

NA RATUNEK NASZYM EMOCJOM



Na poziomie fizjologicznym interakcje z psami, zwłaszcza gdy chodzi o dotyk, aktywują wydzielanie oksytocyny w mózgach naszych i psów. Oksytocyna to substancja chemiczna związana z uczuciem miłości. Wprowadza oba gatunki w dobry humor, a poza tym buduje zaufanie i przywiązanie. Jest również hipoteza biofilii, mówiąca o tym, że ludzie ewoluowali, by być blisko innych żywych istot, w tym zwierząt i roślin, po części dlatego, że wywołuje to pozytywne uczucia, a po części zaszczepia poczucie bezpieczeństwa. To coś, co przychodzi ludziom w sposób naturalny – pragnienie znajdowania się blisko psów i innych stworzeń – jest wrodzone, a nie świadome. Istnieje również możliwość, że ludzie antropomorfizują zwierzęta, zwłaszcza gdy ich własne potrzeby społeczne są niezaspokojone i czują się samotni.

I rzeczywiście: badanie przeprowadzone przez Lauren Powell i jej australijski zespół wykazało, że posiadanie psa łagodzi samotność i poprawia nastrój na różne sposoby w ciągu zaledwie trzech miesięcy. Psy zapewniały nie tylko towarzystwo, ale i wsparcie

Mogą wykrywać ból i stres, reagować na nie i znacznie je łagodzić

oraz zwiększały interakcje opiekunów z innymi ludźmi dzięki wspólnym spacerom. Jak zauważyli naukowcy, „psy mogą działać jako katalizatory interakcji społecznych”.

Nawet gdy sprawy nie układają się po naszej myśli, psy pomagają nam poczuć się lepiej po prostu dlatego, że są w pobliżu. Badania przeprowadzone przez dr Ilonę Papousek i jej zespół wykazały, że po wykluczeniu społecznym ludziom w obecności nieznanego psa w pokoju poprawiał się nastrój.

Wpływ psów na emocje jest tak silny, że nawet myślenie o nich może sprawić, że czujemy się lepiej. Dr Christina M. Brown i jej współpracownicy poprosili uczestników

eksperymentu, by zastanowili się nad sytuacją, w której zostali społecznie odrzuceni. Następnie ci, którzy wzięli udział w badaniu, wierząc, że psy mają emocje i cechy podobne do ludzkich (przykłady antropomorfizmu), stwierdzili, że samo oglądanie zdjęć psów lub myślenie o nich skutkowało poprawą samopoczucia.

Dwudziestokilkuletnia singielka Maggie w pełni to rozumie. Chociaż ogólnie czuła się dobrze sama, z dala od rodziny, kilka lat temu zdała sobie sprawę, że osiągnęła limit spędzania czasu w pojedynkę bez poczucia samotności i nudy. Na ratunek przyszła jej Maya, mieszaniec chihuahua, chow chow i meksykańskiego kundla, którą adoptowała w styczniu 2021 r. „Od tego czasu czuję się o wiele mniej samotna. Miło jest mieć kogoś, z kim można porozmawiać, nawet jeśli ten ktoś nie rozumie lub nie potrafi odpowiedzieć, mówi Maggie, która pracuje w branży cyberbezpieczeństwa na Florydzie. – Pomogła mi wydostać się z emocjonalnej rutyny”.

Posiadanie ukochanego psa jako partnera emocjonalnego nie jest

zjawiskiem jednokierunkowym, w którym tylko ludzie czerpią korzyści. Mamy tu pętlę pozytywnego sprzężenia zwrotnego, która pozwala nam czuć jeszcze silniejszą więź z psami. (...) Istnieje również neurologiczny składnik pogłębiania tej więzi. Johannes Odendaal i Roy Meintjes zbadali fizjologiczne skutki pozytywnych psio-ludzkich interakcji i wykazali obustronny przepływ korzyści. Naukowcy zaobserwowali, że po sesji zabawy z psem nastąpiło obniżenie ciśnienia krwi i u ludzi, i u psów. Odnotowano również wzrost stężenia różnych substancji chemicznych w mózgu, w tym beta-endorfiny (która jest powiązana ze stanami euforii i obniżonym stresem), oksytocyny i prolaktyny (z których oba ugruntowują tworzenie więzi) oraz beta-fenyletyloaminy i dopaminy (które są związane z przyjemnymi doświadczeniami). Biorąc pod uwagę, że ludzie i psy są stworzeniami społecznymi i że wzajemnie zaspokajamy te potrzeby, naukowcy doszli do wniosku, że wspólne korzyści fizjologiczne wynikające z pozytywnych interakcji między nami odgrywają istotną rolę w pogłębianiu i utrwalaniu więzi.

Choć w niektórych przypadkach pocieszające zachowania zwierząt wydają się spontaniczne, w rzeczywistości psy mogą wykrywać emocjonalny ból i stres, reagować na niego i znacznie go łagodzić, często w zaskakujący sposób. Na pewnym poziomie rozumieją, że jesteśmy z nimi w relacji, że istnieje między nami więź i głębokie zaufanie. Z tego powodu chcą nas pocieszyć.

Naukowcy wykazali, że psy umieją rozpoznawać stany emocjonalne innych psów i ludzi. Natalia Albuquerque i jej zespół pokazali psom obrazy ludzkich twarzy, które były szczęśliwe lub wściekłe, i połączyli je z ludzkim głosem mówiącym w nieznanym języku (chodziło o dźwięki, w których pies nie rozpoznałby słów), który również był szczęśliwy lub wściekły. Pokazano także obrazy psich twarzy, które były przyjazne lub agresywne, w połączeniu z przyjaznymi lub wrogimi szczeknięciami. Gdy wartość emocjonalna dźwięku pasowała do wyrazu twarzy, psy patrzyły na nią dłużej niż wtedy, gdy nie

pasowała. Stąd wniosek, że potrafiły wyodrębnić emocjonalne znaczenie mimiki i dźwięków, choć wcześniej sądzono, że zdolność tę posiadali tylko ludzie. Zatem ponieważ psy umieją rozpoznawać różne formy ekspresji emocjonalnej, chcą i umieją nas pocieszyć, gdy wyczuwają, że jesteśmy zdenerwowani.

Brittany przygarnęła Coopera, mieszańca doga niemieckiego i czarnego labradora, jako szczeniaka i ponad osiem lat później jest on jej najlepszym przyjacielem. Kiedy Brittany się rozwiodła i płakała, Cooper ją pocieszał. „Gdy wracałam do domu po kiepskich randkach, był tam i ogrzewał mi łóżko – mówi Brittany, dziś po trzydziestce, zatrudniona w marketingu w Chicago. – Świadomość, że wracam do kogoś, kto zawsze cieszy się na mój widok i mnie kocha, sprawia, że nawet najgorszy dzień był do zniesienia”. Cooper pomógł jej przetrwać przygnębiające i niespokojne dni, ponieważ był przy niej bez „osądzania, tylko z miłością”.

Naukowcy wykazali, że psy umieją rozpoznawać stany emocjonalne innych psów i ludzi.

Emily Sanford i jej zespół przeprowadzili badanie, w którym oceniano, w jaki sposób psy reagują na odgłosy smutku swoich opiekunów. W eksperymencie wzięły udział 34 psy i ich opiekunowie; psy znajdowały się w jednym pokoju, a ludzie w sąsiednim, za szklanymi drzwiami, które były lekko zamknięte na kilka magnesów. Psy widziały i słyszały swoich ludzi przez drzwi, a nawet mogły je otworzyć, jeśli chciały. W grupie eksperymentalnej ludzie co 15 sekund zaniepokojonym głosem mówili „pomocy”, a w międzyczasie wydawali odgłosy płaczu. W grupie kontrolnej ludzie co 15 sekund mówili „pomocy” tonem pozbawionym emocji, a w międzyczasie nucił popularną kołysankę. W obu grupach mniej więcej połowa psów przeszła przez drzwi do swoich opiekunów (w zasadzie dlatego, że po prostu chcą być z nami), lecz gdy opiekunowie płakali, psy szły średnio

40 sekund szybciej. Zdaniem badaczy sugeruje to, że „ludzkie cierpienie przykuwało uwagę psa, a być może nawet nadawało pilność jego działaniom”, aby pomóc swoim ludzkim towarzyszom lub ich pocieszyć.

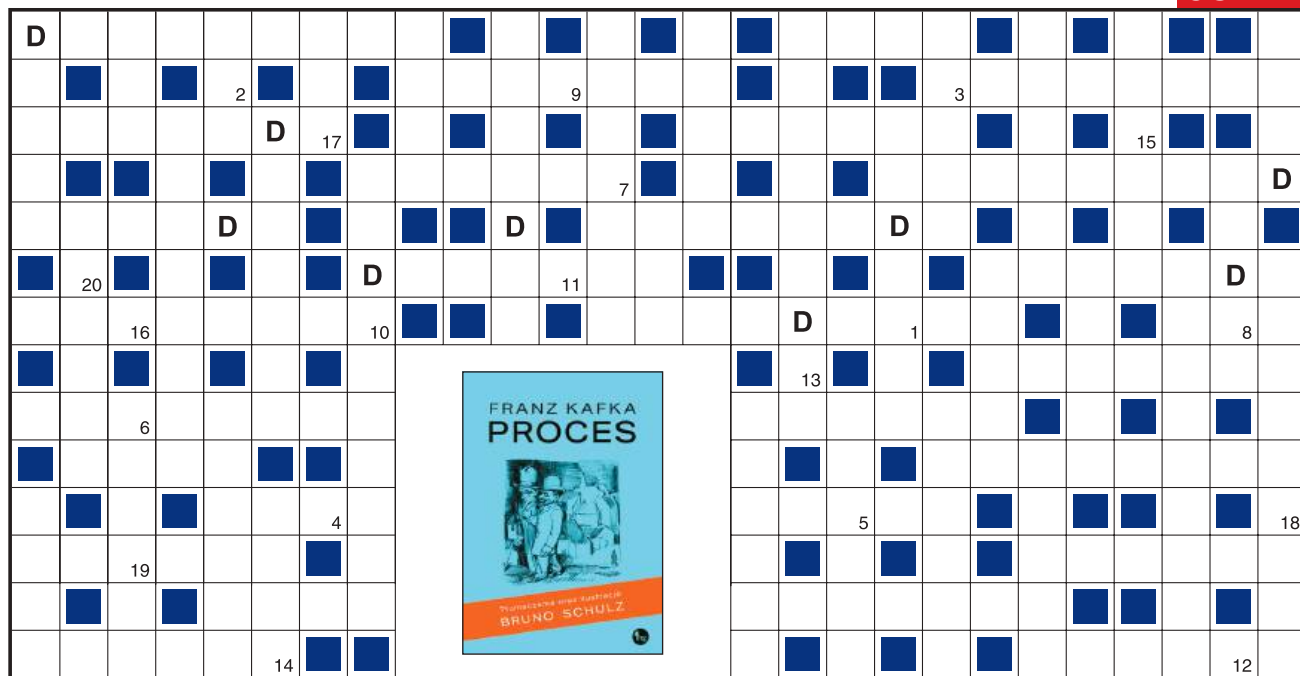
W innym badaniu Joshua Van Boring i jego współpracownicy sprawdzili, czy nieszkolone psy uratowałyby swoich ludzi, gdyby ci zostali uwięzieni. W laboratorium badawczym ludzie wchodzili do dużego kartonowego pudła i albo udawali, że są uwięzieni, wołając o pomoc, albo czytali na głos. Naukowcy dodali trzeci warunek, w którym w pudle umieszczono smakołyki. Okazało się, że psy były bardziej zestresowane, gdy ich opiekunowie wydawali się uwięzieni, niż gdy czytali na głos. Podobnie jak w poprzednim eksperymencie niektóre psy szły do swoich ludzi bez względu na wszystko; były jednak znacznie bardziej skłonne dostać się do pudła, jeśli słyszały wołanie o pomoc lub gdy znajdowała się w nim przekąska, niż gdy człowiek

spokojnie czytał na głos. Psy wydawały się bardziej zestresowane, gdy ich ludzie wydawali się zestresowani – to wyraźna oznaka empatii.

Zasadniczo psy potrafią odczytać nasze emocje i jeśli jesteśmy zdenerwowani, często chcą nam pomóc. Odbierają nasz ból albo dlatego, że współodczuwają z nami, albo dlatego, że działa zjawisko zarażenia emocjonalnego. Jak zauważył psycholog Stanley Coren, autor książki „Tajemnice psiego umysłu”: „W ten sam sposób, w jaki młodzi ludzie okazują empatię i zrozumienie emocji innych, robią to również psy. Co więcej, wydaje się, że wyhodowaliśmy nasze psy tak, aby nie tylko okazywały empatię, ale także współczucie, czyli chęć pocieszenia tych, którzy są w trudnej sytuacji emocjonalnej”.

Fragmenty książki Jen Golbeck i Stacey Colino, *Najczystsza więź*, przeł. Adam Pluszka, Marginesy, Warszawa 2025





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- kulista fryzura z loczków
- ropucha kururu
- biały gips rzeźbiarski
- film Kieślowskiego z Jerzym Stuhrem
- doktryna dyskryminacji w RPA
- imię autora „Kanady pachnącej żywicą”
- tajniki wiadome znawcom
- zbrojenie wewnątrz formy odlewu rzeźbiarskiego
- ostrożny ponad miarę
- stolica Mali
- nim w kuchni zniksujesz i wymieszasz
- ostracyzm jako forma nacisku, protestu
- uspokajający pierwiastek
- ...Kryzys, zespół Lipińskiego i Bylewskiego
- co od niej to bezsensowne
- rozległe majątki ziemskie
- zręcznie zwodzący futbolista
- trzon sztandaru, dzidy
- dba o interesy państwa za granicą
- „...zwierzęcy” Orwella
- pstryka zdjęcia
- grecka litera
- lub promieniowanie
- ukazuje się codziennie
- sygnał na ringu bokserskim
- badacz pisma odręcznego
- ...Masterton, autor horrorów
- gulgotający samiec
- niewola u Tatarów, Turków
- koń, bohater polskiego serialu
- karmi piersią cudze dziecko
- imię Małego Rycerza
- wytłoczony sok na wino
- zmieniony genetycznie osobnik
- wystąpił list lub paczkę
- utniesz nim rurę
- od nadmiaru wrażeń wzrokowych
- od podporucznika zwyczaj
- lekarz od kości, stawów, mięśni
- opływa cytadelę gru-dziądką
- wyścięła dach samochodu od wewnątrz
- ...przyrody – dąb Bartek
- wieszać je na kimś – krytykować, obmawiać
- żabi śmiech
- można go wodzić w towarzystwie
- wyszukiwacz talentów piłkarskich
- po fa w gamie
- farba emulsyjna o spoiwie organicznym
- ...względności
- strój sędziów, profesorów
- ruda dziewczynka z „Bołka i Lolka”
- ...Kowalik, Zuzanna w „Domu nad rozlewiskiem”
- ogon komety
- może być protestacyjny lub wyborczy
- internetowa encyklopedia
- całkowite unicestwienie
- na drodze albo lodowy na rzece
- sprzedaż towarów przez ich producenta
- narta nie do biegania
- obszar spływania wód do jednego morza
- pensja wojskowego

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1229”. Do rozlosowania książki „Proces” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 lipca 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1226” z nr. 25: Ognia i afektu nie ukryjesz.

Nagrody otrzymują: Teresa Leśniewska z Kaliszan, Zofia Sawicka z Wydmín, Aleksandra Szewczyk z Krakowa.

Stary instytut, nowe zadania

Zapowiada się ciekawy lipiec w MSZ. Nie z powodu rotacji – z powodu zapowiedzianej rekonstrukcji rządu. Czyli jego odchudzenia. Jednym z elementów tej operacji ma być zmniejszenie liczby wiceministrów, których jest rekordowo dużo. Nikt więc nie daje szans przetrwania tej burzy Andrzejowi Szejniewskiemu, który i tak jest poza MSZ. Niewielu – Władysławowi Teofilowi Bartoszewskiemu... A pozostali?

Można rzec, że tę sytuację przewidział Jakub Wiśniewski i ewakuował się na z góry upatrzoną pozycję. Wiśniewski był podsekretarzem stanu, odpowiadał za strategię polityki zagranicznej, ale także za współpracę rozwojową, stosunki w ramach ONZ i kontakty z państwami Ameryki Łacińskiej. Ogrom zadań, zwłaszcza na tle innych wiceministrów. Ale po paru miesiącach okazało się, że jego współpraca z ministrem układa się marnie, w zasadzie – bardzo źle. Znalaziono mu więc miejsce ewakuacji – mało prestiżowe, ale wygodne. I w kwietniu został dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

Ten instytut to piękna historia. W 2018 r. powołała go do życia PiS, podobno dlatego, że tak ustalili Kaczyński z Orbánem. Instytut miał promować przyjaźń polsko-węgierską, organizować spotkania młodzieży, prowadzić szkoły liderów, wspierać wymianę kulturalną i tego typu rzeczy. Miał podlegać bezpośrednio KPRM i zagwarantowano mu budżet na 10 lat. Co roku 6 mln zł, z tego 1 mln na płace (dla sześciu osób).

Gdy powoływano instytut do życia, wybuchła w Sejmie awantura, posłowie ówczesnej opozycji wołali, że to współczesne TPPR, że do współpracy z żadnym innym państwem takiego nie mamy i że to wyrzucanie

pieniędzy w błoto. Wtedy padły prorocze słowa pośła Krzysztofa Mieszkowskiego z Nowoczesnej, że zgodziłby się na instytut, gdyby promował on węgierską kulturę niezależną, zwłaszcza tych, których ogranicza cenzura Orbána. Bo w znacznej części są pozbawieni pracy.

Potem instytut zaczął działać i – jak wykazały kontrole NIK i kontrola KPRM (jeszcze za Morawieckiego) – działał po pisowsku. Na siedzibę wynajęto luksusową willę przy Goszczyńskiego na warszawskim Mokotowie, o dwukrotnie większej powierzchni, niż pierwotnie poszukiwano. Nie zgadzały się faktury, w latach 2020-2021 wypłacono sobie w instytucie dodatki w wysokości 194,6 tys. zł bez podstawy prawnej, z naruszeniem ustawy kominowej. Granty zaś dostali m.in. Piotr Motyka, redaktor Mediów Narodowych wydawanych przez Stowarzyszenie Marsz Niepodległości Roberta Bąkiewicza. A także kibice Pogoni Szczecin.

Nic więc dziwnego, że premier Tuszk od początku zapowiadał likwidację instytutu. I potwierdzał to parokrotnie. Ale nie zlikwidował. Oficjalnie dlatego, że podmiot ten powołany został ustawą, więc ustawą trzeba go likwidować. A tę Duda zawetuje. Na razie szansy mu nie dano... Nie dano, za to instytut przerobiono. Urzęduje w starej siedzibie, ale z nowym dyrektorem (Wiśniewski!) i z nowymi zadaniami. Ostatnio zorganizował konferencję (uczestniczył w niej minister Sikorski) z udziałem gości węgierskich na temat budowy społeczeństwa obywatelskiego nad Dunajem. I demokracji.

Tak oto spełnia się marzenie pośła Mieszkowskiego. Że pomysł Orbána przeciwko niemu samemu się obróci. Tanio nie jest, ale co szkodzi podokuczać?

Attaché

Podczas obchodów 90. urodzin Dalajlamy mnisi zakładają duchowemu przywódcy ceremonialną czapkę. Świątynia Tsuglagkhang w Dharamsali w Indiach, 30 czerwca 2025 r.



PENETRACJE



RADOSŁAW BIELECKI,
KABARET NEO-NÓWKA

Uważam, że do polityki powinni trafiać ludzie z doświadczeniem, sukcesami w biznesie, niezależni finansowo. W Polsce, w polityce krajowej, ale też w samorządzie, brakuje ideowców, którzy chcieliby faktycznie coś zrobić dla innych. Mamy za to nadreprezentację tych, których upaja kombinowanie, wprowadzanie publicznych pieniędzy i obsadzanie spółek skarbu państwa swoimi ludźmi. W znakomitej większości do polityki idą ludzie, którym w życiu się mało udało. Dla nich polityka to winda do kariery. Realizują jakieś swoje prywatne ambicje. Będę rządził, będę kimś ważnym, będę mnie całować w pierścień. Politycy to spryciarze, zmieniają poglądy, zmieniają partie, byle cały czas być na fali. Obłuda i hipokryzja to ich drugie imię.

TWISTYL **JAN PESZEK,**
AKTOR

Los obdarował pana niezwykle dziadkami.

– On Stefan, ona Stefania, pisało się do nich Stefanostwo. Byli piękną parą. Dziadek szalony i uwielbiany przez kobiety, babcia ciepła i wrażliwa. Dziadek był człowiekiem wolnym i bezpruderynym. Jako sześciolatek pierwszy raz zobaczyłem nagiego mężczyznę. Po zbiorach czereśni poszliśmy nad rzekę Wkrę, gdzie trzymał dwie zacumowane łódki. Weszliśmy na jedną z nich, dziadek rozebrał się do rosołu i zapytał: „Na co czekasz?”. Wychowywany przez ortodoksyjnego, katolickiego ojca oczywiście stałem w gatkach. Dziadek jednym ruchem ściągnął je, klepnął w tyłek i wskoczyliśmy do wody. Minęło ponad 70 lat, a ja wciąż widzę ten lekko kiczowaty obraz: zachód słońca, szumiące trzcinę. Leniwa rzeka i my z dziadkiem płynący na golasa.

zwierciadło **SANDRA DRZYMALSKA,**
AKTORKA

Chaos działa na mnie źle. Pewnie, że zdarza mi się zabierać za coś w sposób chaotyczny, ale zawsze doprowadzam to do końca. Tak często konstruuje się postać – z tego weźmiesz trochę, z tamtego odrobinę, poszukasz jeszcze tu i tam – jest w tym jakaś metoda. Natomiast irytuje mnie chaos, z którego nie wyłania się żaden porządek; chaos, który do niczego nie prowadzi. W pracy z reżyserkami czy reżyserkami najbardziej cenię sobie konkret. Nie lubię, jak za długo opowiadają o mojej postaci, bo przestają być pewna, czego ode mnie oczekują. Natomiast w chaosie, który zwykle panuje na planie filmowym, odnajduję się świetnie, bo tam każdy zna swoje miejsce i ma swoje zadanie. Najgorzej, jak celem jest sam chaos.

VIVA! **JUSTYNA SZYC-NAGŁOWSKA,**
ŻONA BORYSA SZYCA

Jesteśmy z mężem świetnymi teoretykami, z praktyką bywa gorzej. Potrafimy rozpoznać nasze emocje, nazwać je, ale one nadal nami rządzą. Nie jesteśmy oazami spokoju niczym niezamącone jeziora na mazurskiej ziemi. Szkwał idzie, ale staramy się nad emocjami pracować. Każde z nas ma swoje metody i sposoby. Kiedy nie budzimy się razem, wysyłamy sobie zdjęcia o poranku. Jeśli mojego męża nie ma w łóżku, pierwsza rzecz, którą widzę w telefonie, to jego zdjęcie z miejsca, w którym przebywa.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

KSAŻATBRAMWCASE

WISYTĘKNIIĘMCNIJ

UŚIEHPSJSTWGONE

ROZWIĄZANIA:
KSIĄŻKA TO BRAMA W CZASIE, W CISCY TĘSKNI SIĘ MOCNIEJ, UŚMIECH PSA JEST W OGONIE



Aby język giętki...

ALEKSANDRA UZNAŃSKA-WIŚNIEWSKA
O MĘŻU SŁAWOSZU

Pojechałam do niego do Houston. Za-prosił mnie na klasyczne teksańskie BBQ, a oświadczył się w czasie wspinaczki w parku narodowym.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK
O KAROLU NAWROCKIM

Prezydentem będzie gość o poglądach faszy-stowskich, ociosany, upudrowany, ale wciąż ten sam kibol z ustawki na polu.

PROF. EWA MARCINIAK
O SZTABACH WYBORCZYCH

Pod względem wykorzystania narzędzi mar-ketingowych związanych z nowymi mediami i mediami społecznościowymi sztab Nawroc-kiego był świetny. W kontraście do sztabu Trzaskowskiego.

PROF. RADOŚLAW MARKOWSKI
O TRANSFERACH SOCJALNYCH

Czy nie przyczepiła się do nich cwaniacka mniejszość, czerpiąca niezasłużone benefity z ciężkiej pracy innych?

ANNA SIEWIERSKA O RAFALE TRZASKOWSKIM

Nie dość, że wyszło słabo i nikt w tę niezwy-klą przemianę nie uwierzył, to jeszcze obito go trzech typów spod ciemnej gwiazdy.

AGATA PASSENT O DZIECIACH

Coraz więcej fanatycznych rowerzystów na osiedlowych ścieżkach, a coraz mniej dzieci w piaskownicach.

OLAF LUBASZENKO O PRACY

Po prostu uczciwie pracuję, żeby końcowa nota w Wikipedii była jak najbardziej obfita.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzół i.morzol@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widadcki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Łuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator do spraw promocji i reklamy:

Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

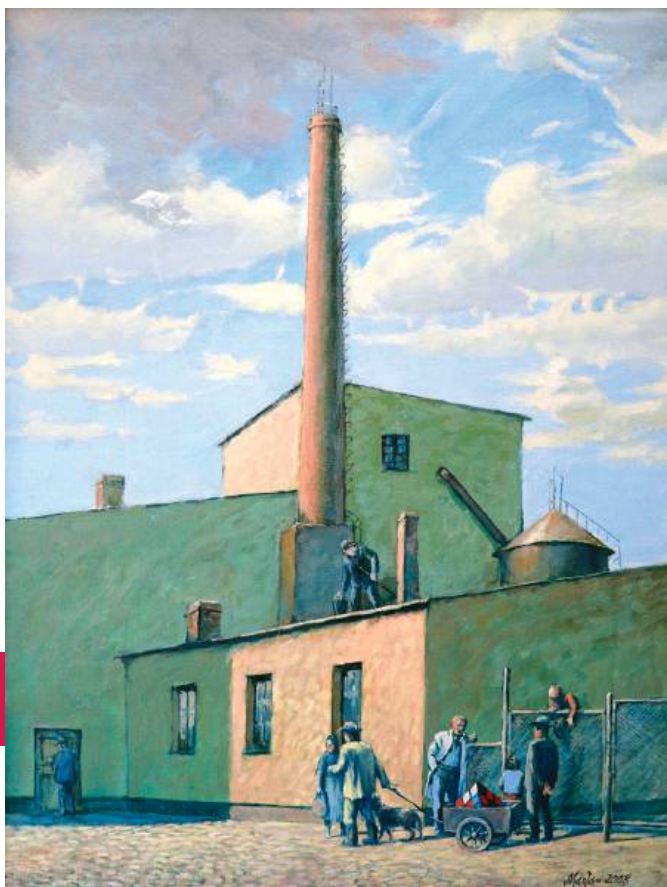
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Kostka Rubika



Skupiona

Bydgoskie Centrum Sztuki im. Stanisława Horno-Popławskiego
Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 47
do 1 sierpnia



Paciorki

Marian Thiede Domostwo

Marian Thiede jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Ukończył też Państwowe Liceum Technik Plastycznych im. Antoniego Kenara w Zakopanem, gdzie był uczniem Władysława Hasiora i Antoniego Rzęsy. Jest autorem licznych realizacji w otwartych przestrzeniach, w tym murali na budynkach miejskich oraz form przestrzennych współtworzących parki i kompleksy rzeźby współczesnej. Atmosferę małych miasteczek przemienia w cykle niezwykle oryginalnych scen rodzajowych, zatrzymanych kadrów natury. Zachwyca się otwartymi przestrzeniami publicznymi, które, jeszcze nieprzekształcone cywilizacyjnym pędem, oddziałują prawdą i surowością..



Z czasów pandemii ul. Krzywa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

• TEATR CAPITOL •

KLIMATYZOWANE SALE • ORZEŻWIAJĄCE KOKTAJLE • NAJLEPSZE KOMEDIE



CAPITALNE LATO

GRAMY PRZECZ CAŁE WAKACJE!

• KUP

BILET

TEATR CAPITOL

www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

PRZECZYSTOŚĆ

Galzian

Kobiety

ams

Familie.pl

DGP Dziennik
Gazeta Polska

ŚWIAT
GWIAZD

Pierścionek

Gatka

KROSS

Idicket

P.L.E.

AKTYWNA
WARSZAWA

STREFA
MUSIC

umza

3333

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 8c2c5d7dab

SHIELD OF PAIN

TOUR 2025



+ SUPPORT

GLORYHAMMER

7 LIPCA

ATLAS ARENA, ŁÓDŹ

BILETY:
TICKETMASTER.PL
LIVENATION.PL

LIVE NATION